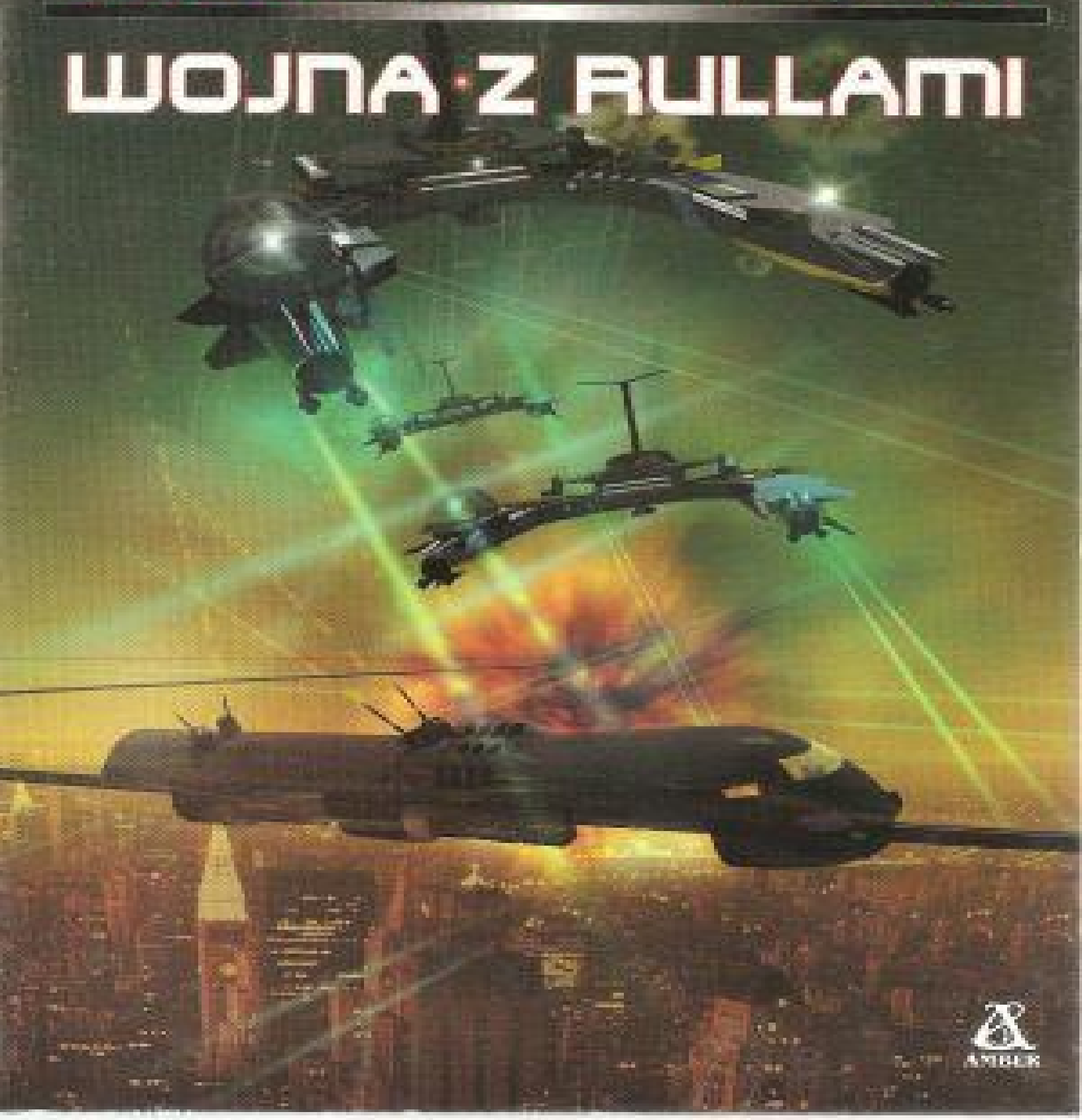


— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

JEDEN Z WIELKIEJ CZWÓRKI SCIENCE FICTION

A.E. VAN VOGT

WOJNA Z RULLAMI



AMBER

Wojna Z Rullami

A.E. Van Vogt

(PRZEKŁAD: IZABELA BUKOJEMSKA)

SCAN-DAL

Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)

Gdy tylko statek kosmiczny zniknął w mglistej atmosferze Eristana II, Trevor Jamieson wyjął z kabury pistolet i zaczął pilnować ezwala. Był otumaniony i miał mdłości od wstrząsów w zawirowaniach powietrza spowodowanych przez spadający wrak. Świadomość, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, utrzymywała go jednak w napięciu. Zdołał zachować wyprostowaną pozycję w uprząży przyczepionej linkami do dysku anty-grawitacyjnego, służącego mu za spadochron.

Ezwal obserwował go uważnie trojgiem ustawionych w jednym rzędzie oczu o ciemnoszarej barwie polerowanej stali. Masywna niebieska głowa była czujnie wyprostowana, gotowa cofnąć się natychmiast, gdyby tylko ezwal wyczytał w myślach Jamiesona zamiar użycia broni.

- A więc - odezwał się Jamieson, gdy już przybrał względnie stabilną pozycję - znajdujemy się tu obaj, tysiące lat świetlnych od naszych ojczystych planet. I spadamy w najgorsze piekło, jakiego ty, chociaż czytasz w moich myślach, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, bo znasz tylko swoje samotne życie na planecie Carsona. Ale tutaj ezwal, choćby i trzytonowy, nie przeżyje w pojedynkę.

Wielka łapa z ostrymi pazurami prześliznęła się przez krawędź dysku. Szybkim ruchem chwyciła jedną z trzech linek przytrzymujących uprząż. Dało się słyszeć wyraźne „ping” i linka została gładko przecięta. Jamieson podskoczył co najmniej na metr, ale zaraz ciężko opadł i zaczął się kołysać w uprząży jak na trapezie, niezdarnie celując w ezwala z pistoletu, żeby obronić przynajmniej dwie ostatnie linki.

Jednak ezwal już się opanował. Teraz widać było tylko wielką głowę i oczy, które spokojnie obserwowały Jamiesona. Po dłuższym czasie do Trevora dotarła pewna myśl, przekazywana niespiesznie i z całkowitą obojętnością:

- Jest coś, co mnie niepokoi: stu kilkunastu ludzi z twojego statku zginęło, ale ty uszedłeś z życiem. Jesteś więc jedynym przedstawicielem ludzkości, który wie, że ezwale z planety nazwanej przez ciebie Carson wcale nie są bezrozumnymi zwierzętami, lecz istotami inteligentnymi. Twój rząd napotyka wielkie trudności, kiedy chce utrzymać kolonistów na naszej planecie. Na szczęście traktuje nas jak coś w rodzaju żywiołu, bardzo trudnego do zwalczania, lecz nieuniknionego. I pragniemy, żeby tak pozostało. Gdyby ludzie przekonali się, że jesteśmy wrogiem wyposażonym w inteligencję i że zrobimy wszystko, by wypędzić z naszej planety każdego intruza, wydaliby nam bezlitosną, totalną wojnę. Skoro jednak ty już wiesz, że jesteśmy istotami rozumnymi, postanowiłem nie ryzykować, choćby nawet w najmniejszym stopniu, że uda ci się uciec ode mnie, i zeskoczyłem na twój dysk antygravitacyjny w chwili, gdy wylatywałeś ze śluzy.

- Dlaczego jesteś taki pewny - spytał Jamieson - że wyeliminowanie mnie rozwiąże twój problem? Zapomniałeś o drugim statku, z dwoma ezwalami na pokładzie, samicą i jej małym? Podczas ostatniej rozmowy radiowej dowiedzieliśmy się, że krążownik rullów, który zniszczył nasz statek, tamtego nawet nie uszkodził. Najprawdopodobniej jest teraz w drodze na Ziemię.

- Wiem o tym - odparł pogardliwie ezwal. - Wiem również, jak zareagował jego kapitan, gdy napomknąłeś, że ezwale mogą być inteligentniejsze, niż się ludziom wydaje. Po prostu ci nie uwierzył. Tylko ty możesz przekonać rząd Ziemi o prawdziwości tego twierdzenia. A ezwale, które trzymacie w niewoli, nigdy nas nie zdradzą.

- Ezwale wcale nie muszą być aż tak pełne poświęcenia, jak sądzisz - zauważył cynicznie Jamieson. - W końcu ty jednak zadbałeś o swoje cenne życie i skoczyłeś na dysk. Nie potrafiłbyś uruchomić łodzi ratunkowej, więc gdybyś nie skorzystał z mojego spadochronu, leżałbyś teraz gdzieś zmiażdżony razem ze statkiem. Wątpię, żeby nawet ezwal umiał...

Jego głos przeszedł w okrzyk zdumienia. Ezwal konwulsyjnym ruchem wyprostował się na całą

swoją niesamowitą wysokość, ukazując przerażające kły i pazury tak mocne, jakby były z żelaza. W stronę dysku nurkował gigantyczny ptak. Ogarnięty paniką Jamieson widział przez sekundę jego wyłupiaste oczy i zakrzywione, gotowe do ataku szpony.

Uderzenie wstrząsnęło dyskiem, który zaczął się huścić jak korek na wzburzonych falach. Jamiesonem gwałtownie rzucało na boki. Znowu go zemdliło. Nad jego głową nieprawdopodobnie wielkie skrzydła waliły w dysk jak pioruny. Ciężko dysząc, wycelował z pistoletu. Płomień dotknął jednego ze skrzydeł i zostawił na nim szarą smugę. Skrzydło zwisło bezwładnie. W tym samym momencie ezwał zebrał siły i zrzucił ptaka, który zaczął opadać, lekko wirując w podmuchach powietrza, aż zniknął na ciemnym tle ziemi.

Skrzypienie nad głową sprawiło, że Jamieson szybko spojrzał w górę. Ezwał chwiał się niebezpiecznie na samej krawędzi dysku, a jego cztery górne kończyny bezradnie tłukły powietrze. Dwie pozostałe w rozpaczliwym wysiłku uczepliły się żelaznych prętów pod dyskiem i wzmocniły chwyt. Ogromne stworzenie zapadło się w siebie. Po chwili znów widać było tylko jego masywną głowę.

- Widzisz - powiedział Jamieson z wisielczym humorem -nawet ptak jest dla nas zagrożeniem, z którym ledwo potrafimy sobie poradzić. A przez tę chwilę, gdy miałeś uwagę zaprzątniętą czymś innym, bez trudu mogłem strzelić ci w brzuch. Ale jesteś mi potrzebny, tak samo jak ja jestem potrzebny tobie. Oto jak przedstawia się sytuacja: o ile wiem, statek rozbił się na lądzie w pobliżu Cieśniny Demona. To trzydziestokilometrowa odnoga oceanu oddzielająca wielką wyspę od kontynentu. Wyskoczyliśmy ze statku w ostatniej chwili. Minuta później, a zawirowania powietrza pozostawione przez opadający kadłub wciągnęłyby nas i zabiły. Teraz naszą jedyną szansą na przeżycie jest odnalezienie wraku. Są tam zapasy żywności, a poza *tym* znajdziemy w nim schronienie przed tutejszymi zwierzętami, które są chyba najokrutniejszymi drapieżcami w całej znanej Galaktyce. Spróbuję naprawić podprzestrzenne radio, a może nawet uda mi się doprowadzić do stanu używalności jedną z szalup ratunkowych. Ale po to, by znaleźć wrak, będziemy potrzebowali wszystkich umiejętności, twoich i moich. Najpierw czeka nas przejście co najmniej osiemdziesięciu kilometrów nieprzebytą dżunglą, stąd do Cieśniny Demona. Potem trzeba będzie zbudować tratwę, wystarczająco dużą, by obronić się przed olbrzymimi morskimi potworami. Jeśli mamy się uratować, musimy wykorzystać całą twoją nadzwyczajną siłę i telepatyczne zdolności, a także moją zręczność. Niewątpliwie nieraz będę też musiał użyć pistoletu. Co o tym myślisz?

Ezwał milczał. Jamieson włożył pistolet do kabury. Na pewno nic by nie osiągnął, raniąc jedyną istotę, która może pomóc mu się stąd wydostać. Niestety, mógł tylko żywić nadzieję, że ezwał także powstrzyma się przed wyrządzeniem mu krzywdy.

Owiewał go ciepły, wilgotny wiatr, przynosząc z ziemi przyprawiające o mdłości zapachy. Spadochron znajdował się jeszcze bardzo wysoko, ale w prześwitach między mgłami otulającymi ten prymitywny świat coraz wyraźniej było widać skrawki dżungli i morza. Masy ciemnych drzew tu i ówdzie ustępowały miejsca wodzie, skrzęcej się w słonecznym świetle.

Z minuty na minutę widok rozszerzał się i stawał się coraz bardziej niezwykły. Na pomocy, jak okiem sięgnąć, między falującymi mgłami rozciągał się chaos roślinności potrzebującej do życia podmokłych gruntów. Jamieson wiedział, że dalej znajduje się przerażająca Cieśnina Demona. I oto spadał teraz w to kipiące roślinne życie, nieokiełznane i śmiertelnie niebezpieczne, pieniące się na planecie zwanej Eristan II.

- Skoro nie odpowiadasz - podjął spokojnie - to prawdopodobnie doszedłeś do wniosku, że potrafisz sam sobie dać radę. Wasza rasa istnieje od niepamiętnych czasów. Nieskończona liczba pokoleń twoich przodków zawdzięczała przeżycie swoje} nadzwyczajnej sile. Przez ten czas ludzie,

przerażeni wszystkim, co ich otaczało, gromadzili się w jaskiniach, odkrywali ogień jako środek jako takiej ochrony, rozpaczliwie wymyślali nowe rodzaje broni, a mimo to ciągle znajdowali się zaledwie o mały krok od zagłady. A przez te wszystkie setki wieków ezwał żyły sobie spokojnie na żywej planecie Carsona, wolne od lęku, bo nie miały nikogo równego im siłą i inteligencją. Nie potrzebowały domów, ognia, ubrań, broni...

- Przystosowanie do życia we wrogim otoczeniu - przerwał mu ezwał - jest logicznym celem, do jakiego dąży każda istota myśląca. Ludzie stworzyli coś, co nazywają cywilizacją, a co w rzeczywistości jest tylko materialną barierą między nimi a ich otoczeniem. Jednak ta bariera jest tak skomplikowana i tak trudna w utrzymaniu, że pochłania to bez reszty wszystkie siły waszej rasy. Jednostka ludzka jest niewolnikiem zależnym od sztucznego środowiska, a w końcu nędznie umiera z powodu słabości ciała wyniszczonego chorobami. I taki arogancki głupiec, ze swoją nienasyconą żądzą panowania, stanowi największe niebezpieczeństwo dla mądrych i niezależnych ras wszechświata. Jamieson zaśmiał się.

- Jednak powinnaś chyba przyznać, że nawet według waszych własnych standardów ten mały ważny okruczeństwo życia, który skutecznie walczył przeciw wszystkim zagrożeniom, pragnął zdobywać wiedzę i w końcu dotarł do gwiazd, ma spore poczucie godności.

- Bzdura! - parsknął ezwał niecierpliwie. - Człowiek i jego idee to prawdziwa plaga. A oto dowód: co robiłeś przed chwilą? Przedstawiałeś wyrafinowane argumenty po to tylko, by raz jeszcze spróbować mnie namówić, abym udzielił ci pomocy. Doskonały przykład ludzkiej nieuczciwości.

Chętnie podam ci inny dowód - ciągnął ezwał. - Zwróć tylko uwagę na moment, kiedy wylądujemy. Nawet zakładając, że nie zechcę ci wyrządzić krzywdy, przy swojej żalostnej słabości będziesz nieustannie wystawiony na śmiertelne niebezpieczeństwo, natomiast ja... nawet jeżeli żyją tu zwierzęta o wiele silniejsze ode mnie, różnica nie będzie aż tak wielka, bym ze swoją inteligencją nie potrafił dać sobie rady. A tak naprawdę to wątpię, by istniało tu choć jedno zwierzę przewyższające mnie szybkością i siłą.

- Owszem, istnieje, i to niejedno - powiedział cierpliwie Jamieson. Był bardzo zdenerwowany, bo argumenty, jakie podawał, mogły zadecydować o jego życiu lub śmierci. - Musisz wiedzieć, że twoja planeta, tak licznie zamieszkała, przy tej tutaj wydawałaby się całkowicie pusta. Nawet dobrze uzbrojony i wyćwiczony żołnierz poniesie klęskę, mając do czynienia z przewagą liczebną.

Odpowiedź przyszła natychmiast:

- Rozumując w ten sposób, trzeba uznać, że dwie istoty też sobie nie poradzą, a już zwłaszcza wtedy, gdy jedna z nich jest cherlawa i stanowi raczej utrudnienie niż pomoc dla drugiej... chociaż dysponuje bronią, na którą zresztą przesadnie liczy.

Jamieson usiłował nie pokazać po sobie, jak bardzo te słowa go oburzyły.

- Nie liczę za bardzo na pistolet, chociaż nie powinieneś go nie doceniać. Chodzi o to...

- Czy to twoja wybitna inteligencja każe ci ciągnąć w nieskończoność tę jałową dyskusję? - spytał złośliwie ezwał.

- Nie moja - odparł żywo Jamieson - lecz nasza inteligencja. Chcę ci wyjaśnić, jakie korzyści...

- To, co chcesz powiedzieć, nie ma najmniejszego znaczenia. Już mnie przekonałeś, że nie ujdiesz z życiem z wyspy, która znajduje się pod nami. A zatem...

Tym razem para ogromnych ramion opadła jednocześnie. Obie pozostałe jeszcze linki przytrzymujące uprząż zostały odcięte z taką łatwością, jakby to były cienkie sznureczki. Szarpnięcie okazało się tak mocne, że Jamieson wyleciał w powietrze i zatoczył trzydziestometrowy łuk, zanim zaczął opadać w gęstym, wilgotnym powietrzu.

Dotarła do niego jeszcze pełna bezlitosnej ironii myśl:

- Trevorze Jamiesonie, zauważyłem, że jesteś człowiekiem przewidującym. Masz na plecach dodatkowy spadochron. To powinno ci ułatwić bezpieczne dotarcie na ziemię... a tam będziesz już mógł do woli ćwiczyć umiejętność argumentacji na pierwszym mieszkańcu dżungli, jakiego spotkasz. Żegnam.

Jamieson pociągnął za linkę otwierającą spadochron, zacisnął zęby i czekał. Przez jedną okropną chwilę szybkość opadania nie zmniejszała się. Wygiął z trudem ciało, by spojrzeć do góry, przerażony, że spadochron mógł się zaplątać w jedną z trzech przeciętych lin, nadal przywiązanych do uprząży, ale z prawdziwą ulgą zobaczył, że spadochron zaczyna się wysuwać z plecaka. Natychmiast nasiąknął wilgotnym powietrzem i minęła dobra chwila, zanim rozwinęła się cała czasza.

Odwiązał resztki lin od uprząży i odrzucił je szerokim ruchem. Teraz opadał z umiarkowaną prędkością, hamowany przez gęstość powietrza, wynoszącą na poziomie morza około tysiąca dwustu sześćdziesięciu pięciu gramów na centymetr kwadratowy. Skrzywił się. Poziom morza. Znajdzie się tam o wiele szybciej, niżby chciał.

Jednak, gdy spojrział w dół, zorientował się, że nie ma pod sobą wody. Owszem, zobaczył parę jeziorek, rosło tu też kilka samotnych drzew, ale poza tym teren był szary i odrażający. Nagle rozpoznał, co to jest i zbladł z przerażenia. Moczary... nieskończony ocean lepkiego, kleistego błota! W panice szarpnął za linki od spadochronu, jakby w ten sposób mógł przenieść się nad dżunglę, tę dżunglę tak bliską, a jednak tak bardzo oddaloną - o całe pół kilometra. Jęknął i aż się skulił, wyobrażając sobie, że za chwilę pograży się w bagnie.

Ale już po chwili świadomość śmiertelnego niebezpieczeństwa pobudziła go do działania. Zaczął manewrować spadochronem, by uzyskać maksymalny skręt. Niestety, spostrzegł, że nie zdoła dolecieć do drzew. Spadochron był teraz zaledwie siedemdziesiąt metrów nad tymi straszliwymi moczarami. Chociaż dżungla rozciągała się zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej w kierunku północno-zachodnim, żeby do niej dotrzeć, musiałby opadać pod kątem co najmniej czterdziestu pięciu stopni. Na nieszczęście nie było wiatru, więc nie zdoła tego osiągnąć. W tej samej chwili, kiedy o tym pomyślał, niespodziewany powiew uniósł spadochron i popchnął go w stronę dżungli. Jednak wiatr był za słaby, by mu się to na coś przydało.

Chwila katastrofy zbliżała się bardzo szybko. Skraj dżungli znajdował się tylko o sześćdziesiąt metrów, potem o trzydzieści. Za kilka sekund Jamieson dotknie stopami cuchnącego, zielono-szarego błota. Podkurczył nogi i jednocześnie obiema rękami szarpnął za linki spadochronu. Ogromnym wysiłkiem owinął je wokół nadgarstków i uniósł ciało na wysokość ramion. Ale nawet to nie wystarczyło. Już orał kolanami w błocie, a ciągle jeszcze miał jakieś dziesięć metrów do zarośli, których obecność oznaczała suchy ląd.

Rozpłaszczył się na miękkim podłożu, by rozłożyć równo ciężar ciała, chociaż okropny słony odór bagna niemal odbierał mu dech. Zanim powietrze spod czaszy spadochronu uciekło zupełnie, rozluźnił chwyt na linkach, żeby zaciągnęła go jak najdalej. Może przypadek sprawi, że...

Szczęście jeszcze go nie opuściło. Oklapnięty spadochron spadł na najbliższe krzaki i zaczął się na tyle mocno, że gdy Jamieson ostrożnie spróbował go poruszyć, nie przesunął się ani o centymetr. Jednak, na wpół zanurzony w błocie, zapadał się coraz bardziej. Kilka razy potrząsnął linkami, by uwolnić się od uprząży, a potem ostro szarpnął. Bez skutku. Błoto wciągało go nieubłaganie.

W rozpaczę pociągnął za linki, wkładając w to wszystkie siły, i udało mu się częściowo uwolnić. Jednocześnie usłyszał trzask rozrywanego materiału i linki przestały się opierać. Drżąc na całym ciele, Jamieson ścisnął je, aż poczuł opór, a potem znów bardzo mocno pociągnął. Tym razem było mu łatwiej. Jeszcze dwa pociągnięcia i ześliznął się w bulgoczące błoto.

Ciągnąc jednostajnymi ruchami za linki, czołgał się do przodu, dopóki nie zobaczył w zasięgu ręki mocnych korzeni jakiegoś krzaka. W ostatnim gwałtownym przypiływie energii i obrzydzenia zarazem rękami i nogami utorował sobie drogę między zaroślami i rzucił się na spadochron, zaczepiony na wysokim krzewie. Krzew ugiął się pod jego ciężarem, ale wytrzymał.

Jamieson nie miał już siły na nic. Przeleżał na brzuchu długie minuty, prawie nieświadomy otoczenia.

Gdy wreszcie się rozejrzył, ogarnęła go głęboka rozpacz. Znajdował się na małej wysepce, oddzielonej od głównej masy drzew bagnem szerokości jakichś trzydziestu metrów. Wysepka miała z dziesięć metrów długości i siedem szerokości; w jej gąbczastym, ale stosunkowo stałym gruncie udało się urosnąć pięciu drzewom. Najwyższe osiągnęło wysokość dziesięciu metrów.

Jednak po chwili rozpacz ustąpiła miejsca nadziei. Wszystkie drzewa razem miałyby trochę ponad trzydzieści metrów długości. Wystarczająco, jak dla jego celów. Ale... Pierwsza iskra nadziei zgasła tek samo szybko, jak się pojawiła. W plecaku miał tylko mały toporek. Wyobraził sobie, jak ścina drzewa tym toporkiem, obdziera z gałęzi i układa jedno za drugim. Wyjątkowo męczące i czasochłonne zajęcia.

Usiadł, po raz pierwszy uświadamiając sobie, że ramiona przeszywa mu ostry ból, a ciało ma napięte. Poczł, że jest straszliwie gorąco. Ledwo widział słońce. Na zamglonym niebie wyglądało jak biała plama, ale wisiało prawie dokładnie nad jego głową. Na tej planecie, o długim czasie obrotu, oznaczało to, że do zmroku pozostało jeszcze jakieś dwanaście godzin. Westchnął i powiedział sobie, że powinien skorzystać z tego, iż na wysepce jest stosunkowo bezpieczny, i trochę odpocząć. Ale zaraz nawiedziło go wspomnienie gigantycznego ptaka, więc poszukał osłoniętego miejsca. Wreszcie położył się na wilgotnej trawie, pod gęstwiną gałęzi.

Upał był tu trochę mniej dokuczliwy. Niebo nad głową lśniło oślepiającą bielą, powodując ból oczu.

Musiał zasnąć, bo gdy uchylił powieki, słońce nie stało już prosto nad nim, lecz przesunęło się w kierunku horyzontu. Zapewne minęły co najmniej dwie godziny... może nawet trzy. Jamieson poruszył się, przeciągnął i stwierdził, że wypoczął całkiem nieźle i teraz może się zabrać do... w tym momencie zobaczył coś, co sprawiło, że jego umysł przestał działać.

Przez błoto, do lasu naprzeciwko, prowadził most ułożony z pni drzew o wiele grubszych niż te, które rosły na wysepce. Po jakimś czasie umysł Jamiesona znów podjął pracę. W końcu nie mógł mieć żadnych wątpliwości, kto dokonał tego wyczynu. A jednak, chociaż jego domysły okazały się słuszne, ogarnął go nieokreślony lęk, gdy masywne, niebieskie, niemal gadzie ciało ezwała wychylnęło znad krzaków. Spojrzało na niego troje stalowych oczu.

- Trevorze Jamiesonie, nie bój się - usłyszał w głowie. - Po namyśle doszedłem do wniosku, że twój sposób widzenia spraw nie jest taki głupi. Na razie ci pomogę i...

Gorzki śmiech Jamiesona uciął tę transmisję.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wpadłeś w tarapaty, z których nie potrafisz wydostać się o własnych siłach? Cóż, skoro zamierzasz zabawić się w altruistę, będę musiał okazać cierpliwość i zaczekać, aż sam mi powiesz, co się stało. - Włożył plecak i skierował się do mostu. - Nie spieszy mi się. Namysław się, ile tylko chcesz, bo i tak mamy przed sobą długą drogę.

Gigantyczny wąż wypełził z dżungli o trzy metry od stałego gruntu, tam, gdzie kończył się most z pni, i o dziesięć metrów na lewo od ezwała. Jamieson, który szedł ostrożnie, znajdował się dopiero w połowie mostu. On też pierwszy zobaczył gwałtowne falowanie wśród wysokiej trawy obrzeżonej purpurą. Zastygł w miejscu, gdy w górę wystrzeliła ohydna, wielka głowa, a za nią ukazało się siedmiometrowe, żółtawe, lśniące ciało, grube prawie na metr. Małe świńskie oczka groźnie patrzyły prosto w jego oczy.

Szok sparaliżował Jamiesona, szok i osłupienie wobec takiego pecha. Dlaczego to straszne stworzenie pojawiło się akurat w chwili, gdy znajdował się w rozpaczliwym położeniu? Znieruchomiał ze strachu pod spojrzeniem tych płonących oczu. Na szczęście budząca groźbę głowa odwróciła się jednym płynnym ruchem i oczka z łakomą fascynacją wpatrzyły się w ezwała. Jamieson trochę się rozluźnił. Do strachu dołączyła złość. Rzucił ezwałowi cierpką myśl:

- Sądziłem, że potrafisz wyczuć bliskość niebezpiecznych zwierząt, czytając w ich umysłach.

Nie dotarła do niego żadna odpowiedź. Potworny wąż podpełził bliżej środka polany. Płaska, rogata głowa kołysała się lekko nad długim falującym ciałem. Ezwał zaczął się powoli wycofywać. Widocznie uznał z zalem, że nie jest w stanie zmierzyć się z tym gigantycznym stworzeniem.

Jamieson, już trochę spokojniejszy, przesłał ezwałowi następną myśl:

- Może cię zainteresuje, że niedawno dostałem raport na temat Eristana II. Jak wiesz, jestem szefem Wojskowej Komisji Międzygwiazdowej. Zdaniem członków naszej ekspedycji zwiadowczej, planeta nie nadaje się na bazę wojskową, i to z dwóch powodów: po pierwsze ze względu na to, że zamieszkują ją wyjątkowo groźne rośliny mięsożerne, a po drugie z racji tego ślicznego zwierzątka, które w tej chwili mamy przed sobą. Oba gatunki są tu bardzo rozpowszechnione. Każdy wąż płodzi setki młodych; ich liczbę ogranicza jedynie ilość pożywienia, a nie jest to zbyt wielkie ograniczenie, ponieważ żywią się praktycznie wszystkimi innymi gatunkami zamieszkującymi planetę. Tak więc nie można ich wytrzebić przez pozbawienie pokarmu. Osiągają długość czterdziestu pięciu metrów i wagę ośmiu ton. W dodatku, w przeciwieństwie do innych drapieżników żyjących tutaj, polują w dzień.

Ezwał, który znajdował się teraz już piętnaście metrów od węża i nada! się cofał, wysłał Jamiesonowi szybką serię myśli:

- Jego pojawienie się rzeczywiście mnie zaskoczyło, ale tylko dlatego że w mózgu tych węży tli się tylko niewyraźne zainteresowanie dźwiękami. Nie wyczuwam w nich żadnych morderczych intencji. Ale to już nie ma znaczenia. Ważne jest to, że on się tu pojawił i że jest niebezpieczny. Ocenia swoje szansę, chociaż w sposób bardzo prymitywny i nie wydaje mu się, by mógł mnie pokonać. Tak więc mi nie grozi niebezpieczeństwo z jego strony. On kieruje całą uwagę na ciebie.

- Nie bądź taki pewny, że jesteś bezpieczny - odparł ostro Jamieson. - Ten koleś przypomina nieruchawą górę mięśni, ale gdy atakuje, rozwija ciało jak stalową sprężynę i może dosięgnąć celu znajdującego się w odległości stu czy nawet stu dwudziestu metrów.

W odpowiedzi ezwała wyczuwało się arogancką pewność siebie:

- Mogę przebiec sto dwadzieścia metrów, zanim ty zdążysz policzyć na palcach do czterech.

- W tej dżungli? Pięć metrów od skraju jest gęsta jak ściana, a raczej jak wiele ścian ustawionych jedna za drugą. Nie Wątpię, że dzięki swojej nadzwyczajnej sile zdołasz się przez nią przedrzeć, ale nie tak szybko jak ten wąż, który ma do tego odpowiednią budowę. Może w tej gęstwinie taka mała zdobycz jak ja potrafiłaby mu umknąć, ale w twoim wypadku...

- A dlaczego myślisz - przerwał mu ezwał - że byłbym na tyle głupi, by uciekać w środek dżungli, skoro mogę zostać tu, na brzegu, gdzie nic nie będzie mi przeszkadzało?

- Dlatego - wytłumaczył Jamieson zimno - że wpadłbyś prosto w pułapkę. Jeżeli dobrze pamiętam konfigurację terenu, którą widziałem z góry, kilkaset metrów dalej dżungla kończy się ostrym cyplem. Założyłbym się, że wąż jest dość sprytny, by to wykorzystać.

Przez chwilę trwała cisza.

- Nie mógłbyś usmażyć go swoim pistoletem? - spytał w końcu ezwał, wyraźnie zakłopotany.

- Żeby rzucił się na mnie w czasie, gdy będę dziurawił jego twardą czaszkę, by dostać się do małego mózgu? Te węże spędzają połowę życia w bagnie i poruszają się w nim z taką samą łatwością jak na stałym gruncie. Żałuję, ale w pojedynkę nie mogę się z nim zmierzyć.

Upłynęło kilka pełnych napięcia i zdumienia sekund. W końcu ezwał zrozumiał, że nie można już dłużej czekać ani unikać dalszej rozmowy. Z obrzydzeniem wysłał myśl:

- Jestem skłonny wysłuchać twoich propozycji... ale pospiesz się!

Jamieson zdał sobie sprawę, że ezwał prosi go o pomoc, bo wie, że ją otrzyma, ale nie zamierza nic dać w zamian. Jednak nie miał czasu na targowanie się. Wyjaśnił sucho:

- Musimy działać zespołowo. Wąż, zanim zdecyduje się na atak, kołysze głową. Tak zachowują się prawie wszystkie gady, by zahipnotyzować ofiarę i uniemożliwić jej wszelki ruch. Ale kołysanie hipnotyzuje również samego węża, bo koncentruje on całą swoją uwagę na ofierze. Kilka sekund po tym, jak zacznie kołysać głową, strzelę mu w oczy, co go oślepi. Wtedy musisz skoczyć mu na grzbiet, i to szybko! Jego mózg znajduje się pod rogiem rosnącym na głowie. Spróbuj wyrwać go pazurami albo zębami, podczas gdy ja będę usiłował go osłabić, atakując z bliska. Uwaga! Zaczyna!

Ogromna głowa już się kołysała. Jamieson powoli uniósł pistolet, usiłując trzymać go prawidłowo, chociaż drżały mu ręce. Wreszcie udało mu się wycelować i nacisnął spust.

Wbrew spodziewaniu wąż nie zamierzał toczyć desperackiej walki; po prostu nie chciał umrzeć. Dymiący tułów skręcał się jeszcze pół godziny po tym, jak Jamieson, trzęsąc się z osłabienia, doszedł do końca mostu i bezsilnie osunął się na ziemię. Gdy wreszcie zdołał się podnieść, ezwał siedział kilkanaście metrów dalej na wąskim pasku piachu i przyglądał mu się. Wyglądał dziwnie pięknie; jego niebieskie futro lśniło, a masywne ciało wydawało się pełne wdzięku. Jamiesona trochę pocieszył fakt, że przynajmniej na razie istota o tak potężnych mięśniach, widocznych pod gładką sierścią, jest po jego stronie.

Spokojnie spojrzął ezwałowi w oczy i spytał:

- Gdzie jest dysk antygravitacyjny?

- Zostawiłem go jakieś pięćdziesiąt waszych kilometrów na pomoc stąd.

Jamieson chwilę się zastanawiał.

- Musimy tam wrócić - powiedział wreszcie. - Strzelając do węża, prawie do końca wyczerpałem ładunek pistoletu. Potrzebuję ogniwa atomowego, żeby uzupełnić energię, a jedyne, do którego mogę mieć tu dostęp, znajduje się właśnie na dysku. Jeszcze nieraz będziemy musieli polegać na mojej broni. Myślę, że przyznasz mi rację.

Ezwał milczał.

Jamieson chwilę się wahał, ale w końcu odezwał się stanowczo:

- Oczywiście rozumiesz, że mogę tam dotrzeć jedynie na twoim grzbiecie. Wrócę na wysepkę po linki spadochronu i sporządzę uprząż, którą założę ci na szyję i przednie nogi, żeby nie spaść podczas jazdy. Co ty na to?

Zanim dumne stworzenie odpowiedziało, Jamieson wyczuł jego rozterkę.

- Bez wątplenia - przekazał ezwał z pogardą - jest to najlepszy sposób na przetransportowanie

istoty tak słabej jak ty. No dobrze, idź poszukać linek.

Już po chwili Jamieson podchodził do ezwala, nadrabiając miną. Z bliska masywne ciało wywierało jeszcze większe wrażenie; na odległość jego zręczne ruchy sprawiały, że stworzenie wydawało się mniejsze. W porównaniu z nim Jamieson poczuł się naprawdę wąty. Rozwinął na ziemi plecak spadochronu i zabrał się do majstrowania. Kilka razy, dotykając ciała ezwala przy nakładaniu upręży, odczuł słabą falę obrzydzenia wysyłaną przez jego mózg.

- Tak powinno być dobrze - powiedział w końcu. Owinął linki materiałem, by uchronić skórę ezwala przed obtarciem, i skrzyżował je między jego przednimi a środkowymi nogami, co dawało mu swobodę ruchów. Paski tej oryginalnej upręży, zawiązane na karku ezwala, zwisając, tworzyły strzemiona, nieładne, lecz wygodne. Gdy wreszcie znalazł się na grzbiecie wielkiego stworzenia, poczuł się trochę bezpieczniej.

- Zanim ruszymy - powiedział uprzejmie - chciałbym cię spytać, dlaczego zmieniłeś zdanie. Wydaje mi się...

Przy pierwszym dalekim skoku ezwala o mało nie wyleciał na ziemię, więc potem już tylko trzymał się kurczowo linek. Ezwal nie robił nic, by ułatwić podróż niepożądanemu jeźdźcowi. Gdy Jamieson trochę się przyzwyczaił do niezwykłego rytmu, w jakim ezwal galopował na swoich sześciu nogach, zaczęła mu się podobać ta najdziwniejsza jazda, jaką kiedykolwiek w życiu odbył. Ezwal biegł nie zalesionym pasem terenu; po lewej stronie dżungla uciekała do tyłu w zawrotnym pędzie. Potem drzewa zamknęły się nad nimi jak sklepienie, bo wpadli na teren zarośnięty, choć niezbyt gęsto. Ezwal wybierał kierunek bez wahania, nie zatrzymując się ani na chwilę, jakby jego nadzwyczajny instynkt wskazywał mu drogę, którą przedtem tu przybył.

Nagle wyemitował lakoniczny rozkaz:

- Trzymaj się mocno!

Jamieson natychmiast zacisnął ręce na linkach i pochylił się do przodu, jednocześnie z całej siły wbijając stopy w strzemiona; w samą porę, bo ezwal już naprężył mięśnie i rzucał się gwałtownie w bok. Potem zebrał się w sobie i dał ogromnego susa do przodu.

Oślepiające uczucie szalonej prędkości prawie od razu minęło i Jamieson mógł się rozejrzeć. Przed oczami mignęło mu stado wielkich, czworonożnych zwierząt, które zaraz zniknęły za drzewami. Nie wydawało się, by zamierzały ich gonić. I bardzo mądrze z ich strony, pomyślał. Wspaniałe stworzenie, na którego grzbiecie jechał, większe niż tuzin, a groźniejsze niż sto lwów razem wziętych, było wystarczająco dobrze wyposażone, by przeżyć na tej planecie. Jednak zadowolenie Jamiesona szybko się skończyło. Przypadkowo spojrzął na korony drzew i zobaczył na niebie jakiś ruch. Podniósł głowę, by lepiej widzieć, i wtedy z mgieł wyłonił się okręt kosmiczny.

Krażownik rulli!

Wielki okręt, z długim, ostrym dziobem, groźnym i okrutnym kształtem przypominał wyciągnięty z pochwy miecz. Jamieson ze strachem obserwował, jak schodzi na skraj dżungli i znika w oddali. Bez wątplenia zamierzał lądować. Jamieson nie potrafił ukryć przerażenia. Pojawienie się krążownika mogło sprowadzić na niego nieszczęście.

Dotarła do niego triumfująca myśl ezwala:

- Wiem, co ci chodzi po głowie. Raczej wolałbyś sobie strzelić w łeb, niż pozwolić, by rulle cię złapali i wycisnęli z ciebie cenne informacje. Wydaje mi się, że ten rodzaj heroizmu jest powszechny u obu stron, zarówno wśród rulli, jak i wśród ludzi. Ale uprzedzam: spróbuj tylko wydobyć pistolet, a cię zgniotę.

Jamieson przełknął twardą kulę, która utworzyła mu się w gardle. Ogarnął go zarazem wstręt i nieprzytomna wściekłość wobec tak fatalnego zbiegu okoliczności. Czy ten okręt musiał się pojawić

właśnie tu i właśnie teraz?

W rozpaczę poddał się rytmowi galopu ezwała. Przez chwilę nie czuł nic prócz zapachu rozkładu niesionego wiatrem i tępych, regularnych uderzeń sześciu nóg o ziemię. Wokół nich roztaczała się dżungla; od czasu do czasu słyszał chłopot zdradzieckich wód. Jego położenie było nie do pozazdroszczenia: niezwykła, okropna jazda na grzbiecie stworzenia o niebieskiej sierści, które go nienawidzi... i wie o obecności okrętu.

- Jesteś szalony - odezwał się w końcu ponuro - jeżeli wierzysz, że rulle mogą się przydać tobie lub twojej rasie.

Znał tę sprawę tak dobrze i stanowiła dla niego tak oczywistą prawdę, że mógł o niej mówić niemal przez sen. Zachowując jak największą ostrożność, ze wzrokiem wbitym w gałęzie zwieszające się przed nimi, wypatrywał okazji. Zakończył swoją wypowiedź z autentycznym przejęciem:

- Rulle to najbardziej zdradziecka, najbardziej nietolerancyjna, najbardziej egocentryczna...

W ostatniej chwili, gdy już odmierzał odległość przed wykonaniem ryzykownego skoku, jego plan musiał ulecieć z umysłu. Ezwał konwulsyjnym ruchem stanął dęba i odskoczył. Jamiesonem najpierw rzuciło do przodu, a potem opadł na twarde jak żelazo bark swojego wierzchowca. Częściowo ogluszony, na oślep walczył o odzyskanie równowagi. Ezwał wierzgał dziko, ale on jakoś zdołał się ucześcić uprząży. Niedługo potem wydostali się na plażę nad szmaragdową zatoką. Na ubitym brązowym piasku ezwał podjął swój równy, niestrudzony galop.

Zupełnie jakby niedawny incydent był zbyt błahy, by o nim rozmawiać, ezwał obojętnie rzucił myśl:

- Z tego, co wyczytałem w twoim umyśle, rozumiem, że te istoty wylądowały, ponieważ wykryły niewielką emisję energii wydzielaną przez dysk antygravitacyjny.

Jamieson potrzebował paru sekund, by odzyskać oddech. Jeszcze dysząc, powiedział:

- Na pewno istnieje jakaś logiczna przyczyna. A jeżeli nie wyłączyłeś dysku, tak jak ja to zrobiłem ze statkiem...

- Tak, pewnie dlatego wylądowali - zamyślił się ezwał. - Jeśli ich instrumenty zarejestrowały również to, że strzelałeś do węża, wiedzą, że na planecie znajduje się ktoś, kto przeżył katastrofę. Najlepszym dla mnie rozwiązaniem będzie skierować się prosto do nich, zanim oni nas znajdą i zaatakują.

- Jesteś głupi! - krzyknął Jamieson. - Zabij ą nas obu, bo i ciebie, i mnie potraktują jak wrogów. Zresztą jesteśmy ich wrogami, i to dla jednej, jedynej przyczyny: ponieważ nie jesteśmy rullami. Jeżeli nie potrafisz zrozumieć tak prostej sprawy...

- Należało się spodziewać, że to powiesz - przerwał mu ezwał sardonicznie. - Ale ja już wiele im zawdzięczam. Po pierwsze strumieniem energii zniszczyli twój statek i przy okazji jeden z boków mojej klatki. Po drugie odwrócili ode mnie waszą uwagę, co pozwoliło mi zbliżyć się do ludzi i zabić ich wszystkich, zanim mnie zauważyli. Nie widzę powodu, dlaczego rulle nie mieliby przyjąć z zadowoleniem oferty, którą zamierzam im przedstawić w imieniu mojej rasy. Chcę im zaproponować pomoc w wypędzeniu ludzi z Planety Carsona. Przypuszczam, że informacje, jakie wyciągnę z twojego umysłu, bardzo im się przydadzą.

Jamiesona ogarnęła nieprzytomna złość. Odzyskał kontrolę nad sobą tylko dlatego, że miał w tej chwili o wiele ważniejsze sprawy na głowie. Nie mógł sobie pozwolić na poddanie się, nawet jeżeli zadanie wydawało się niewykonalne. Musiał przekonać to dumne, lecz naiwne stworzenie, że jego plan jest zupełnie szalony. Wycedził obojętnie:

- Wyobrażasz sobie, że potem rulle odejdą i pozwolą wam żyć w spokoju?

- Nie ośmielią się zostać!

Ten arogancki ton, świadczący o całkowitym braku zrozumienia niebezpieczeństwa, zdumiał Jamiesona, ale też zirytował. Z trudem się opanował. Nie można zapominać, powiedział sobie stanowczo, że ta istota, chociaż inteligentna, pochodzi ze społeczności, gdzie nie istnieje kultura techniczna, a poza tym nigdy dotąd nie miała do czynienia z rullami. Zaczął więc mówić powoli, ale z wielkim naciskiem:

- Już czas, żebyś się dowiedział o pewnych sprawach. Człowiek przybył na Planetę Carzona zaledwie parę miesięcy przed rullami. Podczas gdy wy, ezwale, utrudnialiście nam założenie bazy, prowadziliśmy w kosmosie walki, by jak najdłużej odwlec przybycie rulli i uchronić was przed najbardziej nielitościwymi istotami, jakie wszechświat kiedykolwiek zrodził. Najlepsza broń ludzi dorównuje najlepszej broni rulli, ale pod pewnymi względami mają nad nami przewagę. Po pierwsze ich technika jest starsza i rozwijała się bardziej konsekwentnie niż nasza. Po drugie mają nie znaną nam zdolność modyfikowania i kontrolowania za pomocą własnych komórek pewnych fal elektromagnetycznych, łącznie z falami widma widzialnego. Jest to dziedzictwo po niższych gatunkach; podobne umiejętności mają ziemskie kameleony, z których rulle się wywodzą. Dzięki tej zdolności potrafią stosować kamuflaż, co sprawia, że nie możemy przeniknąć ich sieci wywiadu.

Jamieson zamilkł na chwilę, mając przykrą świadomość, że ezwal nadal upiera się przy swoich planach. Jednak zaraz dodał zdecydowanym tonem:

- Nigdy nie zdołaliśmy wypędzić rulli z żadnej planety, na której założyli kolonię. Za to oni w ubiegłym wieku wypędzili nas z trzech bardzo ważnych baz. Stało się to w ciągu roku od pierwszego kontaktu, zanim jeszcze zdołaliśmy sobie w pełni uprzytomnić, jak śmiertelne zagrożenie stanowią, i zanim postanowiliśmy stawić im czoło niezależnie od tego, ile nas to będzie kosztowało. A ty właśnie z takimi istotami zamierzasz zawrzeć sojusz przeciw ludziom?

- Owszem, i to za kilka minut - doszła do Jamiesona uparta myśl ezwala.

Ta reakcja była szokująca. Wydawało się, że ezwal absolutnie nie przyjął do wiadomości niczego, co Jamieson mu powiedział.

Jednak czas na dyskusję dobiegł końca. Jamieson zdał sobie z tego sprawę w jednej chwili, tak nagle, że zadziałał odruchowo. Właśnie dlatego mógł dobyć broni bez wiedzy ezwala i skierować lufę w jego grzbiet. Triumfalnie nacisnął spust; z lufy wydostał się biały płomień... i chybił celu.

Minęło dobre kilka sekund, zanim Jamieson uświadomił sobie ze zdumieniem, że koziołkuje w powietrzu, bo ezwal zrzucił go z grzbietu jednym gwałtownym ruchem.

Spadł w krzaki. Kolczaste liany darły mu ubranie, raniły ręce i przyczepiały się do pistoletu, krew spływała strugami. W ciemnościach dżungli stracił orientację, ale nie na tyle, by zapomnieć o najważniejszym: z rozpaczliwą determinacją trzymał pistolet.

Upadł na bok, błyskawicznie okręcił się i wycelował, trzymając palec na spuście. W odległości metra od złowieszczej lufy ezwal wyprostował się na całą wysokość, wykrzywił pysk w groźnym pomruku, po czym odskoczył w bok i zniknął wśród gęstej roślinności.

Jamieson, oszołomiony i drżący, ledwo powstrzymując torsję, usiadł i zaczął rozmyślać o poniesionej klęsce i o tym, co jeszcze mógłby zrobić, żeby jakoś wydostać się z tego beznadziejnego położenia.

Wokół niego rosły dziwaczne drzewa o grubych pniach; tak naprawdę nie były to drzewa, lecz grzyby, żółtobrunatne, cętkowane, przebijające się z trudem na wysokość dziesięciu czy dwunastu metrów przez spletaną masę kolczastych lian, zielonych porostów i czerwonych traw. Ezwal bez najmniejszego wysiłku torował sobie drogę wśród tej gęstej dzikiej roślinności, jednak dla człowieka, który szedł pieszo - a zwłaszcza wtedy, gdy nie ośmielał się marnować resztek ładunku w pistolecie - stanowiła ona przeszkodę prawie nie do przebycia. Wąski pasek piasku nad brzegiem morza niedawno skręcił w niewłaściwym kierunku i ezwal, zanim zrzucił Jamiesona z grzbietu, musiał znów zagłębić się w dżunglę.

W całej tej sytuacji Jamieson widział tylko jedną dobrą stronę: przynajmniej nie zaniósł go wbrew woli na krążownik rulli.

Rulle!

Jamieson zerwał się na równe nogi. Gęsta trawa zdradziecko się pod nim ugięła. Szybko przebiegł na stabilniejszy grunt. Tam zaczął mówić głosem cichym i monotonnym, wiedząc, że nawet jeżeli ezwal, pędzący przez chaos cieni i światła, nie usłyszy słów, to jednak zrozumie ich znaczenie.

- Musimy się spieszyć. Instrumenty rulli na pewno zarejestrowały strzały z mojego pistoletu. Rulle będą tu lada chwila. To twoja ostatnia szansa, by zrewidować swoją opinię na ich temat. Zapewniam cię, że pomysł, by się z nimi pobratać, jest zwykłym szaleństwem. Posłuchaj mnie, bo mówię ci najczystszą prawdę. Wysyłaliśmy statki zwiadowcze na setki planet. Załogi tych, które zdołały wrócić, raportowały, że wszystkie planety są już zasiedlone przez rulle. Nie odkryły żadnych innych istot o inteligencji wystarczającej na to, by stawić zorganizowany opór. A przecież jakieś istoty rozumne musiały przedtem żyć, przynajmniej na niektórych planetach. Jak myślisz, co się z nimi stało?

Zmusił się do przerwania na chwilę, aby pytanie dotarło do świadomości ezwala, ale zaraz podjął:

- Wiesz, co robi człowiek, gdy na jakiejś planecie spotka się ze ślepą, fanatyczną wrogością mieszkańców? Mogę ci o tym opowiedzieć, bo z taką sytuacją mieliśmy do czynienia wiele razy. Poddajemy planetę kwarantannie, otaczając ją jednocześnie kordonem okrętów wojennych dla obrony przed ewentualnym atakiem raili. Potem poświęcamy mnóstwo czasu... czasu, który rulle uważaliby za stracony... na próby ustanowienia pokojowych stosunków z mieszkańcami planety. Doświadczeni obserwatorzy badają ich kulturę i psychikę, żeby odkryć źródło tej wrogości. Jeżeli wszystkie próby zawodzą, w sposób możliwie najmniej krwawy obejmujemy władzę na planecie, a potem starannie usuwamy z tamtejszej kultury elementy, które uniemożliwiają współpracę z innymi rasami. Po upływie życia jednego pokolenia zwracamy tubylcom całkowitą niezależność i pozwalamy swobodnie decydować, czy chcą przyłączyć się do federacji, która obejmuje już prawie pięć tysięcy planet. Muszę ci powiedzieć, że ani razu nie zdarzyło się, by ta ogromna praca nie przyniosła spodziewanych efektów. Podaję te przykłady tylko po to, by ci wykazać, jak wielka przepaść istnieje między metodami stosowanymi przez ludzi i przez rulle. Zasadniczo nie ma żadnego powodu, abyśmy zajęli Planetę Carsona. Wy, ezwale, jesteście wystarczająco inteligentne na to, by zrozumieć, kto jest waszym prawdziwym wrogiem, jeżeli tylko zechcecie zadać sobie trochę trudu i pomyśleć. A ty masz szansę zastanowić się nad tym jako pierwszy.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Jamieson czekał długo, ale nie dotarła do niego żadna odpowiedź. Ogarnęło go zniechęcenie. Zbliżał się wieczór, przez liany przenikało zamglone światło słońca. Uświadomił sobie nagle, że jego położenie, już teraz trudne, niedługo stanie się rozpaczliwe. Nawet jeżeli uda mu się uniknąć raili, najdalej za dwie godziny wielkie drapieżniki i mięsożerne

gady, żyjące na tej dziewiczej planecie, poczują głód i wyjdą ze swoich legowisk. Zrobią wszystko, by dopaść łupu, który, choć o wiele lepiej uzbrojony, na pewno padnie ich ofiarą. Może gdyby znaleźć jakieś drzewo, prawdziwe drzewo, z porządnymi, solidnymi konarami, i zmajstrować z lian alarm...

Ruszył powoli do przodu, unikając gęstych zarośli, w których mogło się ukrywać coś równie ogromnego jak ezwał. Posuwał się z trudem i już po kilkuset metrach rozboleły go ręce i nogi. W tym momencie dotarła do niego pierwsza, prawie niewyczuwalna wskazówka, że ezwał ciągle jeszcze jest w pobliżu. W jego głowie rozległa się nagła myśl:

- Jakieś stworzenie szybuje nade mną. Obserwuje mnie! Wygląda jak ogromny owad. Jest tak duży jak ty, ma przezroczyste skrzydła, niemal niewidoczne. Chyba wyczuwam mózg, ale jego myśli... nie mają sensu! Ja...

- Nie mają sensu? - przerwał mu Jamieson głosem stłumionym z przerażenia. - Powiedz raczej, że nie mają sensu dla ciebie. Rulle bardziej różnią się od ciebie i ode mnie niż my dwaj od siebie nawzajem. Przypuszcza się, że mogą pochodzić z innej galaktyki, chociaż ta teoria nie jest udowodniona. Wcale mnie nie dziwi, że nie potrafisz czytać w ich umysłach. - Nie przerywając ani na chwilę swoich wywodów, wyrwał broń z kabury i teraz wciskał się pod osłonę krzewów. - Ten rull leci na platformie antygravitacyjnej, która jest o wiele mniejsza i znacznie bardziej sprawna niż cokolwiek, co my, ludzie, zdołaliśmy do tej pory wynaleźć. To, co wygląda jak skrzydła, to tylko rodzaj aureoli powstałej dzięki temu, że oni modyfikują fale świetlne. Masz niebezpieczny przywilej oglądania rulla w jego naturalnej postaci, którą widziało bardzo niewielu ludzi. Mógł pozwolić ci na to dlatego, że uważa cię za bezrozumne zwierzę... Jednak nie! Musiał przecież dostrzec uprząż, w której jechałem.

- Nie widział. - W zaprzeczeniu wysłanym przez ezwała można było wyczuć ton lekkiego obrzydzenia. - Pozbyłem się jej natychmiast po tym, jak się rozstaliśmy.

Jamieson pokiwał głową.

- A więc zachowuj się jak zwierzę. Wycofuj się, warcz na niego, ale uciekaj ile sił w najgęstsze zarośla, jeżeli wystawi w twoim kierunku jedną ze swoich siatkowych wypustek. Znajdują się obok fałd widocznych po obu bokach jego ciała.

Nie nadeszła żadna odpowiedź.

Minuty ciągnęły się jak wieczność. Jamieson nasłuchiwał dźwięków i próbował zgadywać, jak rozwija się sytuacja. Czy ezwał, mimo niebezpieczeństwa, z którego chyba zdał już sobie sprawę, spróbuje nawiązać kontakt z rullem inaczej niż przez telepatię? A może rull, uzmysławiając sobie, że ma do czynienia z istotą inteligentną, uzna, że korzystnie byłoby wejść z nią w przewrotny sojusz? To byłoby jeszcze gorsze. Jamiesona przeszył dreszcz na myśl o tym, co wówczas mogłoby się zdarzyć na Planecie Carsona.

Znów wróciły odgłosy dżungli, ciche i denerwujące. Dochodziły ze wszystkich stron: trzask gałązek łamiących się pod nogami jakiegoś ogromnego stworzenia, ciche sapanie i warczenie; w jakimś nieokreślonym miejscu, może nawet blisko, rozległ się złowrogi, wibrujący krzyk. Jamieson wepchnął się jeszcze głębiej w gęstwinę krzaków i ostrożnie się rozejrzał. Nie zdziwiłby się, gdyby z cuchnącej mgły, która opadała na pogrążającą się coraz bardziej w ciemnościach ziemię, wyszło gigantyczne, groźne stworzenie.

Nie mógł już znieść tego napięcia. Musiał wiedzieć, co się tam dzieje. Może ezwał jednak poszedł za jego radą.

Skoncentrował się i w milczeniu przesłał myśl:

- Nadal cię śledzi?

Odpowiedź przyszła natychmiast:

- Tak. Chyba chce się czegoś o mnie dowiedzieć. Zostań tam, gdzie jesteś. Mam plan.

Jamieson gwałtownie się wyprostował.

- Coś podobnego - zakpił.

- Zagnam to stworzenie w twoim kierunku - wyjaśnił ezwał. -Zabijesz je swoim pistoletem. W zamian pomogę ci się dostać do Cieśniny Demona.

Z Jamiesona natychmiast wyparowało całe znużenie. Zachwycony wstał i przeszedł kilka kroków, nie zważając na niebezpieczeństwa, jakie mu groziły.

Jedno było pewne: ezwał zrezygnował z zawierania sojuszu z rullami! Nieważne, czy postąpił tak dzięki ostrzeżeniom Jamiesona, czy też dlatego że nie mógł pokonać bariery komunikacyjnej. Najważniejsze, że przestało istnieć zagrożenie powstałe w chwili, gdy pojawił się krążownik rulli.

Nagle uświadomił sobie, że nie potwierdził formalnie, czy przyjmuje propozycję ezwala. Już miał to zrobić, gdy uderzyła w niego agresywna fala myśli. Okazało się, że potwierdzenie jest zbyt cenne.

- Trevorze Jamiesonie, wyczułem twoją odpowiedź, ale strzeż się! Myślałem o zawarciu sojuszu z rullami tylko w jednym celu: po to, aby usunąć z naszej planety ludzi, których uważamy za największego wroga. Jednak może nie wszyscy moi współplemieńcy by się na to zgodzili. Mam nadzieję, że jesteś gotowy. Będę tam za kilka sekund.

Z lewej strony Jamieson usłyszał głuchy stuk i szelest gniecionych krzaków. Gdy odgłosy stały się głośniejsze, naprężył mięśnie i uniósł pistolet. Mimo mgły zobaczył ezwala, biegnącego z pozornym trudem na swoich sześciu nogach. Z odległości piętnastu metrów jego stalowe oczy świeciły jak latarnie. Jamieson wpatrzył się w falujące mgły, by wyodrębnić ciemny kształt unoszący się nad głową ezwala...

- Za późno! - usłyszał w umyśle krzyk. - Nie strzelaj, nie ruszaj się! Jest ich co najmniej dziesięciu i...

Biała błyskawica oświetliła okolicę, blokując emisję myśli ezwala, a potem zgasła. Jamieson, ciągle jeszcze oślepiiony niespodziewanym blaskiem i całkowicie przez to bezbronny, położył się na ziemi w oczekiwaniu na nieunikniony los.

Ale minęło kilka przerażających sekund i nic się nie działo. Gdy już odzyskał częściowo wzrok, zobaczył, co go uratowało. Nie był to żaden cud, lecz gęsta mgła. Chociaż była tak nieprzyjemna, jednak ukryła go, gdy wszedł pod sklepienie gałęzi. Położył się na brzuchu i ostrożnie rozejrzał. Raz czy dwa zobaczył jakieś kształty fruujące w powietrzu. Niepokoił go brak najmniejszej nawet oznaki, że ezwał jeszcze myśli. Czy tak potężna istota mogłaby zginąć w jednej krótkiej chwili, nie próbując nawet walczyć o życie?

Chyba jednak nie. Energia potrzebna do obozwładnienia i zabicia ezwala musiałaby spowodować jakiś hałas. Bardziej prawdopodobne było, że rulle zastosowali szok mentalny. Nic innego nie mogło spowodować tak zupełnego zatrzymania myśli w tym nadzwyczajnym umyśle.

Ten rodzaj ogłuszania stosowano prawie wyłącznie w stosunku do zwierząt i innych niższych form życia, nie obeznanym ze skumulowanym efektem, jaki wywiera oślepiające światło. A ezwał, mimo posiadania niezwykłego mózgu, był właściwie zupełnie nieucywilizowany; nie wiedział nic o ludzkich wynalazkach i dlatego zapewne okazał się bezbronny wobec mechanicznej hipnozy.

Takie rozumowanie doprowadziło Jamiesona do wniosku, że rulle uznali ezwala za zwykłe, prymitywne zwierze.. Na podstawie jego wyglądu i sposobu zachowania, jaki doradził mu Jamieson, wyciągnęli całkiem logiczny wniosek. Do czego więc był im potrzebny żywy? Może zauważyli, że nie pochodzi z tej planety, i chcieli zorientować się, skąd przybył? Chociaż planeta znajdowała się wewnątrz pierścienia ludzkich baz wojskowych, rulle mieli do niej łatwy dostęp i być może bywali

tu już wcześniej.

Jamieson uśmiechnął się pod nosem. Jeżeli rulle zabiorą ezwała na swój statek w przekonaniu, że jest zwykłym zwierzęciem, czeka ich gorzkie rozczarowanie, gdy on tylko odzyska przytomność. To zwierzę zabiło całą załogę ludzkiego statku kosmicznego, a przecież ludzie mieli przynajmniej jako takie pojęcie o możliwościach ezwali.

Nagle ciemne niebo na pomocy oświetliła błyskawica, a po kilku sekundach rozległ się grzmot.

Jamieson, nieprzytomnie podniecony, skoczył na równe nogi. To nie była burza. Ten dźwięk pochodził z urządzeń stworzonych przez ludzi. Natychmiast rozpoznał salwę dwieściepięćdziesiątek krążownika.

Krążownik! Ogromna jednostka, która przybyła najprawdopodobniej z najbliższej bazy, znajdującej się na planecie Kryptar IV. Mógł to być albo rutynowy patrol, albo poszukiwacze źródła wyładowań energii.

Po chwili zobaczył następną błyskawicę i usłyszał kolejny grzmot, tym razem głośniejszy i bliższy. Okręt rulli będzie miał szczęście, jeżeli uda mu się uciec.

Ale radość Jamiesona nie trwała długo. Ten nowy obrót wydarzeń nie na wiele mu się przyda. Czekala go noc pełna niebezpieczeństw. Wprawdzie nie musi się już obawiać rulli, ale poza tym w jego położeniu nic się nie zmieniło. W trakcie walki oba okręty odlecają daleko. Nawet jeżeli ktoś wyśle patrolowiec i jeżeli Jamieson go zauważy, nie będzie miał żadnego sposobu, by dać mu znać, że tu jest. No, może zdoła strzelić z pistoletu, jeżeli do tego czasu zostanie w nim jeszcze choć trochę energii.

Zrobiło się już tak ciemno, że widział za ledwie na parę metrów. Zagrożenie rosło. Mógł teraz polegać wyłącznie na wzroku i pistolecie. Jednak oczy niedługo staną się zupełnie bezużyteczne, a reszkę ładunku w pistolecie trzeba zachować jak najdłużej. Jamieson niespokojnie wpatrywał się w narastającą ciemność. Bardzo możliwe, że już został wytropiony przez jakiegoś niewidocznego potwora. Odruchowo rzucił się do ucieczki, ale zaraz się opanował. Panika tylko pogorszy sytuację. Polizał palec, wystawił go na wiatr i z prawej strony poczuł lekki podmuch. Wydawało mu się, że właśnie tam powinien szukać dysku anti-grawitacyjnego, ale teraz nie warto było o tym myśleć.

Ruszył w drogę pod wiatr, ale bardzo szybko się zorientował, że posuwanie się do przodu w tym labiryncie dżungli, tak trudne nawet za dnia, w nocy jest właściwie niemożliwe. Nie miał poczucia kierunku, więc co kilka metrów musiał sprawdzać, skąd wieje wiatr. Otaczała go atramentowa czerń. Bez przerwy potykał się o niewidoczne przeszkody, robiąc tyle hałasu, że mógł ściągnąć na siebie wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Chyba będzie musiał się zatrzymać. Jednak nieruchome tkwienie w tym miejscu podczas długich godzin nocy wydawało mu się tysiąc razy gorsze. Szedł więc niepewnie, ale ciągle do przodu, aż nagle jego palce dotknęły grubej kory. Natrafił na drzewo.

Pod drzewem przechadzały się wielkie zwierzęta, a on, wysoko ponad nimi, kurczowo trzymał się gałęzi. Podczas pierwszych godzin siedem razy jakieś potworne stworzenia wspinały się po pniu, miaucząc i śliniąc się z głodu, i siedem razy jego pistolet wystrzelił ciekawą wiązkę niszczycielskiej energii. Ogromne, pokryte łuskami drapieżniki, od których biegu drżała ziemia, przychodziły zapolować na niego... i odchodziły.

A jeszcze nie upłynęła nawet połowa nocy! W takim tempie ładunek pistoletu nie dotrwa do rana, a przecież przed nim następna noc, jeszcze następna... i kolejne. Ile dni zajmie mu dojście do dysku? Ile nocy... ile minut przeżyje, gdy pistolet się wyczerpie?

Jednak najbardziej denerwowało go to, że kiedy w końcu przekonał ewala, by pomógł mu walczyć z rullami, kiedy zwycięstwo było tuż, tuż, nagle zostało mu odebrane. W tym momencie przestał o tym rozmyślać, bo doprawdy okropne stworzenie zaczęło stękać u podstawy pnia. Wielkie pazury drapały korę, potem dwoje oczu, niepokojąco rozszerzonych, nagle rozwarło się jeszcze bardziej. Jamieson w panice zobaczył, że oczy zbliżają się do niego z niesamowitą prędkością.

W pierwszej chwili zacisnął palce na pistolecie, ale zaraz podjął inną decyzję i zaczął się wdrapywać po cienkich gałązkach. Ciągłe miał przerażające wrażenie, że któraś gałązka się złamie, a on spadnie prosto w paszczę tego okropnego stworzenia, znajdującego się dokładnie pod nim. Co gorsza, wiedział z niezachwianą pewnością, że zaśliniony pysk prawie dotyka jego pięt.

Jednak determinacja, by oszczędzić ładunek pistoletu, okazała się nadspodziewanie słuszną. Bestia już docierała do cienkich gałązek zaraz pod nim, gdy z dołu rozległo się obrzydliwe chrząkanie. Potem jakieś inne stworzenie, jeszcze większe, zaczęło się wdrapywać na pień. Całe drzewo wpadło w drżenie, gdy kotowate o lśniących kłach wdały się w walkę z tymi drugimi, ciężkimi i chrząkającymi. Chwilę później z ciemności dobiegł przerażający ryk i gigantyczny potwór o długiej szyi i dwumetrowych szczękach, którymi bez trudu mógł dosięgnąć Jamiesona, dołączył do jatki i zaatakował bez wyboru wszystkie te wściekle walczące zwierzęta. Pozabijał je, jedno zaciągnął na bok, pożarł w mgnieniu oka i odszedł, chwilowo nasycony.

O świcie, w miarę jak brzuchy, jeden po drugim, napełniały się, a najedzone zwierzęta odchodziły do swoich legowisk, wycia i chrząkania zaczęły cichnąć.

Gdy wstał dzień, Jamieson jeszcze żył. Był wyczerpany, z trudem zwalczał senność, a w głowie pozostało mu już tylko jedno pragnienie: przeżyć. Nie wierzył jednak, że uda mu się to choćby do wieczora. Gdyby ewal nie dopadł go tak szybko w sterowni statku, zabrałby ze sobą pigułki przeciwsenne, baterie do pistoletu, chronometr i kompas. No i przecież leciałby szalupą ratunkową, która sama wystarczyłaby do wyrwania się stąd.

Przynajmniej zdołał złapać pastylki odżywcze; wystarczą mu na miesiąc. Zsunął się z drzewa, odszedł kawałek od tego miejsca nasiąkniętego krwią i połknął kilka.

Gdy poczuł się lepiej, zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem. O ile mógł się zorientować po szybkości, z jaką potrafił przemieszczać się ewal, a także po upływie czasu, dysk anty-grawitacyjny powinien znajdować się najwyżej jakieś piętnaście kilometrów na pomoc. Gdyby nie brać po uwagę tysiąca najrozmaitszych, niemożliwych do przewidzenia wypadków i niebezpieczeństw, przebycie tej odległości zajęłoby mu dzień lub trochę więcej, w zależności od tego, ile odnóg morza i bagien napotkałby po drodze. Potem musiałby zataczać w dżungli coraz szersze koła, aż znajdzie dysk i naładuje pistolet. Sam dysk nie przyda mu się do niczego. Choć jego energia pozostała niewyczerpana, jest to tylko wymyślny spadochron, który może utrzymać w powietrzu niewiele więcej niż własny ciężar.

Innymi słowy, jeżeli dopisze mu szczęście, uzyska tylko jedną korzyść: naładowany pistolet, z którym będzie mógł ruszyć w długą drogę do uszkodzonego statku. Pięćset kilometrów dżungli, morza, bagien... i Cieśnina Demona. Pięćset kilometrów koszmarnego upału, wilgoci, spotkań z drapieżnikami...

Jednak uzalanie się nad swoim losem nie prowadzi do niczego pozytywnego. Musi zachować zdolność oceny sytuacji... i iść.

Wyczerpany brakiem snu i przerażającymi wydarzeniami nocy, ruszył w drogę. Pierwsza godzina mozolnego przedzierania się przez roślinność nie dodała mu odwagi. Zdołał przejść zaledwie półtora kilometra, i to nie w linii prostej. Co najmniej połowę czasu stracił na okrążanie bagien i kolczastych zarośli, tak gęstych, że chyba nawet ezwał nie potrafiłby się przez nie przebić.

Ile razy nadarzyła się okazja, tracił czas i siły na wspinanie się na drzewa, by sprawdzić odległość i kierunek marszu; była to sprawa podstawowa, jeżeli chciał dotrzeć do właściwego miejsca, od którego mógłby rozpocząć szukanie dysku.

Koło południa uznał, że w pożądanym kierunku przeszedł zaledwie jakieś sześć kilometrów. Rozpalone białe słońce znajdowało się teraz tak blisko zenitu, że przynajmniej przez godzinę nie będzie mógł się według niego orientować. Ten fakt, a także bliskość wysokiego drzewa, wydały mu się nieodpartym argumentem na rzecz krótkiego odpoczynku. Na wierzchołku drzewa zobaczył gałęzie, które wyglądały jak wyciągnięta ręka. Parę niezbyt kolczastych lian zapraszało do wspinaczki...

Gdy się obudził, u stóp drzewa chrząkało kilka głodnych, krwiożerczych zwierząt; najwyraźniej dobrze się czuły w ciemnościach, które nastąpiły po zejściu słońca.

W pierwszej chwili szarpnęło nim przerażenie, tak mocne, że ledwo mógł oddychać. Ta odbierająca dech ciemność, zagrażająca mu ze wszystkich stron... Potem, gdy zapanował nad nerwami, ogarnął go żal, że stracił tyle czasu. Jednak rozpaczliwie potrzebował odpoczynku; fizycznie czuł się teraz o wiele lepiej. Nie potrafił ocenić, jak długo spał, ale miał nadzieję, że noc wkrótce się skończy.

Drzewo nagle się zatrzęsło u podstawy. Wielkie łapy zaczęły szarpać pniem. Jamieson rzucił się do rozwiązywania lian, którymi przymocował się do konaru. Nie mógłby wspiąć się wiele wyżej, ale już się nauczył, że nawet jeden czy dwa metry mogą zadecydować o wszystkim.

Przez gęstą zasłonę mgły otaczającej planetę nie widział gwiazd, co uniemożliwiało mu obliczanie upływu czasu. Wydawało mu się, że godziny ciągną się w nieskończoność. Niezliczone głodne kotowate próbowały wspinać się do gałęzi, na której siedział, ale tylko jedno dotarło tak blisko, że musiał użyć pistoletu. Zrobił to, a serce mu się ścisnęło na widok słabiotkie-go płomienia. Ale nawet taki wydatek energii wystarczył, by spopielić łapy zwierzęcia. Kotowate spadło na ziemię, miauczac rozpaczliwie, a inne potwory natychmiast je pożarły, walcząc wściekle o zdobycz.

Gdy wreszcie nastał świt, słońce wschodziło wolno i leniwie, tak powoli, że Jamieson zwątpił, iż kiedyś jednak nastanie dzień. W dole jatki ustały. Udało mu się rozróżnić zwierzęta trochę podobne do hien, które napotkał w trakcie szalonej jazdy na grzbiecie ezwala dwa dni temu... rzeczywiście upłynęły od tego czasu zaledwie dwa dni? Spokojnie żarły resztki nie znanych mu stworzeń. Tak samo było wczoraj rano, ale dziś ta uczta skończyła się inaczej. Nagle zza krzaków bezszelestnie jak strzała pojawiła się wielka głowa, za którą widać było jakieś dziesięć metrów okrągłego ciała. Głowa spadła na najbliższego padlinożercę, który tylko zdążył zawyć i zaraz został zmiażdżony. Inne natychmiast rozpierzchły się i zniknęły. Gigantyczny wąż odpętlzył trochę dalej i zaczął połykać ofiarę w całości. Zajęło to zaledwie kilka minut, jednak wąż został na miejscu. Trawił w spokoju swój posiłek, zwłoki padlinożercy przesuwały się coraz głębiej, aż wreszcie zgrubienie w ciele węża

zniknęło. Przez cały ten czas Jamieson siedział nieruchomo na gałęzi i wstrzymywał oddech. Nie znał zwyczajów łowieckich węża, ale wydawało mu się mało prawdopodobne, by mógł go ściągnąć z takiej wysokości.

Po godzinie, najdłuższej, jaką Jamiesonowi przyszło kiedykolwiek przeżyć, wąż odpełził. Jamieson poczekał jeszcze kilka minut, potem zszedł z drzewa i ruszył w dalszą drogę. Szedł ścieżką wygniecioną przez węża. Starał się robić jak najmniej hałasu i wpatrywał się uważnie w ziemię przed sobą. Uważał, że tu, na śladzie węża, istnieje najmniejsza możliwość ponownego spotkania z padlinożercami, które może będą chciały wrócić do swojej uczy. Miał tylko nadzieję, że wąż nie zawróci ani nie zatrzyma się zbyt szybko na odpoczynek. W końcu jedno zwierzę to mamy posiłek dla tak kolosalnego żołądka, więc potwór na pewno podaży swoją drogą, by dalej polować.

Jednak Jamieson był zadowolony, gdy wreszcie po kilkuset metrach udało mu się zejść ze ścieżki węża i obrac przynajmniej w przybliżeniu kurs, w jakim szedł wczoraj. Dzień już zaczął się na dobre, słońce zapewne weszło, ale jeszcze przez jakąś godzinę nie będzie go widać. Dopiero wtedy będzie mógł się zorientować w stronach świata i ewentualnie skorygować kierunek marszu; na razie zamierzał iść w miarę możliwości w linii prostej.

W południe okazało się, że zrobił więcej drogi niż poprzedniego dnia, zapewne dzięki temu, że lepiej się czuł. Pozwolił sobie jedynie na godzinę odpoczynku i ostatnie trzy kilometry przeszedł do połowy popołudnia. Zmęczenie niemal go powalało, ale sama myśl o tym, że ma spędzić kolejną noc, mając jako jedyną obronę prawie wyładowany pistolet, dodała mu sił. Musiał natychmiast zabrać się do szukania dysku, póki jeszcze zostało kilka godzin światła.

Niedaleko stało wielkie drzewo. Przyjrzał mu się dokładnie, by zapamiętać jego kształt i rozpoznać je z każdej strony. Będzie zataczał wokół niego coraz większe koła; pierwsze stąd, gdzie stoi, następne o piętnaście metrów dalej, i tak cały czas. Dzięki temu na pewno nie przeoczy tak dużego metalowego przedmiotu jak dysk antygravitacyjny, chociaż i tak trzeba będzie sprawdzić starannie niektóre wyjątkowo bujnie zarośnięte miejsca. Ale oczywiście najpierw wdrapie się na drzewo i przyjrzy się temu, co widać z góry.

Cztery godziny później potykał się ze zmęczenia, kończąc piąte okążenie. Zapadał wieczór, wstępna obserwacja z drzewa nie dała żadnych rezultatów, a niedługo znów będzie musiał na nie wrócić i przeczekać okropną noc przerywanego koszmarami snu.

Ta myśl popchnęła go do jeszcze energiczniejszych poszukiwań, tak jak kilka razy przedtem. Przynajmniej skończy to okążenie, chociaż już teraz groziło mu niebezpieczeństwo ze strony zwierząt, które najwcześniej wychodziły na łowy. Nie ukrywał przed sobą, że okazał się głupim optymistą, mając nadzieję na znalezienie dysku. Kiedy oglądał po południu okolicę z drzewa, dowiedział się jednej rzeczy: teren, na którym się znajdował, kilka kilometrów dalej zwężał się, przechodząc w półwysep. Cóż, i tak przeszukanie takiego obszaru zajęłoby mu całe tygodnie.

Kończył ostatnie okążenie, chwytając się na nogach; nie miał nawet siły iść cicho. W tym rozpaczliwym położeniu właściwie mało go obchodziło, czy jakiś zwierz nie skończy z nim od razu albo najdalej za kilka dni.

Przedzierał się niemrawo przez gęstą dżunglę, gdy nagle wyszedł na niewielką polankę, której nie zauważył, rozpoznając teren z drzewa. Nawet tutaj ziemia nie była całkiem naga, bliżej środka rosły w gęstych kępach szarawe pnącza.

Przeszedł kilka kroków, gdy z drugiej strony polany dostrzegł w krzakach jakieś poruszenie i zaraz wielkie zwierzę, o długiej splątanej sierści i jarzących się, wściekłych oczach wyskoczyło piętnaście metrów przed nim. Widząc Jamiesona, wydało przerażający ryk, otworzyło pysk z ogromnymi kłami i rzuciło się na niego.

Jamieson zastygł w miejscu, instynktownie rozumując, że nie zdoła uciec. Z próbą uniku czekał, aż zwierzę skoczy i w powietrzu już nie będzie mogło zmienić kierunku. Jednak zwierzę nie skoczyło. Zaledwie zdążyło zebrać się do ataku, gdy nogi zaplątały mu się w pnącza i ciężko opadło na ziemię. I chociaż walczyło tak szaleńczo, że aż drżała ziemia, jakoś nie mogło się uwolnić. W zapadających ciemnościach Jamieson nie od razu zobaczył, co się stało, ale, gdy tak stał i zafascynowany obserwował całą tę scenę, zaczął ją rozumieć. Miał przed sobą drapieżne liany, zaopatrzone w coś w rodzaju macek, którymi wywijają jak batami. Macki okręcały się wokół szyi i nóg zwierzęcia, które mimo rozpaczliwych wysiłków nie mogło ich rozerwać. Inne wyrostki, ostre jak szpilety, wbijały się pod gęstą sierść i kaleczyły ofiarę. Nagle wielkie ciało zeszytywniało w ostatnich konwulsjach, kończyny wyprostowały się w nienaturalnej pozie i martwe zwierzę padło na ziemię. Leżało tak nieruchomo, jakby przemieniło się w skałę.

Wtedy liany spowolniły swoją działalność i zaczęły pełzać po truchle, rozprzestrzeniając się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu okryły całe zwłoki.

Jamieson wstrząsnął się, oderwał wzrok od okropnego widowiska i szybko się rozejrzał, czy w pobliżu nie rośnie żadna z tych lian. Już wiedział, z czym ma do czynienia, chociaż widział to po raz pierwszy w życiu. Była to mięsożerna roślina zwana *rytt*. Właśnie z jej powodu, a także z powodu gigantycznych węży, nie można było założyć na tej planecie bazy wojskowej. Co prawda, w przeciwieństwie do węży, które żyły wszędzie, liany nie porastały całej powierzchni planety, a pieniały się tylko tam, gdzie warunki glebowe odpowiadały ich metabolizmowi, ale w tych okolicach rozmnażały się bujnie i Jamieson zadrżał na myśl, że w ostatnich godzinach na pewno wielokrotnie mijał ich kępy.

Nagle uświadomił sobie, jak bardzo już jest ciemno. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że dźwiękowe tło, tak charakterystyczne dla tego dziewiczego świata, od dłuższej chwili stało się głośniejsze. Tutaj nic nie przypominało ciszy, jaka zapada na Ziemi w chwili zmierzchu. Był to raczej moment złowrogiego rozbudzenia, gdy na żer wychodzą ze swoich cuchnących legowisk niezliczone przerażające potwory - początek długiego *crescendo* bezrozumnej rzezi.

Postanowił wracać na swoje drzewo. Z tej odległości widział tylko jego wierzchołek, odznaczający się na coraz ciemniejszym niebie. Nagle w umyśle odczuł jakiś dziwny, choć wcale nie obcy dotyk, i dotarła do niego wyraźna myśl:

- Nie tędy, Trevorze Jamiesonie. Z drugiej strony. Dysk, którego szukasz, jest na następnej polanie, niedaleko od miejsca, gdzie stoisz. Czekam tu na ciebie. Wydaje się, że jeszcze raz potrzebuję twojej pomocy.

Jamieson stanął jak wryty, drżąc z podniecenia i jednocześnie z niepewności. Gdy widział ezwała po raz ostatni, był on skazany na łaskę i niełaskę rulli. To wołanie mogło być pułapką, bo a nuż ezwał mimo wszystko z nimi współpracował? Ale jeżeli nawet tak się stało, to po co zadawałby sobie trud przywoływania go?

- Rulle, którzy mnie złapali, nie żyją - nadawał ezwał niecierpliwie. - Ich szalupa została tutaj i jest sprawna. Jednak nie umiem jej pilotować, a to oznacza, że jesteś mi potrzebny. W tej chwili między tobą a mną nie ma żadnych zwierząt, więc pospiesz się!

Jamieson nagle odzyskał energię. Pobiegnął brzegiem polany. Ezwał niechętnie przekazał mu kilka krótkich informacji i wtedy wszystko zaczęło nabierać sensu. Krążownik rulli został tak szybko zmuszony do ucieczki, że nie zdążył zabrać szalupy patrolowej. A rulle znajdujący się w niej uważali, że pojмали zwykłe zwierzę, więc nie zachowali czujności i ezwał na pewno skorzystał z pierwszej okazji, by ich pozabijać. Zresztą Jamieson był pewny, że tak się stanie. Czyli teraz...

- Nie zabiłem ich - przyszła lakoniczna odpowiedź ezwała. - To nie było potrzebne. Za chwilę

zobaczysz, kto się tym zajął.

Jamieson utorował sobie drogą przez ostatnią gęstą kępę kolczastych paproci i wyszedł na sporą polanę. Po jednej stronie leżała szalupa rulli z szarego metalu, długa na jakieś trzydzieści metrów, a po drugiej dysk, którego z takim trudem szukał, a teraz, dzięki szalupie, już nie potrzebował. Pośrodku, wśród szarawych kęp lian *rytt*, spoczywały nieruchome ciała kilkunastu rulli. Ich owadzi wygląd wydawał się obcy nawet w tym niezwykłym otoczeniu. Przy włączaniu do szalupy pieniały się liany, niektóre przedostały się nawet przez próg do ciemnego wnętrza, jakby na swój instynktowny sposób szukały na oślep nowych ofiar. Jamieson odgadł, co się wydarzyło.

- Doprawdy, umiesz rozumować logicznie. - Ezwal z sarkazmem przerwał mu te rozmyślenia. - Tyle że bardzo powoli dochodzisz do właściwych wniosków. Tak, rzeczywiście siedzę w sterówce. Stalowe drzwi odgradzają mnie od lian. Proponuję, byś posłużył się pistoletem i utorował sobie drogę do mnie, bo tu będziesz bezpieczny. W pobliżu poluje kilka zwierząt, a oczywiście trudno liczyć, że mięsożerne liany uratują cię jeszcze raz.

Jednak Jamieson szybko podjął inną decyzję. Rzucił się do leżącego kilkanaście metrów dalej dysku, który na szczęście spadł na gołą ziemię, wspiął się na niego i odsunął płytkę zabezpieczającą mało skomplikowaną skrzynkę sterowniczą. Zdjął zatyczkę z pistoletu i wyjął małą kapsułkę. Dopóki nie włoży jej z powrotem na miejsce, pozostanie całkowicie bezbronny.

Podniósł pokrywkę ołowianej kasetki znajdującej się w skrzynce sterowniczej, umieścił kapsułkę na podstawie o dziwacznym kształcie i z powrotem nasunął pokrywkę. W dziesięć minut reakcja samoregenerująca, wywołana przez nieliczne neutrony, które jeszcze pozostały w kapsułce, naładuje ją do pełna. Jednak nie zamierzał tracić aż tyle czasu. Trzy minuty wystarczą na uzyskanie energii, jakiej w tej chwili potrzebuje.

Przykucnął i czekał. W ciemności prawie nic nie widział, ale w razie niebezpieczeństwa mógł natychmiast wyrwać kapsułkę i załadować ją do pistoletu. Nie był całkiem pewny, czy udałoby mu się to zrobić, ale nic innego mu nie pozostało. Przed oczami z całą wyrazistością stanęła mu okropność jego położenia. A fakt, że od ezwala nie nadeszło żadne pocieszenie, przerażał go jeszcze bardziej.

Gdy tak siedział w kucki i czekał, wpatrując się czujnie w czarne cienie snujące się wokół polany, zaczął mówić na głos, uprzejmie, ale z rozpaczliwą stanowczością:

- A więc rulle nie wiedzą, czym są liany *rytt*. Pewnie nigdy jeszcze się z nimi nie zetknęli, bo to dość rzadko występujące rośliny. Jednak i tak zachowali się głupio, skoro wylądowali tu w środku nocy bez zachowania najmniejszej ostrożności. Nic dziwnego, że liany uwięziły ich wszystkich. Czy widziałeś, jak to było, czy też w tamtej chwili byłeś jeszcze nieprzytomny, jak bezrozumne zwierzę, którym według nich jesteś, i nic o tym nie wiesz?

Odpowiedź ezwala nadeszła natychmiast. Wyczuwało się w niej ton wyższości.

- Otrząsnąłem się z ich hipnozy, zanim jeszcze skończyli wpychać mnie do szalupy. Zdołali mnie przenieść wyłącznie dlatego, że znajdowałem się na twoim dysku antygravitacyjnym, do którego przywiązali mnie łańcuchami. Ale ci, co mnie otaczali, byli uzbrojeni, pomyślałem zatem, że lepiej będzie, jeżeli nie pokażę im, jak łatwo mógłbym się uwolnić. Tak więc, gdy zamykali mnie w śluzie, udawałem, że jestem nieprzytomny. Gdy zostałem sam, rozerwałem łańcuchy. Miałem nadzieję, że wyjdą z szalupy na rekonesans, i rzeczywiście wszyscy wyszli, gdy rozległo się coś w rodzaju grzmotu. Nie potrafiłem zrozumieć ich myśli, bo są dla mnie obce. Wyczułem tylko, że są bardzo podnieceni. Nagle ich podniecenie jeszcze bardziej wzrosło, a potem, po jakiejś minucie, ich umysły umilkły. Zdołałem odgadnąć, co się stało, ale dla upewnienia się wyszedłem ze śluzy i rozejrzałem się po okolicy. Było już ciemno, jednak ja dobrze widzę w ciemnościach. Wszyscy rulle byli martwi.

Jamieson dałby wiele, by równie dobrze widzieć w ciemnościach. Właśnie mu się wydało, że w odległym krańcu polany coś się rusza, chociaż wcale nie był tego pewny. Trzy minuty, które sobie wyznaczył, chyba dobiegały końca. Nie będzie czekał dłużej. Siłą woli zmusił swoje dygoczące ręce do metodycznego działania. Zdjął parę maleńkich szczypczyków z zamocowania, znajdującego się obok ołowianej skrzyneczki, otworzył pokrywkę i ostrożnie wyjął kapsułkę. Z największą starannością umieścił ją na miejscu w pistolecie, sprawdził zamknięcie i wydał długie westchnienie ulgi.

Jeszcze raz rozejrzał się po polanie, a potem uważnie zbadał wzrokiem podejrzaną miejscę. Jednak nadal nie zauważył nic niepokojącego. Prawdopodobnie coś sobie wyobraził. Mimo to, schodząc z dysku, a potem idąc powoli do szalupy, pilnie obserwował otoczenie.

Po drodze znów zaczął spokojnie przemawiać do ewalu:

- Powiedziałeś mi wystarczająco dużo. Na tej podstawie sam już potrafię zrekonstruować dalsze wydarzenia. Gdy zobaczyłeś, że wszyscy rulle nie żyją, postanowiłeś przeczekać noc w szalupie, bo nawet mimo swojego wspaniałego wzroku nie mogłeś mieć pewności, czy nie przeoczysz jakiejś liany. A liany są jedyną rzeczą na tej planecie, która naprawdę budzi w tobie lęk. Twoje pierwsze spotkanie z nimi zapewne okazało się interesujące. To prawda, jesteś bardzo szybki i silny, ale żeby się od nich uwolnić, musiałeś także mieć trochę szczęścia. Poza tym wiedziałeś, że im dalej będziesz wchodził na półwysep, tym więcej lian napotkasz. I wpadłeś w przerażenie. Więc doszedłeś do wniosku, że będziesz mnie potrzebował - mnie i mojego pistoletu.

Na ciemnej ziemi pierwsza kępa lian zaznaczała się jaśniejszą plamą. Jamieson wymierzył w nią pistolet, osłonił oczy drugą ręką i strzelił. Gdy struga energii uderzyła w rośliny, rozległ się trzask. Chociaż Jamieson nie widział płomienia, miał pewność, że pistolet jest dobrze naładowany. Ruszył do przodu, wodząc lufą na wszystkie strony. Nie odejmował palca od spustu. Potem zatrzymał się i rozejrzał. Znajdował się pośrodku szerokiej, czarnej, wypalanej smugi, a do następnej kępy miał jakieś sześć czy siedem metrów. Podjął monolog:

- Siedzisz w sterówce już dwa dni, prawda? Chyba nie było ci łatwo przecisnąć się przez właz, który musiałeś wyłamać, bo nie wiesz, jak działa główna tablica kontrolna. Więc go wyłamałeś, co nawet przy twojej sile nie było proste. Następnego dnia rano, gdy otworzyłeś drzwi sterówki, o mało nie wszedłeś na liany. Założyłbym się, że w panice zatrzaskałeś drzwi i umocniłeś wszystkie zamki. To powstrzymało liany, bo nie są dość silne, by przedziurawić metal. Mogą się przyczepić i uderzać w sto miejsc jednocześnie, ale nie zniszczą stalowych drzwi tak, jak ty to potrafisz. I zostałeś tu.

Druga kępa szarych lian, bardziej rozległa niż poprzednia, została potraktowana tak samo jak pierwsza. Między Jamiesonem a szalupą była już tylko skłębiona masa, pokrywająca martwe ciała rulli.

Jamieson mówił dalej, spokojnie, ale nie owijając w bawełnę:

- Przez te dwa dni zbadałeś mechanizmy sterownicze, próbując zrozumieć, jak działają, ale poniosłeś całkowitą klęskę. Na pewno chciałeś w końcu wypróbować je na oślep, nie zważając na to, co się stanie. A potem ja się odnalazłem i sytuacja się zmieniła. Mówię tu o moim pojawieniu się w pobliżu, wiele godzin temu. Oczywiście wyczułeś moją obecność, co dla ciebie oznaczało dogodną możliwość w rezerwie. Dalej badałeś przyrządy sterownicze. Postanowiłeś, że jeżeli nie zrozumiesz ich funkcjonowania przed zapadnięciem ciemności, zawołasz mnie, bo wolałeś nie ryzykować, wiedząc, że w takim stanie wyczerpania mogę nie przeżyć następnej nocy. Jednak mimo wszystko, gdybyś zdołał poznać działanie przyrządów, po prostu byś odleciał i zostawił mnie tu na pewną śmierć.

Przerwał i zaczął czekać chwilę, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi, nawet na to ostatnie, poważne

oskarżenie. Ta dziwna, dumna istota, siedząca w szalupie, musiała bardzo dobrze wiedzieć, że zaprzeczanie nie zda się na nic, a nie była zdolna do odczuwania wyrzutów sumienia.

Jamieson dotarł już prawie do wjazdu. Do spopielenia pozostały mu jeszcze tylko liany, które wdarły się do wnętrza. Zmniejszył siłę rażenia pistoletu, by nie uszkodzić spójnię hermetyzujących wjazd, i odezwał się jeszcze raz. Przypuszczał, że to będą ostatnie słowa, jakie kieruje do ewwala:

- Spalę wszystkie liany, aż do drzwi. Gdy to zrobię, wyjdiesz ze sterówki i pójdziesz do służby, w której pozostaniesz. Aby się upewnić, że posłuchasz moich rozkazów, zainstaluję tu komórkę fotoelektryczną. Jeżeli tylko ośmielisz się wychylić nos choćby na centymetr, komórka włączy pistolet, który ostrzela cały korytarz. Ale jeżeli będziesz siedział spokojnie, nic ci nie grozi. Droga do najbliższej bazy zajmie nam dwa tygodnie, a stamtąd polecimy na Planetę Carsona, gdzie z radością zwrócę ci wolność. Przez ten czas możesz poszukać czegoś do jedzenia w służbie, chociaż wątpię, czy znajdziesz. Gdyby kieszki grały ci marsza bardzo głośno, na pociechę pomyśl sobie, że bez znajomości astrogacji i napędu hiperprzestrzennego umarłbyś z głodu na długo przed tym, zanim zdołałbyś wrócić na swoją planetę bez mojej pomocy. Ale w tej sytuacji powinieneś jeszcze żyć, gdy będę cię widział po raz ostatni. Nie powiodła ci się próba zachowania w tajemnicy przed moim rządem faktu, że ewwale są istotami rozumnymi. Jednak w swoim raporcie zaznaczę, że według mnie przeciętny dorosły ewwal jest tak samo niezdolny do racjonalnego myślenia jak zwykłe bezrozumne zwierzę. A teraz zabieraj swój gruby tyłek jak najdalej od drzwi, bo zaraz porządnie się rozgrzeją.

Po dwóch dniach lotu szalupą z Eristana II Jamieson nawiązał łączność radiową z krążownikiem należącym do przyjaznej ludzom rasy. Wyjaśnił swoje położenie i uzyskał zgodę, by użyć potężnego radia krążownika jako przekaźnika dla skontaktowania się z najbliższą bazą Ziemi.

Jednak upłynął jeszcze cały tydzień, zanim ziemski okręt wojenny wziął na pokład szalupę rulli i zgodził się przewieźć Jamiesona i ezwała na Planetę Carsona. Wprawdzie kapitan okrętu nie słyszał o ezwalach, ale po sprawdzeniu dokumentów Jamiesona przyjął do wiadomości, że ma on prawo decyzji w sprawach dotyczących tych istot.

Gdy zbliżali się już do planety, komendant bazy udzielił okrętowi zezwolenia na wylądowanie w nie zamieszkanym rejonie. Właśnie tam Jamieson odbył ostatnią rozmowę z ezwalem.

Okolica była przepiękna. Aż do horyzontu na pomocy wznosiły się faliste wzgórza, na zachodzie zielenił się las, a w dolinie na południu lśniła szeroka rzeka. Planeta Carsona obfitowała w zieleń i wodę.

Ezwal bez trudu zszedł na ziemię, odwrócił się i spojrzał na Jamiesona, który pozostał na platformie wystającej z dolnej części okrętu.

- Zmieniłeś może zdanie? - spytał Jamieson.

- Opuść naszą planetę i zabierz ze sobą ludzi - odparł sucho ezwal.

- Czy zechcesz powiedzieć swoim pobratymcom, że odejdziemy stąd, jeżeli wprowadzicie u siebie cywilizację techniczną, która pozwoli bronić planety przed milami?

- Ezwale nigdy nie zgodzą się na to, by stać się niewolnikami maszyn.

W tej myśli było tyle determinacji, że Jamiesonowi nie pozostało nic innego, jak tylko pokiwać głową. Nic nie mogło zmienić emocjonalnej postawy dorosłych ezwali, która ukształtowała się w ciągu milionów lat ich istnienia. Niestety, w ten sposób wpadły w pułapkę, z której nie wydostaną się bez pomocy.

- A przecież jesteś wolną istotą - powiedział Jamieson łagodnie - i chcesz żyć własnym życiem. Udowodniłeś to na Eristanie II.

Ezwal wydawał się jednocześnie zirytowany i zażenowany.

- Czytam w twoim umyśle, że istnieją rasy, które prowadzą zbiorowe życie. Natomiast ezwale są indywidualistami, chociaż łączy ich wspólny cel. Ale odnoszę wrażenie... choć nie rozumiem tego dokładnie... że dla ciebie ta niezależność jest słabością.

- Nie słabością - odpowiedział Jamieson. - Po prostu słabym punktem. Gdybyście stanowili spójną społeczność, traktowalibyśmy was inaczej. Na przykład nie macie imion, prawda?

W myślach ezwała wyczuwało się teraz obrzydzenie.

- Telepaci nie potrzebują takich elementarnych oznaczeń, żeby rozpoznać się nawzajem. I ostrzegam cię - myśli ezwała zabarwiły się złością - jeżeli sądzisz, że zrobisz z nas konformistów dzięki pomysłowi, jaki wyczuwam w twoim umyśle, bardzo się mylisz. - Ton myśli ezwała znów się zmienił, złość ustąpiła miejsca pogardzie. - Jednak oczywiście twój kłopot nie polega na tym, co zrobisz z nami, lecz na tym, jak przekonać swoich ludzkich braci, że ezwale są inteligentne. I z tym kłopotem cię pozostawiam.

Ezwal odwrócił się i puścił lekkim truchtem przez łąkę. Jamieson zawołał za nim:

- Dziękuję za uratowanie mi życia, a także za to, że raz jeszcze mogłem się przekonać, ile znaczy współpraca w chwilach wspólnego zagrożenia.

- Nie mogę składać podziękowań istocie ludzkiej, nawet jeżeli na nie zasługuje - nadeszła odpowiedź. - Żegnaj. I więcej już mi się nie naprzykrzaj.

- Żegnaj - powiedział cicho Jamieson. Ogarnęło go poczucie klęski, a jednocześnie żalu.

Przed odjazdem z Planety Carsona Jamieson rozmawiał z rządzącą tu radą wojskową. Jego sugestie spotkały się z lodowatym przyjęciem. Gdy tylko zrozumiano, co chce zrobić, gubernator przewodniczący radzie przerwał mu:

- Panie Jamieson, na tej sali, a także na całej planecie nie znalazłby pan ani jednej osoby, która nie straciła kogoś bliskiego, zmasakrowanego przez ezwale.

Ta uwaga nie miała nic wspólnego ze sprawą ani z punktu widzenia nauki, ani wojskowości, więc Jamieson milczał. Gubernator mówił dalej:

- Gdybyśmy uwierzyli, że te stworzenia są inteligentne, naszym pierwszym odruchem byłoby wymordowanie ich. Tym razem, panie Jamieson, człowiek nie miałby obowiązku okazywać najmniejszej litości wobec obcej rasy.

Wśród członków rady dały się słyszeć gniewne pomruki aprobaty. Jamieson prześliznął się spojrzeniem po wrogich twarzach. Wiedział, że baza na Planecie Carsona była rzeczywiście utrzymywana z wielkim trudem. Zaledwie kilka razy w swojej historii człowiek napotkał rasę, która wzbudzałaby w nim aż taką nienawiść jak ezwale. Najgorsze w tym wszystkim było to, że Planeta Carsona stanowiła jedną z trzech głównych baz, niezbędnych dla obrony Galaktyki. Nie tylko nie można się było stąd wycofać, ale nawet, w razie konieczności, udałoby się uzasadnić potrzebę eksterminacji ezwali przed zgromadzeniem ras pozaziemskich, sprzymierzonych z ludzkością.

Jednak powodzenie eksterminacji stało pod znakiem zapytania z powodu, który znał jedynie on: że ezwale porozumiewają się za pomocą telepatii. Ten prosty fakt skazywał na niepowodzenie wszystkie próby wyniszczenia ich rasy. Niewielu ludzi widziało kiedykolwiek ezwala, a teraz przyczyna tego stawała się oczywista. Ezwale zawsze były uprzedzone o zbliżaniu się człowieka,

Gdyby powiedział tym przepełnionym nienawiścią ludziom, że ezwale są telepatami, uczeni przebywający na planecie szybko znaleźliby sposób na ich wybicie. Wystarczyłaby emisja sztucznych fal mózgowych, by je oszołomić, bo w gruncie rzeczy były naiwne i bezbronne.

Stojąc tak przed radą, Jamieson uświadomił sobie, że nie jest to odpowiednia chwila na opowiadanie o przygodach, jakie przeżył na Eristanie II. Trzeba pozwolić im uwierzyć, że właściwie wysunął tylko pewną teorię. Ze względu na jego stanowisko większość członków rady ugięłaby się w końcu pod wymową faktów, które by im przedstawił. Ale teorię by odrzucono, przytaczając jako argument to, że oni tu mieszkają i znają dobrze tę planetę, podczas gdy on przebywa tu tylko przejazdem. A jednak musi im wyraźnie dać do zrozumienia, że ich uparta postawa jest nie do przyjęcia.

- Szanowne panie - powiedział, kłaniając się trzem kobietom zasiadającym w radzie - szanowni panowie, brak mi słów, by wyrazić, jak ogromną troskę i dobrą wolę wykazało Zgromadzenie Galaktyczne, gdy wysyłało mnie tutaj w nadziei, że zdołam pomóc mieszkańcom Planety Carsona uporać się z problemem ezwali. Uprzedzam, że zalecę Zgromadzeniu zorganizowanie plebiscytu w celu uzyskania odpowiedzi na pytanie, czy ludzie są skłonni zgodzić się na racjonalne rozwiązanie tego problemu.

- Sądzę - powiedział zimno gubernator - że mamy pełne prawo potraktować pańskie słowa jak obelgę.

- Nie miałem zamiaru was obrażać - odparł Jamieson. - Jednak uważam, że członkowie rady są tak przytłoczeni własnymi stratami, iż nie pozostaje nam nic innego, jak odwołać się do mieszkańców planety. Dziękuję, że zechcieliście mnie wysłuchać - zakończył uprzejmie i usiadł.

Oficjalny obiad, w którym uczestniczył po zebraniu rady, minął w prawie całkowitym milczeniu. Po posiłku do Jamiesona podszedł wiceprzewodniczący rady, któremu towarzyszyła młoda kobieta,

mniej więcej trzydziestoletnia, o zgrabnej figurze, ładnej twarzy i niebieskich oczach. Jednak patrzyła tak twardym wzrokiem, że tej urody się nie zauważało.

Mężczyzna odezwał się niechętnie:

- Doktorze Jamieson, pani Whitman prosiła, żebym jej pana przedstawił.

Szybko dokonał prezentacji i odszedł, zupełnie jakby ten krótki kontakt był wszystkim, na co potrafił się zdobyć. Jamieson w zamyśleniu przyjrzał się kobiecie. Przypomniał sobie, że widział ją podczas obiadu. Prowadziła jakąś poważną rozmowę ze swoimi sąsiadami. Jednym z nich był mężczyzna, z którym do niego podeszła.

- Jest pan doktorem nauk przyrodniczych, prawda? - spytała.

- Rzeczywiście, mam doktorat z fizyki - przyznał - ale studiowałem również mechaniką nieba i eksplorację kosmosu, a to są bardzo specjalistyczne dziedziny.

- Nie wątpię - odparła obojętnie. - Jestem wdową, mam jedno dziecko. Mój mąż był inżynierem chemikiem. Zawsze podziwiałam jego wiedzę. - Po namyśle dorzuciła: - Zabił go ezwał.

Jamieson uznał, że mąż tej kobiety musiał być bardzo wybitnym chemikiem, skoro wdowa po nim utrzymuje stosunki towarzyskie z członkami rady. Jednak powiedział tylko:

- Współczuję pani i pani dziecku.

Zesztywniała, słysząc te ciepłe słowa, a potem podjęła:

- Prosiłam, żeby mnie panu przedstawiono, ponieważ większość najważniejszych decyzji dotyczących Planety Carsona podjęto dwa pokolenia temu. Chciałabym, żeby pan tu został kilka dni. Pokazałabym panu coś, co mogłoby stanowić rozwiązanie naszego trudnego problemu. Na pewno pan wie, że planeta ma satelitę nadającego się do zamieszkania?

Jamieson zauważył satelitę podczas lotu okrętem wojennym.

- Chce mi pani dać do zrozumienia, że baza powinna zostać przeniesiona na ten księżyc?

- Mógłby pan polecieć i zobaczyć go z bliska - zaproponowała. - Od pięćdziesięciu lat nikogo tam nie było.

Musiał przyznać, że kobieta podsunęła mu dobrą myśl. W wielkiej społeczności galaktycznej często zapomniano o czymś, co jeszcze niedawno budziło ogólne zainteresowanie. Ważne informacje były rejestrowane i odkładane do archiwum. Zbyt wiele naglących spraw czekało, aż jakieś władze się nimi zajmą. Każdy problem wymagał szczegółowej analizy, a gdy już jej dokonano i podjęto decyzję, nikomu nie chciało się ponownie sprawdzać danych, na których podstawie ją podjęto, nawet jeżeli mogłoby się to okazać korzystne.

Jamieson wątpił, by satelita rzeczywiście stanowił rozwiązanie kłopotów planety. Jednak wyjątkowa wrogość, z jaką się tu spotkał, przygnębiła go i był wdzięczny tej kobiecie, że nawiązała z nim rzeczową rozmowę zamiast okazywać wyłącznie nienawiść.

- Proszę, niech pan tam poleci - nalegała. Jamieson szybko zastanowił się, czy czas mu na to pozwoli. Powolny transportowiec, który wiozł samicę ezwała z jej młodym, dotrze na odległą o tysiące lat świetlnych Ziemię dopiero za kilka tygodni.

- W porządku, polecę - zgodził się. - Czy to pani będzie moją przewodniczką?

Roześmiała się, ukazując ładne białe zęby.

- Chyba nie sądzi pan, że ktokolwiek inny by się na to zdobył? Przecież nie chcą nawet z panem rozmawiać. Jamieson musiał jej, niestety, przyznać rację.

Bolały go oczy. Bez przerwy mrugał, starając się nie tracić z pola widzenia metalicznego lśnienia skafandra kosmicznego swojej przewodniczki.

Już teraz gorzko żałował, że podjął tę podróż na księżyc Planety Carsona. Na pokładzie krążownika, który zarekwirował, sprawdził dane o satelicie w encyklopedii galaktycznej. Nie były zachęcające. Istniała tam ogromna różnica temperatur między dniem a nocą. Takie ciało niebieskie nie nadawało się do zamieszkania przez miliony ludzi, niezbędnych do obsługi wielkiej bazy wojskowej.

W oślepiającym blasku słońca, które wznosiło się coraz wyżej nad fantastycznym horyzontem satelity, z trudem dostrzegał swoją przewodniczkę. Zupełnie, pomyślał, jakby celowo trzymała się w zasięgu tego rażącego światła, by odwrócić jego uwagę i pozbawić go sił.

Półtora kilometra niżej widział lasy porastające ponurą, złowrogą płaszczyznę, podziurawione skały, usypiska kamieni i, od czasu do czasu, plamy marnej trawy, tak samo ciemnej i mało zachęcającej, jak lasy, które w końcu znikły w oddali. Oni lecieli wysoko na niebie, jak miniaturowe ciała niebieskie z lśniącego metalu, poruszające się z szybkością spadających gwiazd.

Parę razy zauważył stada wielkich roślinożerców o szarojabłkowej sierści, a daleko po lewej mignął mu gładki, błyszczący łuskowaty pancerz wampirzego gryba.

Nie widział dobrze prędkościomierza, umieszczonego w przezroczystym wizjerze hełmu, bo pod tym hełmem miał drugi, złączony z ogrzewanym elektrycznie kombinezonem. Oślepiały go promienie słońca, załamujące się na obu tych przeszkodach. Ale teraz, gdy powziął pewne podejrzenia, starał się przebić wzrokiem cały ten blask, aż w końcu łzy stanęły mu w oczach i widok się zamglił. Jednak to, co zobaczył, spowodowało, że gwałtownie zacisnął zęby.

- Halo, proszę pani! - zawołał przez mikrofon tonem równie lodowatym jak jego myśli.

- Słucham, doktorze Jamieson - odpowiedziała. Jamiesonowi wydało się, że położyła specjalny akcent na słowie „doktorze”, wymawiając je z nutką sarkazmu... a może z otwartą wrogością. - O co chodzi, doktorze?

- Mówiła pani, że mamy przelecieć osiemset trzydzieści osiem kilometrów albo...

- Albo coś koło tego - dokończyła za niego.

Jej odpowiedź nadeszła natychmiast, a wrogość w głosie była jeszcze wyraźniejsza, bardziej rozmyślna.

Oczy Jamiesona zwięzły się w dwie szczeliny o stalowej barwie.

- Mówiła pani osiemset trzydzieści osiem kilometrów - powtórzył. - Skoro ta liczba nie jest okrągła, uznałem ją za ścisłą. Nie wierzę, by pani nie знаła dokładnej odległości między Pięcioma Miastami a kopalniami platyny. Odkąd opuściliśmy Pięć Miast dwie godziny temu, przelecieliśmy już tysiąc dwieście kilometrów i...

- Zgadza się - przerwała mu kobieta z wyraźną arogancją. - Niezbyt się to panu podoba, prawda, doktorze Jamieson?

Nie odpowiedział, lecz zaczął analizować zagrożenia, jakie niesła sytuacja. W pierwszym odruchu złości chciał ofuknąć kobietę za jej bezczelność, ale jego umysł, nagle jasny jak kryształ, zdusił tę reakcję i rzucił się w wir spekulacji.

Wyczuwał w tym wszystkim jakieś nieczyste zamiary. Zaczaj spokojnie rozważać, co robić dalej, bo taka sytuacja nie była mu obca. W czasach, gdy badał najdalsze planety, nie raz i nie dwa zdarzało mu się stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. Pewną pociechę przyniosła mu myśl, że wtedy zawsze udało mu się wyjść z opresji cało, a przecież w obliczu śmiertelnego zagrożenia, tak jak w każdych

innych trudnych okolicznościach, najbardziej liczyło się doświadczenie.

Zaczął hamować, co nie było łatwe przy szybkości, jaką już zdążył osiągnąć. Będzie potrzebował czasu na jej wytracenie, ale może jednak zdąży, chociaż postawa kobiety sugerowała, że krytyczny moment jest rozpaczliwie bliski. Wiedział, że póki nie uda mu się znacznie zwolnić, nic nie może zrobić.

Wysiłkiem woli uspokoił oszalałe bicie serca i szepnął łagodnie:

- Niech mi pani powie: cała rada wie o zamierzonym morderstwie czy też jest to pani własny pomysł?

- Teraz już niczym nie ryzykują, więc mogę panu odpowiedzieć na to pytanie - usłyszał. - Zdecydowaliśmy, że nie wolno nam dopuścić, by przekazał pan Zgromadzeniu Galaktycznemu swoje zalecenia w sprawie ezwali. Oczywiście dobrze wiedzieliśmy, że nasz księżyc nigdy nie zostanie zaaprobowany jako zastępcze miejsce na bazę.

Jamieson roześmiał się niewesołym, ale wyrozumiałym śmiechem. Chciał zająć jej uwagę, by się nie zorientowała, że powoli i ostrożnie wytraca wysokość. Przyspieszenie, z jakim opadał po łuku, niemal rozdzierało mu ciało i rwało płuca na strzępy, ale nie pozostało mu nic innego, jak kontynuować ten bolesny lot. Teraz był już na niebie sam, lśniący skafander jego przewodniczki zniknął gdzieś w oddali. Najwyraźniej nie obejrzała się za siebie ani nie zauważyła zmian na swoim wskaźniku położenia. Starając się, by odkryła to jak najpóźniej, podjął rozmowę:

- I jak zamierza mnie pani zabić?

- Za kilkanaście sekund - odparła nerwowo - silnik w pańskim skafandrze... - Zamilkła. - Och - odezwała się po chwili - nie leci pan już za mną. Próbuje pan wylądować. Doskonale! To się panu na nic nie przyda. Zaraz do pana wracam...

Jamieson znajdował się już kilkanaście metrów nad nagimi skałami, gdy nagle usłyszał jakieś trzaski w mechanizmie swojego silnika, który do tej pory pracował bezszelestnie. Śmiertelna gwałtowność tego, co się teraz zdarzyło, nie zostawiła mu ani chwili na rozmyślanie. Zdziałał instynktownie. Poczul ostry, nagły ból i ogarnęło go przerażające wrażenie, że się pali, co odebrało mu wszelką zdolność racjonalnego rozumowania. Potem uderzył w ziemię i na oślep, automatycznie wyłączył parzący silnik, w którym nastąpiło krótkie spięcie. Stracił przytomność.

Obudził się w jakimś nieprawdopodobnym świetle. Skały następowały na niego, kręciły się wokół, atakowały. Zmusił się do skupienia myśli i po chwili całkowitej pustki w głowie spostrzegł, że nie ma na sobie skafandra. Światło go nie oślepiało, chociaż miał już tylko jeden hełm, ten od kombinezonu grzewczego. Powoli zaczął odczuwać, że ostra krawędź skały boleśnie wbija mu się w plecy. Jeszcze oszołomiony, ale już przytomny, podniósł wzrok i zobaczył, że obok niego klęczy jego przewodniczka. Odpowiedziała mu wrogim spojrzeniem i sucho poinformowała:

- Ma pan szczęście, że jeszcze żyje. Najwyraźniej zdążył pan w ostatniej chwili wyłączyć silnik. Nastąpiło w nim krótkie spięcie od opiłków ołowiu. Ma pan lekko poparzone nogi. Posmarowałam je maścią, żeby nie odczuwał pan bólu i mógł iść.

Wstała. Jamieson potrząsnął głową, by pozbyć się ostatniej mgiełki otumanienia, i spojrzał na nią pytająco, ale milczała. Jednak chyba zrozumiała, o co mu chodzi, bo po chwili podjęła:

- Biorąc pod uwagę stawkę w tej grze, nie sądziłam, że będę miała tyle skrupułów - przyznała z irytacją. - Ale tak właśnie było. Wróciłam, żeby pana zabić, ale przecież nie zabiłabym nawet psa, nie pozostawiając mu żadnej szansy. No więc ma pan swoją szansę, jeżeli w ogóle na tym księżycu można mówić o szansach.

Jamieson podniósł się i uważnie spojrzał w jej oczy. Miał już do czynienia z twardymi kobietami, ale jeszcze nigdy nie słyszał, by któraś tak uczciwie przedstawiała swoje intencje. Zresztą i tak

właściwie nie miała powodu, by je teraz ukrywać.

Rozejrzał się i jego oczy, przyzwyczajone do rejestrowania szczegółów, odkryły pewien brak.

- Co pani zrobiła ze swoim skafandrem? Kobieta wskazała głową niebo.

- Jeżeli ma pan dobry wzrok - powiedziała tonem, w którym nie wyczuwało się nawet cienia sympatii - na prawo od słońca zobaczy pan ciemną plamkę, teraz już prawie niewidoczną. Związałam nasze skafandry i włączyłam silnik w moim. Za jakieś trzysta godzin oba spadną na słońce.

- Proszę mi wybaczyć - odparł zimno - ale trudno mi uwierzyć, że postanowiła pani zostać tu i umrzeć razem ze mną. Wiem, że ludzie oddają życie za to, co uważają za słuszną sprawę. Jednak niezbyt dobrze rozumiem powód, dla którego pani chce umrzeć. Na pewno podjęła pani jakieś środki i ktoś po panią przyleci.

Kobieta gwałtownie się zaczerwieniła.

- Nikt po mnie nie przyleci - krzyknęła. - Zamierzam panu udowodnić, że w tej sprawie nikt z naszej społeczności nie myśli o sobie. Umrę tutaj, bo oczywiście pieszo nigdy nie dotrzemy do Pięciu Miast, a kopalnie platyny są jeszcze dalej.

- Czysty idiotyzm! - wykrzyknął Jamieson. - Po pierwsze to, że pani została ze mną, niczego jeszcze nie dowodzi... no, może tylko pani głupoty. Po drugie takie postępowanie wcale nie budzi we mnie podziwu. Jednak cieszę się, że pani została i jestem wdzięczny za maść, którą posmarowała pani moje oparzenia.

Ostrożnie wstał i spróbował przejść kilka kroków, najpierw w prawo, potem w lewo. Powróciły lekkie mdłości i oszołomienie, ale zwalczył je siłą woli.

- No cóż! - skomentował na głos takim samym zimnym tonem, jakim mówił do tej pory. - Nie boli, ale jestem osłabiony. Mam jednak nadzieję, że do wieczora maść zadziała.

- Przyjmuje pan swoje położenie zadziwiająco spokojnie - zauważyła cierpko Barbara Whitman. Jamieson pokiwał głową.

- Zawsze z zadowoleniem witam fakt, że jeszcze żyję, a poza tym nie tracę nadziei, że zdołam panią przekonać co do słuszności moich sugestii w sprawie Planety Carsona.

Roześmiała się sucho.

- Chyba nie zdaje pan sobie sprawy z tego, w jakim niebezpieczeństwie się znaleźliśmy. Jesteśmy o dwanaście dni na piechotę od cywilizacji... licząc po sto kilometrów marszu dziennie, co oczywiście jest niewykonalne. W nocy temperatura spadnie do co najmniej siedemdziesięciu stopni poniżej zera, chociaż może to być i sto piętnaście stopni. Wszystko zależy od przemieszczeń gorącego jądra księżyca, które czasami bardzo zbliża się do powierzchni. Dlatego właśnie ludzie, a także inne istoty, z trudem się tu utrzymują przy życiu. Jądro satelity zmienia położenie zależnie od tego, czy przyciąga je Słońce, czy też Planeta Carsona. Jednak przyciąganie Słońca jest silniejsze i dlatego w dzień jest tu bardzo gorąco. Za to w nocy, gdy Słońce znajduje się po drugiej stronie, panuje straszliwe zimno. Wyjaśniam panu to wszystko, żeby wiedział pan mniej więcej, co nas czeka.

- Proszę kontynuować - powiedział Jamieson, nie komentując tego, co do tej pory usłyszał.

- Doskonale. Nawet jeżeli nie zabije nas mróz, to i tak na pewno natkniemy się na przynajmniej jednego wampirzego gryba. Wyczuwają zapach ludzkiej krwi z ogromnej odległości, a krew z jakichś powodów, zapewne związanych z reakcjami chemicznymi zachodzącymi w ich ciele, przyprawia je o szaleńczy głód. Może pan być absolutnie pewny, że nie uda nam się przeżyć spotkania z tym zwierzęciem. Człowiek, którego dopadną, nie ma żadnych szans. Potrafią wrywać najgrubsze drzewa i drążyć przejścia w skale. Jedyłą obroną przed nimi jest miotacz atomowy, a nasze odleciały razem ze skafandrami. Został nam tylko mój nóż myśliwski. Ale nawet gdyby udało nam się przeżyć mróz i spotkanie z grybem, pozostaje jeszcze inny kłopot: jedyne, co nadaje się tu do

jedzenia, to mięso wielkich roślinożerców, które jednak uciekają rącho jak jelenie, gdy tylko zobaczą cokolwiek żywego, a poza tym, gdy sieje osaczy, potrafią zabić i dziesięciu nieuzbrojonych ludzi. A nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo już po krótkim czasie dokucza tutaj głód. Mimo że oddychamy przefiltrowanym powietrzem, w atmosferze tego księżycy jest jakiś składnik, który przyspiesza przemianę materii. Najdalej za dwie godziny umrzemy z głodu.

- A pani to sprawia jakąś ponurą satysfakcję - zauważył Jamieson.

- Przybyłam tu tylko po to - wybuchnęła - by upewnić się, że nie wróci pan żywy na planetę.

Jamieson prawie jej nie słuchał. Twarz wykrzywiła mu złość.

- To okropne, że znalazła się pani w tak niebezpiecznej sytuacji. Zresztą to w ogóle nie jest miejsce dla kobiety. Pani przyjaciele są prawdziwymi łajdakami, skoro na to pozwolili. Ale ja wrócę cała i zdrowa.

Roześmiała się wyzywająco.

- To niemożliwe. Niech pan spróbuje znaleźć coś do jedzenia na tym zakazanym księżycu. Niech pan spróbuje zabić gołymi rękami gryba...

- Nie rękami - sprostował Jamieson ostro. - Wykorzystam moją inteligencję i doświadczenie.

Mimo wszystkich przeszkód i wbrew pani chęciom wrócimy do Pięciu Miast!

Kobieta nic nie odpowiedziała, a Jamieson zajął się badaniem terenu. Stwierdził, że otacza go prawdziwe piekło dzikich, jałowych skał i po raz pierwszy przeszył go dreszcz zwątpienia. Zobaczył jakiś niewyraźny kształt, chyba wysokie urwisko, majaczące w oddali. Bada musieli iść w tamtym kierunku. Bliżej widział usypiska skalne o fantastycznych kształtach, jakby zastygłe w cierpieniu. Nie było w tym widoku ani odrobiny piękna, jedynie nie kończąca się, przyprawiająca o rozpacz martwa przestrzeń. I cisza.

Uświadomił to sobie i aż się wstrząsnął, jakby doznał fizycznego szoku. Nagle ta cisza wydała mu się żywa, atakująca mózg. Była to złowroga cisza, która trwała i trwała; brakowało nawet wiatru, by szumieć i jęczeć wśród tysięcy jaskiń i wąwozów wypełniających tę pustą, ciemną, zdradziecką krainę. Cisza stanowiła duszę tego małego świata, twardego i niebezpiecznego, oświetlanego zimnym, lśniącem słońcem.

- Przytłaczające, prawda?

Jamieson spojrzał na kobietę, właściwie jej nie widząc. Ona też wpatrywała się w dal.

- Tak - odparł w zadumie. - Już zapomniałem, jakie wrażenie wywiera taki krajobraz. No dobrze, lepiej ruszajmy.

Gdy już przeskakiwali z kamienia na kamień, wspomagani przez słabe przyciąganie księżycy, kobieta spytała:

- Jakiego odkrycia dokonał pan w sprawie ezwali?

- Nie mogę pani tego powiedzieć. Wiedząc to, co ja wiem, i nienawidząc ich tak, jak wy ich nienawidzicie, dokonalibyście masakry.

- Dlaczego udawał pan przed radą, że to tylko hipoteza, zamiast powiedzieć, że ma pan sprawdzone informacje? Przecież to rozsądni ludzie.

- Rozsądni! - wykrzyknął Jamieson tonem gorzkim od ironii.

- Nie wierzę, że ma pan coś więcej niż tylko teorię - stwierdziła stanowczo Barbara Whitman. - Więc proszę przestać udawać!

Dwie godziny później słońce ciągle jeszcze stało wysoko na ponurym, ciemnym niebie. Były to dwie godziny milczącego, trudnego marszu po wąskich, kamienistych groblach między fantastycznymi wąwozami, otwierającymi się po obu stronach, i okrażania niezgłęzionych przepaści, opadających prosto w niespokojne wnętrza księżyca. Dwie godziny rozpacz.

Zbliżyli się do wielkiego czarnego urwiska na tyle, że odległość nie mgliła im już wzroku. Było gigantyczne, a jego gładkie jak szkło ściany opadały prostopadłe do ziemi. Wydawało się, że wspinaczka po nich jest absolutnie niemożliwa.

- Aż się boją powiedzieć to głośno - wydyszał Jamieson - ale nie jestem pewny, czy zdołamy przejść na drugą stronę.

Kobieta zwróciła ku niemu poszarzałą ze zmęczenia twarz. W jej oczach zalśniła słaba iskierka.

- To z głodu - wyjaśniła sucho. - Mówiłam panu, co się stanie. Po prostu umieramy z głodu, Jamieson przeszedł jeszcze kilka kroków, ale zaraz się zatrzymał.

- Ten roślinożerca... - powiedział- jada gałązki drzew, prawda?

- Tak. Właśnie dlatego ma taką długą szyję. No i co z tego?

- Czy żywi się tylko tym?

- Gałązkami i trawą.

- Niczym więcej? - nalegał Jamieson ze ściągniętą twarzą. - Proszę się zastanowić.

- Niech pan nie mówi do mnie takim tonem - warknęła Barbara. - Po co chce pan to wiedzieć?

- Przepraszam... za ton. Chodzi mi o to, co on pije.

- Lubi lód. Te zwierzęta zawsze trzymają się w pobliżu rzek. Co roku w krótkich okresach odwilży cała woda z lasów spływa do rzek, wypłukując z ziemi sól, a potem od nowa zamarza. Z tego powodu oprócz gałązek i trawy jadają jeszcze lód. Tak samo jak wielu innym zwierzętom, sól jest im niezbędna do życia, a tu jest o nią raczej trudno.

- Sól! Oczywiście, o to chodzi! - krzyknął Jamieson z triumfem. - Wracamy. Jakiś kilometr stąd minęliśmy miejsce, gdzie widziałem sól kamienną. Musimy trochę jej stamtąd zabrać.

- Chce pan zawrócić? Chyba pan oszalał!

Jamieson spojrzał na nią ze stalowym błyskiem w oczach.

- Barbaro, proszę posłuchać. Przed chwilą mówiłem, że chyba nie zdołam wspiąć się na to urwisko. Ale to nieprawda. Wejdę na nie. I przetrzymam dzień dzisiejszy, jutro, tydzień, a nawet dwa, ile tylko będzie trzeba. Przez ostatnie dziesięć lat pracy za biurkiem przytyłem dobre kilkanaście kilo. I, do diabła, mój organizm spożytkuje teraz ten zapas. Jestem silny, więc będę szedł tak długo, aż dojdziemy do celu, a w razie konieczności nawet panią poniosę. Ale jeżeli chcemy upolować roślinożercę i najeść się, potrzebujemy soli. Skoro widziałem sól, nie możemy sobie pozwolić na zmarnowanie takiej okazji. A więc wracamy.

Popatrzyli na siebie z zaciętą wściekłością ludzi, których nerwy zawodzą. Potem Barbara wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Nie wiem, jaki ma pan plan, i nic mnie to nie obchodzi. Czy pan w ogóle widział takie stworzenie? Pewno nie. Przypomina żyrafę, tyle że jest większe i szybciej biega. Jak mi się wydaje, zamierza pan położyć sól na przynętę i zabić zwierzę nożem. Proszę mi uwierzyć: nie będzie pan mógł się do niego zbliżyć. Wrócę jednak z panem. Jest mi obojętne, w którym kierunku idę, bo i tak umrzemy, niezależnie od tego, co pan sobie wyobraża. Mam nadzieję, że wkrótce wywęszy nas gryb. Naprawdę wolę szybką śmierć.

- Jakie to smutne, że młoda kobieta tak bardzo pragnie umrzeć - zauważył Jamieson.

- Wcale nie chcę umierać! - wybuchnęła.

Natychmiast zamilkła, ale Jamieson miał zbyt wiele doświadczenia, by nie wykorzystać do swoich celów tak gwałtownego protestu.

- A co z pani dzieckiem? - spytał.

Na jej twarzy odmalowała się rozpacz. Dotknął najwrażliwszego miejsca, ale nie odczuwał wyrzutów sumienia. Musiał doprowadzić do tego, by znów odczuła pragnienie życia. W krytycznych momentach, których na pewno nie zabraknie, jej pomoc mogła stanowić o granicy między życiem a śmiercią.

Gdy z trudem wracali po swoich śladach, Jamiesona ogarnęła dziwna potrzeba rozmowy, zupełnie jakby jego język i cały organizm były pijane. Jednak słowa, które płynęły z niego gwałtownym potokiem, miały sens i były obliczone na to, by ją przekonać. Mówił o trudnościach, z jakimi człowiek musi walczyć, gdy ląduje na obcych, zamieszkałych planetach i o wielu rozwiązaniach, do jakich ludzkość doszła dzięki swojemu rozumowi. Ludzie często nie zdawali sobie sprawy z tego, jak mocno życie zakorzeniło się na odkrytej planecie i jak rozpaczliwie każda rasa walczy przeciw intruzom.

- Oto pańska sól - przerwała mu w końcu Barbara.

Złoża soli kamiennej tworzyły wąski występ, coś w rodzaju długiej bariery ciągnącej się zadziwiająco prostą linią i kończącej się gwałtownie na brzegu wąwozu, gdzie urywała się, jakby cofając ze strachu przed przepaścią.

Jamieson wziął dwie duże bryły soli i wpakował je do kieszeni. Znów ruszyli w stronę ciemnej ściany urwiska, wyrastającej o jakieś pięć kilometrów przed nimi. Droga była trudna, szli w milczeniu.

Wreszcie dotarli do podnóża skalnej ściany i zaczęli się wspinać. Już po chwili Jamiesona rozboleły wszystkie mięśnie, każdy nerw wysyłał do mózgu sygnały cierpienia. Uparcie, z rozpaczliwą siłą, zaczepiał palce o najmniejszy nawet występ. Miał okropną świadomość, że jeden fałszywy ruch oznacza śmierć. Raz spojrzął w dół i natychmiast zakręciło mu się w głowie od widoku przepaści, nad którą wisiał. Oczy miał zamglone z wysiłku, ale zobaczył Barbarę jakiś metr za sobą. Jej ściągnięta twarz przypominała mu o torturze głodu, który zżerał go aż do kości.

- Proszę się trzymać - wydyszał. - Zostało nam już tylko kilka metrów.

Gdy przekroczyli krawędź tej przerażającej ściany, opadli na ziemię bez sił, zbyt wyczerpani, by przebrnąć jeszcze przez łagodne zbocze, które rozciągało się wyżej i prowadziło do szczytu; tak słabi, że mogli tylko leżeć i wciągać w płuca ożywcze powietrze. Po dłuższym czasie Barbara szepnęła:

- I na co nam to było? Gdybyśmy mieli choć odrobinę rozsądku, rzucilibyśmy się z tej ściany i skończyli ze sobą.

- W przepaść możemy skoczyć w każdej chwili - odparł Jamieson. - A teraz chodźmy.

Chwiejnie stanął, przeszedł kilka kroków i zaraz rzucił się z powrotem na ziemię, wciągając ze świstem powietrze. Barbara już też się podnosiła. Chwycił ją za nogę i powalił.

- Leż! Jakies siedemset czy osiemset metrów stąd widzę stado roślinożerców. A to oznacza dla nas życie!

Barbara podpełzła do niego i zaryzykowali ostrożny rzut oka ponad skalistą krawędzią urwiska na trawiastą równinę. Po lewej stronie, około stu metrów dalej, na równinę wychodziła ostroga lasu. Trawa, stanowiąca przedłużenie drzew, tworzyła ostry szpic, który kończył się wśród ciemnych skałek. Na samym jego końcu pasło się stado liczące jakąś setkę zwierząt.

- Kierują się ku nam - stwierdził Jamieson. - Przejdą obok tej leśnej ostrogi.

- I co pan robi? - spytała z ironią jego towarzyszka. - Pobiegnie pan za nimi i nasypie im soli na ogon? Doktorze Jamieson, niech pan zrozumie, nie mamy nic, co by...

- Przede wszystkim - powiedział Jamieson, nie zwracając uwagi na jej słowa, zupełnie jakby myślał na głos - musimy wśliznąć się do tego gęstego lasu. Możemy się tam dostać, idąc brzegiem urwiska, tak by między nami a stadem cały czas znajdowały się drzewa. Potem będzie mi pani musiała pożyczyć swój nóż.

- Dobrze - zgodziła się ze znużeniem. - Jeżeli nie chce pan słuchać, dostanie pan nauczkę. Powtarzam, że nie zbliży się pan do nich bliżej niż na dwieście metrów.

- Nie mam zamiaru podchodzić tak blisko - parsknął Jamieson. - Barbaro, gdyby ufałaby pani bardziej instynktowi życia, wiedziałyby pani, że już dawno nauczono się zabijać zwierzęta sprytem i z daleka. To wprost zadziwiające, jak bardzo podobne są sposoby zastawiania pułapek w najrozmaitszych światach, zupełnie jakby ewolucja przebiegała jednakowo u wszystkich. Jednak w rzeczywistości chodzi tylko o to, że podobna sytuacja wymusza zastosowanie podobnych środków. Proszę dobrze patrzeć, co będę robił.

- Doskonale. Mam nadzieję, że się panu uda. Konanie z głodu jest najgorszym rodzajem śmierci, jaki mogę sobie wyobrazić. Danie mięsne będzie pewnie dość łykowate, ale sprawi mi prawdziwą rozkosz. Jednak proszę pamiętać, że za stadami roślinożerców podążają wampirze gryby. Podchodzą do nich w nocy bardzo blisko, by rano, gdy zwierzęta są sparaliżowane zimnem, łatwiej się z nimi uporać. Nawet w tej chwili gdzieś w cieniach na pewno kryje się jakiś grzyb, by w stosownej chwili zaatakować. Niedługo nas wyczuje, a wtedy...

- Grybem zajmiemy się dopiero, gdy on zacznie zajmować się nami - powiedział spokojnie Jamieson. - Żałuję, że wcześniej nie poznałem tego księżycy. Gdyby coś o nim wiedział ten problem zostałby już dawno rozwiązany. Ale na razie naszym celem jest las.

Pozornym spokojem Jamieson maskował podniecenie. Skręcał się z głodu, ale znów ożywiała go nadzieja. Gdy doszli do lasu, drżącymi rękami wziął od Barbary nóż i zaczął kopać dziurę u podnóża wielkiego, brązowego drzewa.

- Korzenie tych drzew - zauważył niezbyt pewnie - są trwałe i elastyczne jak hartowana stal. Nie pękają, nawet jeżeli sieje zegniesz tak, by utworzyć koło. Na Ziemi nazywa się je „eurood” i mają zastosowanie w przemyśle, prawda?

- Tak - odparła, patrząc na niego z powątpiewaniem. - Co pan chce z tego zrobić? Łuk? Chyba jako cięciwy mógłby pan użyć tych długich traw. Są bardzo mocne.

- Nie robię łuku. Nie jestem dobrym łuczniakiem. Pamiętam jednak, co pani mówiła... że nie można się zbliżyć do tych zwierząt.

Wyrwał jeden korzeń, gruby na jakieś dwa centymetry, odciął sporo ponad pół metra i zabrał się do ostrzenia go najpierw z jednego, potem z drugiego końca. Było to trudniejsze, niż się spodziewał, bo nóż ześlizgiwał się po korzeniu prawie jak po metalu. Jednak w końcu udało mu się uzyskać dwa ostre szpice.

- Całkiem niezłe - stwierdził. - A teraz proszę mi pomóc zgiąć go na pół, podczas gdy ja obwiążę go trawą.

- Właśnie! - wykrzyknęła. - Już wiem, co pan zamierza. To bardzo pomysłowe. Owinie pan to wszystko trawą, a do niej włoży bryłkę soli. Zwierzę, które się na nią natknie, połknie ją jednym kłapnięciem, żeby inne mu jej nie odebrały. Soki żołądkowe rozpuszczą trawę wiążącą korzeń, ostrza się rozejdą! przebiją ścianki żołądka ofiary, a to spowoduje wewnętrzny krwotok.

- Jest to metoda stosowana przez prymitywnych mieszkańców wielu planet - wyjaśnił Jamieson. - Na Ziemi Eskimosi polują w ten sposób na wilki. Oczywiście każdy naród używa innych przynęt, ale

zasada jest ta sama.

Ostrożnie doszedł do brzegu lasu. Chowając się za drzewem, rzucił pułapkę, wkładając w rzut całą swoją siłę. Wylądowała w trawie jakieś czterdzieści metrów dalej.

- Powinniśmy zrobić jeszcze kilka, bo jednej zwierzęta mogą nie znaleźć - powiedział.

Posiłek im smakował. Pieczone mięso okazało się twarde, lecz soczyste, przyjemnie też było czuć, jak wracają im siły. W końcu Jamieson westchnął z zadowoleniem i wstał, patrząc w zachodzące słońce, które wyglądało jak kula ognia wielkości pomarańczy.

- Zabierzemy to mięso, żeby nie tracić czasu na polowania - oświadczył. - Każde z nas powinno mieć jakieś trzydzieści kilogramów. W ten sposób przez następne dwa tygodnie będziemy mieli po dwa kilo na dobę. Wiem, że żywienie się wyłącznie mięsem jest szkodliwe, bo prowadzi do szaleństwa, ale następuje to dopiero po miesiącu.

Zabrał się do wycinania najlepszych kawałków mięsa i w ciągu kilku minut sporządził dwa pakunki. Ze splecionej trawy zrobił nosidełka i umieścił im brzemię na plecach. Przez chwilę poprawiał ciężar, żeby nie przyciskał za mocno kombinezonu grzewczego. Gdy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, że Barbara przygląda mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Oczywiście - powiedziała - zdaje pan sobie sprawę z tego, że jest kompletnie szalony. To prawda, dzięki naszym kombinezonom może nam się udać przeżyć następną zimną noc, chociaż musielibyśmy znaleźć odpowiednio głęboką jaskinię. Ale, jeżeli wywęszy nas gryb, niech pan się nie spodziewa, że zdoła spowodować u niego wewnętrzny krwotok, używając kawałka zaostzonego drewna.

- Dlaczego? - spytał cierpko Jamieson.

- Bo to najbardziej odporne stworzenie w Galaktyce, rezultat jakiejś zwariowanej ewolucji. Myślę, że właśnie z powodu gryba na tym księżycu nie powstało życie rozumne. Jego pazury są twarde jak diamenty, zęby mogą przegryźć metal. Nie przypuszczam, by dało się zadrasnąć ścianki jego żołądka nawet nożem, a co dopiero mówić o zaostrozonym z grubsza patyku.

W jej głosie zabrzmiała rozpacz.

- Cieszę się, że zjedliśmy ten posiłek. Śmierć głodowa nie jest według mnie specjalnie miła. Wolę szybką śmierć, którą zada nam gryb. Ale, na miłość boską, niech pan porzuci nadzieję, że przeżyjemy to wszystko. Jeszcze raz powtarzam, że ten potwór wejdzie za nami wszędzie, niezależnie od tego, w jakiej dziurze uda nam się ukryć. Jeżeli będzie mu trudno się przedostać, powiększy przejście i w końcu nas dopadnie, bo nie będziemy już mieli gdzie się cofać. Widzi pan, to nie są zwykłe jaskinie, lecz kratery po meteorach, efekt kosmicznej katastrofy, która zdarzyła się miliony lat temu. Potem, na skutek ruchów skorupy księżyca, jaskinie nieustannie zmieniały kształt. A jeśli chodzi o spędzenie najbliższej nocy... lepiej pospieszmy się i poszukajmy głębokiej groty, z wieloma wejściami i zakrętami, a także, jeśli to będzie możliwe, bez przeciągów. Za jakieś pół godziny, zanim jeszcze słońce zajdzie, zerwie się wiatr i kombinezony nie ochronią nas przed lodowatymi podmuchami. Powinniśmy też zebrać trochę drewna, by w godzinach największego mrozu rozpalić ogień.

Bez trudu zaopatrzyli się w drewno. Przynieśli wielkie naręcza i zastawili nimi pierwszy zakręt jaskini. Potem zeszli na niższy poziom. Jamieson szedł pierwszy, stawiając ostrożnie nogi; Barbara - jak zauważył - podążała za nim z wyraźnym ożywieniem. Uśmiechnął się. Nie można na długo stłumić młodzieńczej żywotności, pomyślał zadowolony.

Właśnie skończyli zrzucanie drewno na kolejny niższy poziom, gdy nagle jakiś cień zasłonił wejście do jaskini. Jamieson podniósł wzrok i zobaczył obrzydliwy pysk z ogromnymi kłami i oczy o palącym spojrzeniu. Z pyska wyskoczył gruby czerwony język i wystrzelił strugę śliny na ich kombinezony. Barbara chwyciła Jamiesona za ramię tak mocno, jakby jej ręce zmieniły się w obcęgi. Poczuł, że

ciągnie go przez krawędź podestu.

Spadli na stos gałęzi, nie robiąc sobie krzywdy, i z szalonym pośpiechem zabrali się do zrzucania drewna na następny poziom. Drapanie i wściekłe wycie nad głowami podwajało ich siły. Skończyli dokładnie w chwili, gdy wielkie zwierzę pojawiło się na drugim podeście. Widać je było wyłącznie dzięki fosforescencji rozstawionych na pół metra oczu, lśniących jak dwie pochodnie. Gdy gorączkowo ześlizgiwali się na niższy poziom, za ich plecami rozpętało się piekło. Kawał skały spadł z łomotem i minął ich o włos, a potem nagle wszystko ucichło.

- Co się stało? - spytał oszołomiony Jamieson.

- Gryb umościł się na noc między kamieniami, ponieważ już zrozumiał, że nie dopadnie nas w tym krótkim czasie, jaki jeszcze został do nadejścia mrozu - odparła gorzko. - A my nie będziemy mogli się stąd wydostać, bo jego ciało blokuje przejście. To zwierzę jest naprawdę inteligentne na swój sposób. Nigdy nie wdaje się w gonitwy za roślinożercami, lecz po prostu idzie za nimi. Z doświadczenia wie, że rano obudzi się kilka minut wcześniej niż one. Oczywiście wyobraża sobie, że my także zdrętwiejemy z zimna i zdąży nas pożreć, zanim oprzytomniejemy. W każdym razie wie, że nie możemy stąd wyjść. I ma rację. Już po nas.

Całą tę długą noc Jamieson spędził na czuwaniu. Chwilami zapadał w krótką drzemkę, a chwilami tylko mu się wydawało, że śpi, ale zaraz wstrząśnięty uświadamiał sobie, że to straszliwe ciemności wyczyniają diabelskie sztuczki z jego umysłem.

Na początku nocy ciemność wydawała im się ciężarem nie do wytrzymania. Do jaskini nie przedostawała się najśłabsza nawet naturalna poświata. Gdy w końcu rozpalili ognisko, jego nikłe płomienie wcale nie pomogły im zwalczyć okropnego, przytłaczającego wrażenia, jakie wywierały na nich ciemności; nie zdołały także ich ogrzać.

Jamieson odczuł zimno najpierw jako nieprzyjemne, ściągające skórę dreszcze, potem jako lodowatą wilgoć, nieustającą, niemal bolesną, która przenikała go aż do szpiku kości. Na ścianach jaskini pojawił się szron i pokrywał je coraz grubsza warstwa. W skale otwierały się szerokie szczeliny, a z sufitu, z odgłosem podobnym do grzmotów, zaczęły spadać wielkie kamienie, grożące im śmiercią. Gdy z hałasem spadł pierwszy głaz, Barbara ocknęła się ze stanu przypominającego śpiączkę. Wstała chwiejnie i zaczęła się przechadzać w milczeniu, nerwowym krokiem, zabijając ręce, bo kombinezon grzewczy okazał się mało skuteczny.

- Może warto byłoby rozpaść ognisko obok gryba? - zaproponował Jamieson. - Gdyby udało nam się go spalić...

- To by go tylko obudziło - przerwała mu sucho. - Jego skóra nie pali się w zwykłych temperaturach. Ma wszelkie właściwości metalu: przewodzi ciepło, ale jest praktycznie niepalna.

Jamieson zmarszczył czoło i chwilę się nad tym zastanawiał.

- Może panią bawi wytrzymałość tego stworzenia, ale mnie na pewno nie - powiedział w końcu. - A najgorsze jest to, że nie widzę żadnego powodu, dla którego znaleźliśmy się w takim niebezpiecznym położeniu. Jestem jedynym człowiekiem, który wie, jak rozwiązać problem ewwali... i jedynym, którego pani chce zabić.

- Nie sądzę, by to miało teraz jakieś znaczenie - odparła. - Po co w ogóle na ten temat rozmawiać? Już jest za późno. Za kilka godzin ta przekłeta bestia obudzi się i skończy z nami. Nie mamy sposobu, by go zmusić do odejścia, ani nie możemy przedłużyć naszego życia choćby o sekundę.

- Niech pani nie będzie tego taka pewna - mruknął Jamieson. - Przyznaję, że trudno walczyć z tym odpornym na wszystko potworem, ale niech pani nie zapomina, co mówiłem wcześniej: już dawno wynaleziono sposoby zabijania najrozmaitszego rodzaju stworów.

- Pan jest szalony! Nawet dysponując pistoletem, miałby pan zaledwie pięćdziesiąt szans na sto, że

zabije pan gryba, zanim on zabije pana. Jego skóra jest tak twarda, że umrze pan ze strachu, zanim uda się go uszkodzić. Co może pan zrobić temu opancerzonemu zwierzęciu jednym małym nożem?

- Niech mi pani da ten nóż - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Naostrzę go.

Może się mylił, ale sądząc po jej zachowaniu, chyba zaczynała podzielać jego pragnienie przeżycia.

W miarę jak upływały pełne napięcia godziny, ciemność i cienie rzucone przez ledwo tłące się płomienie stawały się niemal namacalne. Słychać było tylko trzask palących się gałązek. Jamieson przemierzał jaskinię wzdłuż i w poprzek. Był rozgorączkowany, wydawało mu się, że całe jego ciało sztywnieje z niepokoju.

Wyraźnie zaczynało się ocieplać. W niektórych miejscach szron się topił, po raz pierwszy ustępując gorącu ogniska. Zimna wilgoć już się nie wciskała pod kombinezony.

Na podłodze zalegała cienka warstwa delikatnego popiołu świadcząca o tym, jak dobrze i dokładnie spalały się gałązki; mimo to jaskinia zaczynała się wypełniać dymem, przez który trudno było coś zobaczyć.

Nagle nad nimi rozległ się jakiś łoskot, potem warczenie głodnego zwierzęcia i drapanie. Barbara zerwała się na równe nogi.

- Obudził się - wydyszała. - I nie zapomniał.

- Właśnie tego pani tak bardzo pragnęła, prawda? - zaśmiał się ponuro Jamieson.

- Widzę, że zabicie pana nic mi nie da - powiedziała ze złością. - To był głupi pomysł.

Z góry spadł kamień, odbił się od ściany i z hukiem poleciał dalej w ciemność. Później usłyszeli łoskot, szuranie metalowych łusek po skale i zaraz potem, straszliwie blisko, walenie jakby potwornym młotem.

- Stara się oderwać kawał skały - szepnęła kobieta. - Szybko! Niech pan się wciśnie w szczelinę. Tu zaraz zacznie spadać lawina kamieni i wreszcie któryś w nas trafi. Ale... co pan robi?

- Wydaje mi się - odpowiedział niepewnie Jamieson - że muszę zaryzykować. Nie ma czasu do stracenia.

Był tak zdenerwowany, że cały drżał. Zdjął jedną rękawicę od kombinezonu grzewczego, skrzywił się, gdy poczuł na skórze lodowate powietrze i szybko wyciągnął rękę nad płomienie.

- Brr, zimno. Co najmniej dwadzieścia pięć stopni poniżej zera. Muszę ogrzać nóż, bo inaczej przyklei mi się do ciała.

Włożył nóż w ognisko, potem wyciągnął go, naciął sobie kciuk i rozsmarowywał krew na ostrzu tak długo, aż przestała ciec z posiniałego palca. Wtedy szybko wciągnął rękawicę z powrotem. Skóra go piekła, rozgrzewając się, ale mimo bólu chwycił palącą się gałąź za zimny koniec i ruszył w ciemność, badając wzrokiem podłogę. Miał niejasne wrażenie, że kobieta idzie za nim.

- Tutaj! - wykrzyknął.

Nawet we własnych uszach jego głos zabrzmiał niepewnie, z trudem opanowywał drzenie. Uklęknął przy wąskim pęknięciu w skale.

- Może być - stwierdził. - Ściana będzie nas chronić przed kamieniami spadającymi przez szczelinę. - Podniósł wzrok na Barbarę. - Wczoraj wieczorem postanowiłem zatrzymać się na noc tutaj, zamiast schodzić niżej, bo ten gzyms ma jakieś dwadzieścia metrów długości, podczas gdy gryb od pyska do ogona mierzy tylko dziesięć, prawda?

- Tak.

- To dobrze. W ten sposób będzie miał miejsce, żeby zejść niżej i przejść kawałek do przodu. Poza tym jaskinia jest tu na tyle szeroka, że zdołamy się prześliznąć obok niego, gdy już zdechnie.

- Gdy już zdechnie! - powtórzyła niedowierzająco. - Pan doprawdy jest królem szaleńców.

Jamieson nie słuchał. Starannie zakleszczył rączkę noża w szczelinie skały i sprawdził, czy trzyma się dość mocno.

- Hmm, chyba wystarczy... ale warto postarać się o dodatkowe zabezpieczenie.

- Niech pan się pospieszy! - krzyknęła Barbara. - Musimy zejść niżej. Może uda nam się *znaleźć* przejście do innej jaskini.

- Nie ma żadnego przejścia. Kiedy pani spała, poszedłem to sprawdzić. Pod tym podestem są tylko jeszcze dwa następne i nic więcej.

- Na miłość boską, za minutę tu będzie!

- Minuta mi wystarczy - odparł spokojnie Jamieson, usiłując jednocześnie opanować dzikie walenie serca i spowolnić oddech. - Chcę obłożyć nóż kamieniami, żeby na pewno nie wypadł.

Zaczął wpychać kamienie w szczelinę i stukać w nie, żeby bardziej się zagłębiły. Barbara, prawie nieprzytomna ze strachu, przestępowała z nogi na nogę. Jamieson tłukł w kamienie, a jego nerwy wibrowały od groźnego warczenia wygłodniałego gryba.

W końcu, gdy zobaczyli dwoje świecących jak latarnie oczu, odrzucił kamień, którym wpychał inne do szczeliny i popędzili gzymsem skalnym na krawędź jaskini. Światło ogniska wydobyło z ciemności ciemny pysk, kły, gruby, poruszający się szybko język, a zaraz potem błyszczące łuski. Potwór wpadł prosto w ogień.

Jamieson nie zdążył już zobaczyć nic więcej. Skoczył na kolejny podest, kilka metrów niżej.

Chwilę leżał bez ruchu, zbyt oszołomiony, by zdać sobie sprawę, że łomot nad jego głową ustał. Po jakimś czasie usłyszał głuche, bolesne warknięcia, a następnie coś jakby ssanie.

- Co to może być? - spytała ze zdumieniem Barbara.

- Zaczekajmy - szepnął Jamieson nerwowo.

Czekali pięć minut, potem dziesięć, potem pół godziny. Odgłos ssania stawał się coraz cichszy, warczenie umilkło. W pewnej chwili usłyszeli zduszony jęk bólu.

- Niech mi pani pomoże się tam wdrapać - szepnął Jamieson. - Chcę zobaczyć, ile mu jeszcze zostało życia.

- Do diabła! - krzyknęła. - Albo pan oszalał, albo to ja tracę rozum. Na miłość boską, co on robi?

- Poczul krew na nożu i zaczął lizać ostrze. Liząc je, ciął sobie język na strzępy, co go wprowadziło w prawdziwą ekstazę, bo przy każdym ruchu języka wypływało z niego coraz więcej krwi. Pani mówiła, że gryby uwielbiają krew, a on od pół godziny syci się swoją własną. To prymitywna sztuczka, znana na wielu planetach.

- Myślę - powiedziała Barbara dziwnym głosem - że teraz już nic nam nie przeszkodzi wrócić do Pięciu Miast.

Jamieson zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć jej postać słabo rysującą się w ciemnościach.

- Nic prócz... pani!

W milczeniu wdrapali się na podest, na którym leżał martwy grzyb. Jamieson czuł, że Barbara go obserwuje, gdy ostrożnie wyciągał ze szczeliny w skale nóż. Nagle zażądała ostro:

- Proszę mi go oddać!

Jamieson zawahał się, ale spełnił żądanie.

Na zewnątrz przywitało ich poranne słońce, blade, ale i tak przyjemne. Znajdowało się już dość wysoko. Oprócz niego Jamieson zobaczył coś jeszcze: wielką, jasnoczerwoną kulę ognia, schodzącą na zachodzie ku horyzontowi. To była Planeta Carsona.

Niebo nad księżycem było świetliste, nawet skały nie wydawały się już tak ponure i czarne. Wiał silny wiatr, przydając temu światu pozorów życia. Po okropnej nocy jasny poranek napawał nadzieją.

To próżna nadzieja, pomyślał Jamieson. Boże, chroń mnie przed skutkami uporu i poczucia

obowiązku uczciwych kobiet. Ona zaraz zaatakuje.

Gdy atak rzeczywiście nastąpił, był gwałtowniejszy, niż Jamieson się spodziewał. Kątem oka uchwycił ruch i lśnienie noża i rzucił się w bok. Zaskoczyła go siła, z jaką Barbara uderzyła. Zanim Jamieson zdążył się uchylić, nóż zostawił cięcie długości trzydziestu centymetrów w grubym, przeplatany metalową siatką materiale rękawa kombinezonu. Ale teraz Jamieson był już daleko, na solidnej skalnej płycie.

- Głupia kobieto! - wrzasnął na nią. - Sama pani nie wie, co robi.

- Owszem, wiem, wiem! - krzyczała. - Muszę pana zabić i zrobię to mimo tych wszystkich pięknych słówek. Przemawiając, jest pan gorszy niż diabeł, ale i tak pana zabiję.

Ruszyła do przodu, celując nożem, i Jamieson pozwolił jej podejść. Można rozbroić człowieka, który atakuje nożem, pod warunkiem jednak, że napastnik nie zna tego sposobu. Kobieta w milczeniu podeszła do Jamiesona, wyciągając wolną dłoń. Tego właśnie potrzebował. Barbara okazała się nowicjuską; nie wiedziała, że, walcząc nożem, nie wolno jednocześnie próbować przytrzymać przeciwnika drugą ręką. Jamieson złapał jej wyciągniętą rękę, brutalnie zacisnął palce i gwałtownym ruchem, z całej siły pociągnął. Okręciła się wokół niego, rzucona do przodu zarówno przez własny pęd ciała, jak i to szarpnięcie, które mało nie wyrwało jej ręki z barku, a Jamieson zakręcił się razem z nią. W ostatniej chwili usztywnił ciało, by wytrzymać wstrząs, i rzucił Barbarą do przodu. Zaczęła się obracać jak bąk.

Rozpaczliwie próbowała odzyskać równowagę, ale na kamienistej, nierównej ziemi nie miała na to żadnej szansy. Jamieson skoczył, złapał ją, gdy już miała upaść na ostre skałki, i wyjął nóż z jej zdrętwiałych palców.

Spojrzała na niego i w jej oczach nagle pojawiły się łzy. Jamieson z ulgą spostrzegł, że zaczyna wyzwalać się ze swojej skorupy i znów staje się kobietą, a nie tylko narzędziem śmierci. Na dalekiej Ziemi zostawił żonę, tak bardzo kobiecą. Teraz wiedział już, że Barbara skapitulowała i od tej chwili nic mu już z jej strony nie grozi, a jedyne niebezpieczeństwo stanowi ten wrogi świat.

Przez całe rano uważnie wpatrywał się w niebo. Barbara najwyraźniej nie spodziewała się żadnej wyprawy ratunkowej, ale on tak. Na zachodzie Planeta Carsona opadła za ciemnoniebieski horyzont swojego satelity, powtarzając odwieczny cykl obrotu. Wiatr ustał i nad dzikim, fantastycznym krajobrazem rozpostarła się cisza.

W połowie dnia zobaczył to, na co czekał od wielu godzin: poruszający się na niebie punkcik, który w miarę zbliżania się przybierał kształt okrętu kosmicznego.

Okręt, obniżając się, zatoczył wielki łuk i wylądował. Jamieson z ulgą stwierdził, że jest to - tak jak się zresztą spodziewał - jego własny krążownik.

Podszedł do nich jeden z oficerów.

- Proszę pana, przez całą noc prowadziliśmy poszukiwania, ale najwyraźniej nie zabrał pan ze sobą żadnego znacznika, który moglibyśmy wysłedzić.

- Mieliśmy nieszczęśliwy wypadek - odparł spokojnie Jamieson, nie wdając się w szczegóły.

- Mówił pan, że pójdziecie do kopalń uranu. A one znajdują się w przeciwnym kierunku...

- Już w porządku. Dziękuję - przerwał mu Jamieson. Chwilę później Barbara i on lecieli ku bezpieczeństwu i wygodom cywilizacji.

Podczas lotu Jamieson zastanawiał się, czy za próbę zamordowania go powinien zastosować jakieś sankcje, a jeżeli tak, to jakie. Musiał brać pod uwagę dwie sprawy: po pierwsze, ci ludzie byli zbyt rozwścieczeni, by zrozumieć samą ideę wybaczenia. Zinterpretowaliby je jako oznakę lęku przed nimi. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę ich uprzedzenia, nie uznaliby żadnych sankcji za sprawiedliwe.

W końcu postanowił nic nie robić. Nie zgłaszać pretensji. Nie składać skargi. Uznać to za zwykłą przypadkową przygodę. Jednak ta decyzja głęboko go zasmuciła. Rozsądnym ludziom z ziemskiej administracji jest wyjątkowo przykro, gdy dowiadują się, że wrogiem są nie rulle, lecz inni ludzie. To defekt ludzkiej natury, którego chyba nigdy nie uda się wykorzenić. Może kiedyś jakiś najwyższy sąd zdoła znaleźć odpowiednią karę dla ludzkich społeczności albo dla jednostek, które działają poza granicami koniecznej odwagi i rozsądku. W tej odległej przyszłości będzie można każdego wezwać przed ławę i oskarżyć o to, że rozczyła się nad sobą, że ma zbyt wielkie poczucie krzywdy, że nie jest zdolny do poczucia wstydu albo winy, że nie potrafił żyć tak, by okazać się godnym szans, jakie stworzyło mu społeczeństwo.

Barbara Whitman do pewnego stopnia rozumiała tę prawdę. I została, by dzielić z nim niebezpieczeństwo. Jednak było to połowiczne rozwiązanie problemu.

Czasami, tak jak w tej chwili, Jamieson uświadamiał sobie, ilu niezrównoważonych ludzi żyje w świecie, któremu grozi zagłada ze strony bezlitosnych rulli.

Lecąc już do domu, połączył się z Ziemią, by spytać, czy statek kapitana McLennana z samicą ezwała i młodym dotarł do portu bez przeszkód.

Pierwsza wiadomość była lakoniczna: „Powolny statek. Jeszcze nie wyładował”.

Druga wiadomość przysłała po dwóch tygodniach, dzień przed lądowaniem na Ziemi ultraszybkiej jednostki, jaką leciał Jamieson, i podziałała na niego jak porażenie prądem:

„Kilku godzin temu prasa doniosła, że statek McLennana rozbił się na pomocy Kanady. Uważa się, że oba ezwale zginęły. Brak informacji co do losów załogi statku”.

- O Boże! - wykrzyknął Jamieson z rozpaczą.

Kartka wysliznęła mu się z rak i spadła na podłogę kabiny.

Kapitan McLennan, zwracając się do swoich dwóch oficerów, miał ponurą miną.

- Opuzczamy statek - polecił. - Za kwadrans roztrzaska się w okolicach Zatoki Alaskańskiej, może nawet doleci na zachód aż do półwyspu.

Po chwili opanował się, wyprostował plecy i dodał spokojniej:

- Nic innego nam nie pozostaje. Zrobiliśmy wszystko, co w warunkach lotu można zrobić, by ustalić, gdzie nastąpiła awaria, ale nic nie odkryliśmy. Panie Carling, proszę ewakuować ludzi szalupami ratunkowymi - rozkazał - a potem nawiązać kontakt z bazą wojskową na Aleutach. Niech pan im powie, że mamy na pokładzie ezwale, które mogą przeżyć katastrofę, jeśli statek nie zostanie zupełnie zmiążdżony. Szcątkowa antygravitacja powinna go od tego uchronić, nawet jeżeli główny silnik nie działa. Oznacza to, że muszą śledzić nas wszystkimi radarami, jakie mają do dyspozycji, by dokładnie ustalić, gdzie spadamy, i od razu nas o tym powiadomić. Jeżeli te potwory wydostaną się na stały ląd, zabiją mnóstwo ludzi. Może pan odejść.

- Tak jest, kapitanie - odparł Carling i ruszył szybkim krokiem.

- Chwileczkę - krzyknął za nim McLennan. - To bardzo ważne, żeby zrozumieli, że nie wolno zranić ani zabić ezwali, chyba że uciekną. Dostarczenie ich na Ziemię stanowiło najważniejszy cel naszego lotu. Rząd na nie czeka i chce je dostać żywe, jeśli się to okaże możliwe. Nikomu nie wolno wchodzić na statek, póki ja tam nie przybędę. Panie Brenson! Młody oficer, bardzo blady, stanął na baczność.

- Tak jest, kapitanie.

- Proszę Wziąć dwóch ludzi i sprawdzić, czy wszystkie grodzie głównej ładowni są dobrze zabezpieczone. Jeśli klatka się otworzy podczas upadku, przez chwilę wytrzymają napór tych zwierząt, które - jeżeli nawet przeżyją katastrofę - powinny być oszołomione. Niech pan idzie, a za pięć minut proszę stawić się przy szalupach ratunkowych. Powtarzam: za pięć minut!

Brenson pobladł jeszcze bardziej.

- Tak jest, kapitanie - odpowiedział i pobiegł wykonać rozkaz.

Teraz McLennan mógł się zająć najważniejszą sprawą, czyli dokumentami statku. Pięć minut minęło szybko. Gdy wszedł na pokład ratunkowy, było już słycać świst, z jakim powietrze tarło o zewnętrzną powłokę kadłuba. Carling nerwowo mu zaszalutował.

- Panie kapitanie, wszyscy prócz Brensona zajęli już miejsca w szalupach - zameldował.

- Niech go diabli porwą! Co on robi tak długo na dole? A ludzie, którzy z nim byli?

- Wydaje mi się, że zszedł sam, bo wszyscy inni są tutaj.

- Sam? Niech to szlag! Proszę kogoś po niego posłać. Albo nie. Pójdę sam.

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie - sprzeciwił się Carling niespokojnie - nie ma na to czasu. Jeżeli nie opuścimy statku w ciągu dwóch minut, powietrze odrzucane przez opadający wrak wciągnie szalupy. Jest jeszcze coś, czego pan nie wie o Brensonie. Obawiam się, że nie należało go tam posyłać.

Ze zdziwienia McLennan otworzył szeroko oczy.

- O co chodzi? Czego to ja nie wiem o Brensonie?

- Jego starszy brat - odparł Carling - był w Gwardii Kolonialnej stacjonującej na Planecie Carsona. Ezwale rozerwały go na strzępy.

Młody ezwał usłyszał straszliwe warknięcie matki, a potem dotarła do niego jej myśl, stanowcza i przejrzysta jak kryształ:

- Schowaj się pode mną, inaczej umrzesz. Idzie tu dwunożny. Chce nas zabić.

Ciemnoniebieski stwór, ważący ćwierć tony, błyskawicznie przeskoczył na drugi koniec klatki. Chwytnie łapy z pazurami ostrymi jak brzytwy zastukały na stalowej podłodze i mały ezwał zniknął pod olbrzymim ciałem matki, wpychając się w niszę w jej miękkim brzuchu, którą dla niego utworzyła. Przyczepił się łapami do jej nieprawdopodobnie wytrzymałej skóry tak mocno, że choćby się nie wiem jak gwałtownie ruszała, on pozostałby bezpieczny w miękkiej otulinie mocnych mięśni jej brzucha.

Matka wysłała mu jeszcze jedną myśl:

- Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałam. Nasza rasa zyska szansę na przeżycie tylko wtedy, gdy ludzie nadal będą nas uważać za zwierzęta. Jeśli zaczną podejrzewać, że jesteśmy istotami rozumnymi, będziemy zgubieni. A jeden z nich już to podejrzewa. Jeżeli on przeżyje i ludzie mu uwierzą, ezwale wyginą.

Myśli napływały coraz szybciej:

- Pamiętaj: twoja słabość polega na tym, że jesteś jeszcze młody i bardzo kochasz życie. A musisz pogodzić się ze śmiercią, jeżeli, umierając, przysłużysz się swojej rasie.

Po tych słowach matka zamilkła. Mały czuwał razem z nią, wczepiony w jej umysł tak samo ściśle, jak ciałem wczepił się w jej ciało. Widział grube pręty klatki i częściowo zasłoniętą nimi sylwetkę dwunożnego. W jego myślach czytał: „Przeklęte potwory! Już nigdy nie będziecie miały okazji zabić człowieka”.

Dwunożny włożył rękę między pręty. Coś załśniło metalicznie i z ręki wytrysnął biały płomień. Na chwilę kontakt umysłowy z matką osłabł i mały ezwał usłyszał zdławiony ryk, a do nozdrzy napłynął mu zapach palonego ciała. Matka dziko skoczyła na pręty, na bezlitosny miotacz, który się między nie wcisnął.

Płomień zgasł. Umysł matki wychynął z ciemności. Młody ezwał zobaczył, że broń i człowiek cofają się przed groźnie wysuniętymi pazurami.

Mężczyzna zaklął i rzucił:

- No dobrze, skoro tak, to dostaniesz stąd.

Ból musiał być straszliwy, ale nic nie dotarło do umysłu młodego ezwala. Myśli matki wypełnione były wyłącznie wściekłością i nienawiścią, gdy tak skakała po całej klatce z jednej strony na drugą, przyskakiwała do podłogi, rzucała się do przodu, toczyła się, ślizgała, walczyła o życie. Ale przez cały czas, mimo rozpacz, część jej umysłu zachowywała jasność i spokój. Płomienie paliły ją, szły za nią wszędzie, chwilami chybiały, potem uderzały w jej ciało pełną mocą raz za razem. Młody w końcu musiał pogodzić się z tym, że matka niedługo zginie. Ale jednocześnie uświadomił sobie, że miała jakiś powód, wypychając broń z klatki i zmuszając człowieka do celowania zgodnie z jej gwałtownymi, szaleńczymi skokami. Strzelając na wszystkie strony, miotacz topił pręty.

Teraz, wśród szumu płomieni, rozległ się nowy, dziwny dźwięk, jakby przeciągły świst, wypełniający całą ładownię. Wydawało się, że pochodzi z zewnątrz i że staje się coraz silniejszy i przenikliwszy.

Boże, pomyślał mężczyzna. Czy te bestie nigdy nie zdechną? Muszę stąd wyjść, jesteśmy już w atmosferze. Gdzie jest ten cholerny młody? Musi być... Jego myśl urwała się w jednej chwili, bo trzytonowe ciało o stalowych mięśniach wyrwało się jak czołg przez pręty. Młody wczepił się z całej siły w naprężone mięśnie matki, twarde jak kamień - i przeżył. Poczuł, jak metalowe pręty gną się i pękają tam, gdzie płomień miotacza już je nadtopił.

Usłyszał zdławiony krzyk i zobaczył mężczyznę, nie chronionego już prętami klatki. Twarz miał wykrzywioną w przerażeniu. Broń wypadła mu z ręki, obrócił się na pięcie i popędził do najbliższej drabinki. Przyłgął do niej i zaczął się mozolnie wdrapywać, a całe jego ciało trzęsło się w panice.

Młody ezwał poczuł, jak matka, uwolniona z klatki, rzuca się do ataku. Dwoma ogromnymi susami dopadła do drabinki. Rozległ się jeszcze jeden krzyk, przerwany uderzeniem potężnej łapy, a potem nastała cisza i wszystko zatonęło w czerni.

Czerń! Gdy otulające go ogromne ciało opadło na podłogę i przygniotło, młody ezwał zrozumiał, co oznacza ta czerń. Ogarnęła go niemożliwa do zniesienia rozpacz. Stracił matkę! Dla niego było to podwójnie bolesne. Nie tylko utracił bezpieczeństwo zapewniane przez jej silne, wielkie ciało i niezwykle możliwości fizyczne, ale również nie mógł już liczyć na ochronę, z jakiej do tej pory korzystał dzięki doświadczeniu i mądrości jej dumnego, potężnego umysłu. Zawsze uważał, że ta sytuacja jest wieczna i naturalna, i dopiero w tej chwili po raz pierwszy w życiu zrozumiał, jakie zaufanie pokładał w matce, zwłaszcza od czasu, gdy wzięto ich do niewoli. A teraz był tu sam, rozpaczliwie, przerażająco sam, i życie nagle wydało mu się nieznośne. Chciał umrzeć.

A jednak, gdy apatycznie leżał na wpół uduszony pod nieruchomym ciałem matki, zaczął sobie niewyraźnie uświadamiać dwie rzeczy. Pierwszą było to, że przygniatający go ciężar jakby się zmniejszał, a drugą świst, który słyszał już wcześniej, a który teraz wzmógł się do długiego, ostrego, nieprzerwanego gwizdu. Statek spadał swobodnie, i to coraz szybciej!

Głęboko zakorzeniony instynkt, pobudzony świadomością niebezpieczeństwa, kazał mu się wydobyć spod ciała matki. Gwizd był teraz bardzo głośny i jeszcze bardziej przenikliwy. A uczucie spadania stawało się przytłaczające, zupełnie jakby podłoga zaraz miała się spod niego wyśliznąć. Ta podłoga była twarda jak metal i zimna. Tęsknił za kryjówką w niszy brzucha matki.

Jednak, skoro już nie mógł z niej skorzystać, skoczył na grzbiet matki, by zamortyzować upadek. Tyle że skoczył zbyt wysoko, bo zapomniał wziąć pod uwagę zmniejszone ciężenie, więc niezdarnie upadł na drugą stronę jej ciała. Na zewnątrz powietrze przeraźliwie głośno tarło o kadłub. Mimo zawrotu głowy, mały ezwał spróbował wdrapać się po boku matki na jej szerokie plecy, gdy nagle wszystkie zmysły: wzrok, słuch i cała reszta, przestały wysyłać sygnały do mózgu, zupełnie jakby nastąpił koniec świata.

Pierwszą rzeczą, jaką sobie uświadomił, był ból. Wszystkie jego kości i mięśnie wysyłały do oszołomionego mózgu sygnały cierpienia. Chciałby znów stracić przytomność, ale coś mu w tym przeszkadzało. Myśli! Chaos obcych myśli, pochodzących z umysłów wielu ludzi. Niebezpieczeństwo!

Gdy do końca oprzytomniał, zobaczył, że leży na zimnej podłodze. Na pewno ześliznął się z pleców matki, ale i tak jej elastyczne ciało zamortyzowało upadek i ocaliło mu życie. Nad głową, w pęknięciu kadłuba statku, widział ciemne niebo. W ścianach też były szczeliny, przez które wpadał zimny wiatr, a tu i tam widniała dziwnie biała ziemia. Na tle tej bieli poruszały się czarne postacie. Gdy się tak rozglądał, nagle obok niego zapłonęło jasne światło i znieruchomiło na ciele jego matki. Konwulsyjnym ruchem, unikając plamy światła, przesunął się pod nią, wtulił się w mięśnie jej brzucha i tam pozostał, nieruchomy i drżący.

Ludzie wykrzykiwali jakieś słowa, które odbijały się echem od powykrzywianych i popękanych ścian ładowni. Nie mógł nic zrozumieć, chociaż słowa i tak nie miały dla niego żadnego sensu. Ale myśl człowieka, który je wykrzykiwał, była jasna i wyczuwało się w niej niezmierną ulgę.

- Panie kapitanie, wszystko w porządku. Są martwe.

Rozległ się dziwaczny dźwięk szurania nogami po podłodze, a potem stukot licznych kroków.

- Co to znaczy: są martwe? - To był inny umysł, bardzo stanowczy, który sam sobie odpowiedział:

- Chcesz przez to powiedzieć, że ten wielki nie żyje, prawda? Podajcie mi latarkę.

- Chyba pan nie sądzi, że mały mógł...

- Nie możemy być niczego pewni. A poza tym on woale nie jest taki mały. Waży co najmniej dwieście kilo i wolałbym raczej spotkać się w oko w oko z dorosłym bengalskim tygrysem niż z nim.

- Teraz ładownię przeczesywały liczne strumienie światła. - Mam tylko nadzieję., że nie zdążył jeszcze uciec. Są dziesiątki miejsc, gdzie... Panie Carling, niech dwudziestu ludzi przeszuka drugą stronę, proszę też zainstalować reflektor w tym pęknięciu kadłuba. I nie zapomnijcie sprawdzić, czy na śniegu nie pozostały ślady łap, zanim je zdeptacie. Daniels, o co chodzi?

Z tego nowego umysłu unosiły się fale przerażenia i obrzydzenia jednocześnie.

-To... to Brenson, panie kapitanie... albo raczej to, co z niego zostało. Tam, koło drabinki

Ezwał natychmiast rozumiał, że inni też doznają tych samych uczuć, chociaż w różnym stopniu. Potem wyczuł zimną, gorzką wściekłość, która sprawiła, że jeszcze mocniej przytulił się do brzucha matki.

- To straszne! - usłyszał wybuch myśli. - Oczywiście zachował się jak głupiec, ale... Spójrzcie na tę bestię. Wygląda na to, że upadek statku nie był główną przyczyną jej śmierci. Ma spaloną skórę. I przyjrzyjcie się prętom klatki. - Młody ezwał wyczytał z ich umysłów, że poprawnie odtworzyli wydarzenia w ładowni, a potem kapitan McLennan powiedział: - Oczywiście, jeżeli młode schowało się pod nią, musi być zgniecione na miazgę. Jednak... Parker!

- Tak, kapitanie?

Ciekawe, że myśl tego drugiego nie dochodziła do ezwala bezpośrednio, lecz dopiero wtedy, gdy została zarejestrowana przez umysł kapitana. Z tego wynikało, że osoba, która ją emitowała, musiała znajdować się gdzie indziej i porozumiewała się za pomocą jakiegoś urządzenia. Ezwał wiedział, że istnieją takie możliwości.

- Proszę umieścić szalupę nad szczeliną w kadłubie, założyć pętlę z liny na środkową łapę tego stworzenia i odwrócić je na grzbiet. Carling, znalazł pan ślady koło statku?

- Nie, kapitanie.

- A więc istnieje szansa, że młody, żywy lub martwy, jest jeszcze tutaj, ukryty pod matką. Proszę rozstawić ludzi tak, by mogli pilnować wszystkich szczelin w kadłubie z tej strony. I niech pan przestawi reflektor tu, gdzie nie dociera światło naszego. A teraz niech wszyscy mają się na baczności. Jeżeli wyjdzie, nie wahajcie się ani chwili i strzelajcie tak, żeby zabić!

Ezwał wtulił się jeszcze głębiej w matkę. Zmarszczył nos, czując zapach jej zwęglonego ciała. Na wspomnienie cierpień palonej żywcem matki, wywołane tym zapachem, przebiegł go dreszcz grozy.

Jednak zdławił żal i zaczął się zastanawiać, jakie ma szansę. W umysłach tych ludzi wyczytał obrazy krzewów i drzew, czyli miejsc, gdzie mógłby się schować. Ale mieszało się z tym wrażenie oślepiającej bieli, mającej jakiś związek z wilgocią i zimnem; czuł, że ta biel będzie mu się czepiać nóg i spowalniać go, jeżeli jakimś cudem zdoła wyjść na zewnątrz. Z drugiej strony na dworze było prawie ciemno, więc może jednak uda mu się uciec.

Gdy ostrożnie uniósł fałdę skóry z brzucha matki, na tyle tylko, by rzucić okiem na to, co działo się wokół niego, stracił wszelką nadzieję, a ziemia rozciągająca się poza statkiem wydała mu się bardzo odległa. Białe, oślepiające światło zalewało całą ładownię, a ludzie z bronią w ręku stali czujnie przy wszystkich szczelinach kadłuba. Znalazł się w niebezpiecznej pułapce, z której nie będzie mógł się wyrwać, skoro pilnuje go pięćdziesięciu zdeterminowanych, uzbrojonych mężczyzn. Młody ezwał powoli się cofnął, by nie zdradził go odbłask trojga ułożonych w jednej linii oczu. Matka nauczyła go tego środka ostrożności, przydatnego podczas tropienia zwierzyny w niezmiernych lasach ich rodzinnej planety, teraz tak nieprawdopodobnie dalekiej.

Nagle mięśnie matki, które do tej pory go otulały, zadrżały i zaczęły się unosić. Ezwał przez moment mało nie oszalał z radości, bo wyobraził sobie, że matka powraca do życia, ale zaraz ogarnęła go fala nieprzytomnej paniki. Zrozumiał, co się stało. Odwracali ją! Znieruchomiał, niemal oślepiiony przez coraz mocniejsze światło. Jednak chwilę później światło zgasło i spadające na niego ogromne ciało wytłoczyło mu całe powietrze z płuc. Musiała puścić jakaś lina. Starając się odzyskać oddech, ezwał słuchał myśli MacLennana:

- Parker! Proszę podsunąć szalupę do przodu i przybliżyć linę do ciała... Tak, teraz lepiej. Bardzo dobrze. Spróbujcie jeszcze raz.

Ciało matki znów zaczęło się poruszać, pozbawiając młodego ezwała kryjówki. Unosiło się coraz wyżej. Ezwał starał się jak najmocniej skurczyć, ze strachu ledwo oddychał. Zaraz go zobaczą. Wtedy nadejdzie straszliwy ból: palenie tym samym ogniem, który odebrał życie matce, ale tysiące razy silniejszym.

Zesztywniał, myśląc o śmierci matki, bo przypomniał sobie, co mu mówiła na temat zwalczania strachu. Ona również wiedziała, że czeka ją pewna śmierć, ale rzucała się po całej klatce, by osiągnąć swojego kata, zebrać ostatnie siły i go zabić. Tylko że on miał do czynienia z wieloma ludźmi. Było ich tylu, że nie pozostała mu żadna nadzieja. Z drugiej strony... nie było już prętów, które mogłyby go zatrzymać. Jeżeli skoczy dość szybko...

Gdy podjął to postanowienie, przerażenie jakoś go opuściło. Za chwilę podniosą matkę na tyle wysoko, że będzie miał przed sobą wolną przestrzeń. Wziął głęboki oddech i mocno wparł tylne nogi w twarde ciało matki.

Teraz! Jak wyrzucony sprężyną rzucił się na najbliższą grupkę ludzi, stojących jakieś dziesięć metrów dalej. Fala zdumienia i strachu emanująca z ich umysłów uderzyła go z niemal fizyczną siłą. Ale zaraz potem wyczuł jednomyślny, śmiertelny impuls: strzelać! Strzelać! Dziesiątki palców zacisnęły się na spustach.

Jeszcze na pół oślepiiony przez jaskrawe światło, nie zauważył szczeliny w podłodze, dopóki nie zaklinował się w niej jedną nogą. Dzięki fantastycznemu refleksowi zdołał rzucić się aa bok i

wyszarpnąć nogę, nie łamiąc kości. Ale potoczył się i ześliznął bezwładnie w dziurę o szerokości trzech metrów, gdzie podczas upadku statku rozstał się spory fragment podłogi.

Ten manewr, który wykonał absolutnie wbrew swojej woli, uratował mu życie, przynajmniej na chwilę. Gdy opadał na niższy pokład statku, w powietrzu nad sobą słyszał syk płomieni z co najmniej dziesięciu miotaczy.

Z boku pomieszczenia, w którym się znalazł, ział otwór dość duży, by się precyzyjnie. Prowadził najprawdopodobniej na kolejny poziom, gdzie może, ale nie na pewno, znajdzie się jakieś wyjście na zewnątrz. Postanowił nie iść tą drogą. Niższe piętro na pewno było jeszcze bardziej zniszczone niż to, na którym się znajdował, i mogło stać się śmiertelną pułapką.

Ludzie zaraz pojawią siana obrzeżu dziury, którą się tu dostał. Szacując na oko kierunek, który obiorą, zebrał się w sobie i skoczył. Zdołał utrzymać równowagę na rozdartej stali i wylądował tak, że miał w zasięgu nogi pierwszego z biegnących ludzi. Machnął nogą, trysnęła krew i człowiek padł jak podcięty, a jego broń strzeliła nieszkodliwie w górę.

Ezwał bez wahania skoczył na dwóch następnych mężczyzn. Nie mogli strzelać, bo zraniliby tego pierwszego, a teraz było już za późno. Rzucił się na idącego przodem z takim impetem, że połamał mu wszystkie kości, a drugiemu, niejako po drodze, rozorał pierś i brzuch. Zwalczając nieodpartą chęć zatrzymania się i rozszarpania ich ciał zębami, rzucił się do najbliższego pęknięcia w kadłubie, odległego zaledwie o jakieś sześć czy siedem metrów. Po sekundzie już je przeskakiwał. Przewornie zaraz potoczył się na bok. Prawie w tej samej chwili z otworu wystrzelił ryczący płomień i oświetlił okolicę.

Śnieg! Uczucie triumfu natychmiast go opuściło, bo ta dziwna biała substancja, zimna i miękka, zwalniała o połowę jego bieg.

I nagle promień światła, wypuszczony ze statku, rozpałił się na śniegu i rzucił jego cień daleko do przodu. Oświetlił również pobliską skałę. Ezwał skoczył w ciemność za nią. Płomień z miotacza uderzył w skałę. Rozległ się ogłuszający świst i posypały się skalne odłamki. Płomień odbił się od kamieni i przeskoczył nad ezwałem, który już rzucał się do płytkiego parowu, gdzie grubą warstwą zebrał się miękki śnieg. Trudno było w nim iść i ezwał brodził z rozpaczliwą powolnością. Po kilku krokach zaryzykował i wyszedł na skalistą krawędź parowu, po stronie bardziej oddalonej od statku.

Dwa razy rozpląszczał się na ziemi, bo strumienie światła badały skały, ale go nie wykryły. Potem, rzucając spojrzenie za siebie, zobaczył coś, co znów odebrało mu nadzieję. Prosto nad parów nadlatywała szalupa, z szybkością, jakiej sam nie potrafiłby dorównać. Niżej ziemię omiatało kilkanaście reflektorów, tworząc zaporę światła o wiele za szeroką, by dało się ominąć. Jedyne schronienie stanowiła kępa drzew, niestety tak odległa, że raczej nie dobiegłby do niej na czas. Szalupa znajdzie się nad nim za kilka sekund.

Bliżej, w odległości kilku metrów, zobaczył otulone śniegiem skały. Zebrał się w sobie i wykonał długi sus, żeby nie zostawiać w miękkim śniegu śladów nóg. Wylądował w samym ich środku, z nogami podkulonymi pod siebie. Wpakował głowę w śnieg, skręcił ciało, żeby upodobnić się do wyrosniętego krzewu, i zastygł w bezruchu.

Gdy szalupa przelatywała nad nim, nie mógł zobaczyć jej światła, ale w myślach obserwatorów nie wykrył żadnej oznaki, że go dostrzegli. Pilot z całą pewnością porozumiewał się z kapitanem, który został przy wraku, i teraz, odwrotnie niż przedtem, myśli kapitana docierały do ezwala za pośrednictwem innej osoby.

- Panie kapitanie, nie wiem, w jaki sposób mógł się stąd oddalić, ale nie widzę żadnego śladu.
- Jest pan pewny, że go tam nie ma?
- Całkowicie. Ale proszę chwilę poczekać. Przed nami widzę kępę drzew i krzaków. Mógł się

schować tylko tam. Nie jestem pewien, czy nasze reflektory dostatecznie ją oświetlą...

- A więc proszę wyłączyć i sprawdzić. Ale, na miłość boską, niech pan będzie ostrożny. Straciliśmy już dosyć ludzi,

Ezwał lekko rozluźnił mięśnie i przyjął wygodniejszą pozycję, pozostając jednak w kryjówce. Od ciepła jego ciała śnieg się topił i nisza, w której się przyczaił, stawała się coraz większa i lepiej widoczna. Ale jego kończyny, zanurzone w lodowatej wodzie, drętwiały. W tropikalnym klimacie rodzinnej planety woda zawsze była letnia albo ciepła. Całe ciało młodego ezwała przeszyla tęsknota za domem.

Nagle znów coś obudziło jego czujność. Ludzie wracali do szalupy.

- Panie kapitanie, nie ma go tutaj. Przeczesał metr po metrze całą tę kępę.

Minęła chwila, po czym ezwał usłyszał:

- Bardzo dobrze, panie Parker. Proszę jeszcze raz czy dwa oblecieć te zarośla, na trochę większej wysokości, i zobaczyć, czy nie ma tam innego miejsca, w którym mógłby się skryć. Proszę też wezwać drugą szalupę. Powinna już dolatywać do bazy. Jak tylko zostawią rannych w szpitalu, niech zabiorą sfore psów i przywiozą ją tutaj. Z nią będziemy mogli tropić potwora, niezależnie od tego, czy zostawił ślady, czy nie. I gwarantuję panu, że psy złapią tę sześcionożną bestię!

Ezwał z niepokojem patrzył, jak szalupa skręca w lewo i nabiera wysokości. Gdy tylko się oddaliła, w dwóch skokach wrócił na krawędź parowu i pobiegł do kępy drzew, gdzie schował się pod zwisającymi gałęziami. Tu będzie bezpieczny, póki szalupa nie zniknie mu z oczu.

Pięć minut później stał na skalistym brzegu szerokiej doliny, której koniec ginął we mgle. Tu miał o wiele więcej drzew, a teren był bardziej dziki i urozmaicony, choć również pokryty śniegiem, który lśnił łagodnie w świetle gwiazd mrugających na bezkłęskowym niebie. Daleko po lewej majaczyła jakaś dziwna poświata, raz widoczna, raz nie. Mogło to znaczyć cokolwiek na tym obcym świecie, ale najprawdopodobniej był to znak działalności ludzi. Tak więc tego kierunku należy unikać.

Zeskoczył ze skały i zszedł do doliny krokiem szybkim i zdecydowanym. Tutaj śnieg był bardziej zbity i twardy, dzięki czemu nie zostawi na nim głębokich śladów, zwłaszcza jeżeli będzie obchodził zasy. W ten sposób ludzie nie zdołają wykryć go z góry, a na ziemi będą musieli dostosować się do szybkości psów. Obraz psów nie był zbyt wyraźny w jego umyśle, chociaż rozumiał, że są to istoty mniejsze od ludzi i mniej inteligentne, ale odznaczające się zmysłem węchu równie czułym jak jego własny.

Gdy młody ezwał wreszcie zatrzymał się, by trochę odpocząć, szary przedświt powoli rozjaśniał ośnieżone lasy porastające wzgórza. Wybrał sobie kamienisty, wolny od śniegu kawałek ziemi pod skałą, która chroniła go przed przejmującym do szpiku kości wiatrem. Podczas nie kończących się godzin nocy nie zamarzł z zimna, do którego nie był przyzwyczajony, tylko dzięki temu, że szedł szybko, a cudowny mechanizm jego ciała dostarczał energii nogom. Ale teraz zwinął się w kłębek, nogi podkulił pod siebie i poczuł ciepło dopiero wtedy, gdy od jego ciała rozgrzała się ziemia, na której leżał.

Po jakimś czasie nieświadoma myśl musnęła jego umysł, myśl na wpół lękliwa, na wpół zaciekawiona, ale zupełnie niezrozumiała. Przez chwilę, budząc się z drzemki, sądził, że jest u siebie.

Jednak zaraz pojął, że to nieprawda, że słyszy cudze myśli. Gdy zrozumiał, że ktoś obcy wtargnął do jego umysłu, aż podskoczył i szeroko otworzył oczy.

Na niedalekim zboczu jeleni skubał suche kępiki trawy. Teraz spojrzął w bok i w lęku przewrócił oczami. Ezwał rozpoznał te same uczucia, które męczyły również jego: potrzebę pożywienia się, a jednocześnie strach przed grożącym zewsząd niebezpieczeństwem.

Czy ta żywa istota może stać się jego łupem? Głodnymi oczami zbadał stworzenie i ocenił swoje szanse na to, by je upolować. Między nim a jeleniem leżała spora przestrzeń śniegu, więc jeżeli zaatakuje, musi polegać na sile odbicia od razu przy pierwszym skoku. Powoli podkulił nogi, starannie ustawił jedną z wyciągniętymi pazurami, zebrał się i skoczył.

Mięso nadawało się do zjedzenia, ale nic poza tym. Łykał szybko, by nie czuć jego smaku. Kilka razy pakował pysk w śnieg, żeby w lodowatej wilgoci obmyć zęby z krwi. Właśnie kończył się czyścić, gdy ciszę poranka rozdarł jakiś dźwięk.

Zwierzęta!

Dźwięki dochodziły z daleka, ale towarzyszył im słaby ślad myśli, myśli ludzkiej, ludzkiej woli. Z dreszczem niepokoju ezwał odgadł, że to psy; psy i ludzie, którzy razem na niego polują.

Skoczył na skałę, skąd miał rozleglejszy widok. Stał na tylnych nogach i wyciągnął szyję. Zobaczył własne ślady, ciągnące się daleko w dolinie, którą przebył nocą. Odznaczały się na śniegu bardzo wyraźnie. Znowu stracił nadzieję. Już miał zeskoczyć ze skały i rzucić się do ucieczki, gdy po śniegu przesunął się jakiś cień.

Znieruchomiał. Chwilę później zobaczył latającą maszynę, która zaraz wylądowała w dolinie, jakieś półtora kilometra od skały, na której stał przedtem, w pobliżu jego śladów. W boku maszyny pojawił się otwór i wyskoczyło z niego pięć psów. Szybko rozbiegły się na wszystkie strony, a w ich podnieconym ujadaniu wyczuwało się ogromną niecierpliwość. Jeden z nich wywąchał trop, zaszczekał i cała sfora popędziła w kierunku ezwała.

Jego pierwszym odruchem było rzucić się do ucieczki. Jednak już po chwili, gdy ochłonał ze strachu, ruszył skalistym grzbietem na zachód, ku wysokim góróm. Droga nie była łatwa. Tam, gdzie nie leżał śnieg, ziemia okazała się kamienista. Ezwał biegł, czasami potykał się, czasami ostrożnie przeskakiwał jakąś niebezpieczną rozpadlinę, ale cały czas miał nieprzyjemne uczucie, że psy podążają trop w trop za nim, albo że ludzie zaraz nadlecą latającą maszyną, spalą go i zrzucą jego zwęglone ciało w przepaść. W pewnym momencie w jego umyśle pojawił się obraz drugiej latającej maszyny, przywożącej więcej psów i lądującej jeszcze bliżej.

W pewnej chwili szedł z grani i zbiegł po stromym zboczu. Potem znowu zmienił kierunek ucieczki, przeciął wąską dolinę i wdrapał się na bardziej odległy grzbiet. Automatycznie wybierał trudniejsze przejścia i zacierał swoje ślady we wszystkich miejscach, gdzie to było możliwe. Od

czasu do czasu szczekanie psów cicho w oddali albo gubiło się wśród skał otaczających doliny. Ale zawsze po jakimś czasie znów je słyszał i za każdym razem działało na niego jak uderzenie biczem, zmuszając umęczone ciało do nowego wysiłku. W końcu, gdy niebo poczerwieniało i słońce zaczęło schodzić coraz niżej między dwa dalekie szczyty, a wydłużone cienie stawały się coraz ciemniejsze, wyczerpany ezwał uznał, że dziś już nic mu nie grozi.

Już przedtem wymyślił, co teraz ma zrobić. Zebrał całą siłę, jaka mu jeszcze została, i ogromnymi susami przeleciał kilka razy dolinę pod kątem prostym do przebytej drogi, a potem, w odległości kilkuset metrów, wrócił na własny ślad.

Teraz ze względnie bezpiecznego, wyniosłego, zarośniętego krzakami miejsca obserwował dolinę. Dwie latające maszyny stały obok siebie na ziemi. Małe figurki ludzi biegały po śniegu, a trochę dalej, pod skałą, karmiono psy. Myśliwi szykowali się do noclegu.

Ezwał nie tracił czasu, by się o tym upewnić. W zapadającej ciemności, kryjącej coraz bardziej ponury krajobraz, zszedł z góry. Musiał obejść ludzkie obozowisko z daleka, bo nocny wiatr co chwila zmieniał kierunek. Idąc tak, by psy go nie zwietrzyły, dotarł do wysokiej skały.

Ze swojego punktu obserwacyjnego doliczył się dziesięciu psów. Były uwiązane blisko siebie, niektóre spały w śniegu. Wydzielały okropny, obcy zapach. Ezwał doszedł do wniosku, że gdy psy polują całą sforą, są bardzo niebezpieczne. Ale gdyby zdołał je zabić, ludzie musieliby sprowadzić nową drogą powietrzną. A to może dałoby mu czas na zagubienie się wśród tych niezmiernych lasów i gór.

Jednak będzie musiał pozabijać je błyskawicznie, bo inaczej ludzie wskoczą do swoich maszyn, otoczą go i zastrzelą.

Ta myśl pchnęła go do czynu. Zbiegł ze zbocza tak szybko, że nawet mała lawina, którą spowodował, została za nim.

Jeden z psów go zobaczył. Ezwał wyczuł jego strach, gdy pies wstał i ostro zaszczekał na alarm. Potem, gdy zabił go jednym uderzeniem nogi, zorientował się, że umysł zwierzęcia ogarnia ciemność. Okręcił się wokół własnej osi i jego zęby znalazły się na drodze innego psa, który już mu skakał do gardła. Zacisnął na psie szczęki tak mocne, że mogły wyszczerbić metal, i poczuł w pysku obrzydliwy, kwaśny smak krwi. Wypluł ją, warcząc głucho. Osiem wyjących psów skoczyło na niego. Podniósł nogę zaopatrzoną w pazury, by zatrzymać pierwszego z nich.

Potężne szczęki próbowały złapać jego ciemnoniebieską, groźną nogę, ale ezwał jednym zręcznym ruchem zrobił unik i chwycił psa za kark. Pazury, ostre jak sztylety, wbiły się w mięśnie przeciwnika i odrzuciły go jak niepotrzebny łachman, przetrącając mu kark. Ezwał odwrócił się, gotowy na odparcie następnych ataków, ale zatrzymał się w pół skoku. Wszystkie psy uciekały, w ich umysłach wyczuwało się jedynie strach. Zostały pobite, pozbawione ducha walki.

Ezwał został ta jeszcze chwilę, by upewnić się, jak jest naprawdę. Ludzie krzyczeli, światła się zapalały, a on ciągle badał umysły i uczucia psów. W końcu nie miał już wątpliwości. Sterroryzował je. Ta sfora przestała być dla niego niebezpieczna. Nic, nawet bicie, nie zmusi ich, by podjęły jego trop.

Biegiem oddalał się od obozowiska. Nagle reflektor zaświecił mu prosto w oczy. Ogarnęła go panika. Na szczęście człowiek, który manipulował reflektorem, nie był zbyt zręczny i prawie zaraz go zgubił. Gdy ezwał znalazł się za osłaniającym go wzniesieniem, ktoś wreszcie zaczął strzelać, trafiając w poruszające się cienie. Detonacje oświectliły niebo.

Tę noc ezwał przespał spokojnie i o świcie podjął wędrówkę. Szczekanie psów usłyszał ponownie dopiero po południu. Doznał wstrząsu, bo jakoś wbrew rozsądkowi miał nadzieję, że, biegnąc tak długo, jak mu na to pozwolą siły, zdoła znaleźć w tym pustym kraju bezpieczne miejsce

do życia.

Biegł dalej, ale był coraz bardziej wyczerpany, nie tylko fizycznie. Jego wola życia również słabła. Nie wyobrażał sobie, że zdoła zaatakować i zwyciężyć tę nową sferę. Jednak, gdy nadeszła noc, podjął próbę. Tak jak poprzednim razem, wrócił po swoich śladach, ostrożnie, czujnie, badając drogę wszystkimi zmysłami. Jego telepatyczny umysł wykrył zasadzkę z dużej odległości.

Sfrustrowany i niespokojny, wycofał się w ciemność. Zmykał, a zalegający na ziemi śnieg wyciszał jego kroki. Na niebie zbierały się chmury, zakrywając gwiazdy. Noc stawała się coraz czarniejsza. Tylko majacząca przed oczami biel śniegu pozwalała mu widzieć dość, by się nie potykać.

Było coraz zimniej. Płatki śniegu opadały skośnie, popychane przez pomocny wiatr, który z początku wiał dość łagodnie, ale potem się rozszalał.

Przez całą długą noc ezwał walczył ze śnieżycą i zimnem. Szedł niepowstrzymanie do przodu kilometr za kilometrem, wiedząc, że burza śnieżna chroni go przed prześladowcami i zaciera jego ślady.

Gdy nastał blady świt, burza ucichła, ale wiatr ciągle jeszcze zaciął. Nieszczęsny młody ezwał, zamrożony prawie do kości i półżywy z głodu, zobaczył w słabym świetle poranka otwór w stromym zboczu, prowadzący do jaskini. Wyczerpany, zamierzał się tam schować i odpocząć. Jednak w wejściu, za którym rozciągała się ciemność, stanął jak wryty, w tej ciemności spostrzegł bowiem zarys jakiegoś ogromnego stworzenia.

Zdziwienie było obopólne. Ezwał wyczuł wilgotny zapach i ciepło zwierzęcia, odór odchodów i nagłą falę macających myśli nadbiegającą ku niemu. Doszedł do wniosku, że zaskoczył potwora we śnie.

Inne zwierzę, które ośmiela się zakłócać mu spokój... zniewaga. .. rozpaczliwy wysiłek, by otrząsnąć się z mocnego snu -oto odczucia, które powstawały w umyśle niedźwiedzia, Widząc tylko niewyraźny kontur ogromnej postaci, niedźwiedź w jednej sekundzie przeszedł od oszołomienia do wściekłej furii, paskudnie chrząknął i skoczył.

Uderzenie poszło ezwała na śnieg, ale niezbyt daleko. Pazurami wyhamował na zamrożonej ziemi i z wrodzoną zażartością wgrzyzł się bezlitośnie w popychający go bark.

Niedźwiedź zaryczał, jednym gwałtownym ruchem podniósł lżejszego od siebie ezwała i objął łapami, wyduszając mu powietrze z płuc. Przez chwilę ezwał słabo próbował się uwolnić, zbyt osłabiony, by wydać walkę na śmierć i życie tak potężnemu zwierzęciu.

Jednak wyczuł u niedźwiedzia lęk przed nieznanym stworzeniem, z którym przyszło mu walczyć: cień strachu, zdumienie, chęć przerwania tych zapasów i zbadania sytuacji. Ale, gdy próbował to wykorzystać i wyrwać się, w umyśle przeciwnika nastąpiła nagła zmiana. Zacisnął chwyt i wielkimi zębami rozerwał ezwałowi bok. Rana była bardzo bolesna.

Niedźwiedź ryknął triumfalnie. Teraz w jego umyśle można było wyczytać jedynie wściekłość, furję, dzikość i pragnienie zabijania. Zwierzę podniosło ogromną łapę i uderzyło z zadziwiającą szybkością.

Ezwał odczuł uderzenie w chwili, gdy tracił przytomność. Ale ból go otrzeźwił, sprawił, że zapomniał o zmęczeniu. Przez moment znów był sobą. Błyskawicznym ruchem wgrzyzł się w łapę niedźwiedzia. Potrząsnął głową, zrywając wiązadła i miażdżąc kości. Jednocześnie włączył do akcji swoje środkowe nogi. Rwał na strzępy brzuch tej półtonowej bestii, zdierał skórę, szarpał wnętrzności.

Ten kontratak, tak gwałtowny, powinien położyć kres walce. Ale niedźwiedź był zbyt rozwścieczony, by brać pod uwagę okropne rany, jakie mu zadano. Gdyby ezwał był mniej zmęczony,

w tej chwili mógłby uciec. Jednak nie uciekł. Niedźwiedź ryknął i, oślepiiony bólem, rozpaczliwie pochwycił swojego przeciwnika, który był przecież mniejszy od niego. Na nieszczęście dla siebie nie wiedział, z kim przyszło mu się zmierzyć. Jego łapy nigdy jeszcze nie miały do czynienia z tak doskonałą maszyną do zabijania.

Ezwał nie miał siły, by zareagować szybko, ale szybka reakcja wcale nie była konieczna. Bez pośpiechu ustawił środkowe nogi w odpowiedniej pozycji. Ze znużeniem zaczął znów szarpać brzuch niedźwiedzia, wrywając mu resztę wnętrzości.

Takich ran nie potrafiłoby przeżyć żadne zwierzę, nawet jeśli powodowała nim ślepa furia. Wysyłając z mózgu faks niebotycznego zdumienia, niedźwiedź osunął się na ziemię. Nie wypuszczając ezwała z uścisku łap, z wymiotował krwistą pianą i zdechł.

Ezwał pozostał w tym uścisku do chwili, gdy śmierć rozluźniła mięśnie niedźwiedzia i jego ciężkie łapy osunęły się bezwładnie. Wtedy z trudem się podniósł i na chwiejnych nogach poczłapał do jaskini. Wylizał swoje rany, zwinął się w kłębek i zasnął.

Raz się obudził z wrażeniem, że w pobliżu przebywają jakieś zwierzęta. Wrażenie było dość wyraźne, by uświadomił sobie ich rozmiary. Było ich co najmniej kilkanaście, ale wydawało się, że są o wiele mniejsze od niedźwiedzia.

Ich umysły emanowały czystą zwierzęcością, co sprawiło ezwałowi ulgę. Dopóki te istoty nie będą się czuły zagrożone, on też nie musi się bać, że w pobliżu są ludzie. Z odgłosów i obrazów wykrytych w umysłach zwierząt wywnioskował, że pożerają niedźwiedzia. Zasnął. Gdy się obudził, było jeszcze jasno, a prawie wszystkie zwierzęta odeszły. Miał wizję kości i futra na śniegu, a także intuicyjną świadomość, że cztery wilki jeszcze zostały. Dwa usiłowały przegryźć kość udową niedźwiedzia. Co do innych dwóch, telepatyczny obraz nie był zbyt wyraźny. Zorientował się jednak, że jeden z nich węszy w wejściu do jaskini.

Ezwał podniósł się na nogi, gotowy do odparcia ataku. Do jego mięśni napływała nowa energia. Gdy obudził się poprzednio, był jeszcze zanadto zmęczony, by przejmować się, że zwierzęta, które wyczuł, mogą go otoczyć. Teraz jednak już wypoczął. Cicho podszedł do otworu wejściowego w chwili, gdy wilk ostrożnie wsunął łeb. Dzielili ich odległość niecałego metra, gdy zaczęli się w siebie nawzajem wpatrywać.

Więcej dzikości niż u psów, a nawet niż u niedźwiedzia -takie wrażenie odniósł, badając umysł wilka. A jednak wilk wydał tylko długie warkniecie i wycofał się, pokazując zęby i kuląc ogon. Ezwał wyczytał w jego myśli nie tyle strach, co rozsądny szacunek, a także zaspokojony głód. Mając pełny brzuch, wilk nie widział powodu, by atakować nieznaną istotę, o wiele większą niż on sam i silniejszą niż trzy czy nawet cztery wilki walczące razem.

Ezwał był teraz niespokojny. Odczuwał nagłą potrzebę usunięcia wszelkich śladów śmierci niedźwiedzia. Wydawało mu się, że porozrzucane kości, strzępy futra i zakrwawiony śnieg, a także bardzo wyraźne odciski łap mogą zostać łatwo spostrzeżone z lotu ptaka. Wyszedł z jaskini.

Dwa wilki stały w pobliżu, dwa pozostałe jakieś sto metrów dalej. Te znajdujące się bliżej popatrzyły na niego z wściekłością, ale gdy do nich podszedł, odsunęły się, zostawiając kości, którymi się raczyły. Nie zwracając na nie uwagi, ezwał zagrzebał pod śniegiem wszystkie szczątki. Potem krok po kroku wycofał się do jaskini, zacierając swoje ślady.

Przespał spokojnie całą noc. Następnego dnia również spał, ale często się budził, szarpany głodem. Po południu znów zaczął padać śnieg. Gdy tylko stał się gęstszy, ezwał wyszedł z jaskini. Miał określony cel. Pamiętał, że przeszedł zamrzniętą rzekę niezbyt daleko stąd t że trafiały się również inne rzeki, a pod lodem wyczuwał jakieś żyjące stworzenia. Warto było to zbadać dokładniej.

Przebił lód w miejscu, gdzie nurt pod nim był szybki, i przykucnął. Z wody doszły do niego niezborne myśli, to bliskie, to znów odległe. Dwa razy zobaczył lśniące kształty, ale tylko obserwował ich szybkie, zręczne ruchy.

Za trzecim razem wsadził prawą łapę do zimnej wody i czekał, czekał... dopóki ryba nie znalazła się zupełnie blisko.

Jednym uderzeniem, szybkim jak błyskawica, wyrzucił rybę na lód. Z prawdziwym zadowoleniem zjadł ten przysmak. Ryba miała przyjemny smak, nie była tak obrzydliwa jak jeleni.

Stracił godzinę na złowienie i zjedzenie jeszcze czterech ryb. Nie było to zbyt wiele, ale zaspokoił najgorszy głód. Gdy wrócił do jaskini, już się ściemniało.

W zadumie układał się spać. Zdawał sobie sprawę, że rozwiązał problemy, które go dręczyły przez kilka ostatnich dni, i to o wiele lepiej, niż mógłby się spodziewać. Oddalił się od swoich

wrogów, miał niezłe schronienie i nawet źródło smacznego pożywienia. I wszystkiego dokonał sam. Po raz pierwszy w swoim niedługim jeszcze życiu poczuł wiarę we własne siły. Wiedział, że matka byłaby z niego dumna.

Tyle że mimo tych sukcesów coś go nurtowało. W końcu ledwo udało mu się uciec, a nie zrobił nic, by pomścić śmierć matki.

Ilu ludzi musi w tym celu zabić? Uznał, że na całej planecie nie żyje ich dość, by zadowolić jego potrzebę zemsty. A już na pewno było ich zbyt mało tutaj, w tej odludnej, pustej okolicy. Jednak nie przypuszczał, by udało mu się dotrzeć do gęściej zamieszkałych rejonów.

Z umysłów swoich prześladowców uzyskał przelotne wizje miast i niewielkich zgrupowań domów. Musi więc dojść w takie miejsce i dokonać przynajmniej częściowej zemsty, zanim sam zostanie zabity.

Jednak jeszcze nie teraz. Głupotą byłoby wyobrazać sobie, że ludzie dali za wygraną i odstąpili od polowania na niego. W najbliższych dniach powinien wychodzić z jaskini jak najrzadziej, a potem wykorzystać opady śniegu i zejść w doliny.

Cztery dni później zdarzyło się coś, co kazało mu zmienić plany. Gdy szedł wzdłuż rzeki w poszukiwaniu dobrego miejsca na łowienie, wsadził tylną nogę w sidła na bobry. Usłyszał grzechot metalowych szczęk i aż podskoczył od nagłego bólu. Obciął uwolnić się, potrząsając gwałtownie tym nieznanym urządzeniem, ale to tylko pogorszyło sprawę, bo rozorał sobie mięśnie i zerwał ścięgno.

Ezwał osunął się na ziemię i obejrzał to, co go złapało. W kilka sekund zrozumiał, jak ta rzecz działa. Nacisnął płaskie zakończenie i wyciągnął nogę, która pulsowała bólem, a potem, gdy już zebrał siły, powlókł się w dół rzeki. Chciałby wrócić do jaskini i tam przeczekać, aż noga mu się zagoi, ale się nie ośmielił.

Ile czasu potrzeba ludziom na znalezienie otwartych sidła i skojarzenie, że to on mógł tędy przechodzić? Tego nie wiedział, ale z całą pewnością okolica przestała być dla niego bezpieczna.

O świcie ułożył się pod wysoką skałą i przespał większą część dnia. Gdy zapadał zmierzch, ostrożnie podszedł do rzeki, poszukał miejsca, gdzie lód był cienki, a nurt pod nim szybki, i dużym kamieniem przebił otwór. Bez trudu złapał kilka ryb.

Całą noc wędrował z biegiem rzeki. To samo robił następnej nocy.

Trzeciego dnia z głębokiego snu obudził go znajomy warkot silników. Kuląc się w kryjówce, obserwował niewielki stateczek, który leciał w jego stronę, unosząc się kilka metrów nad rzeką.

Nagle w jego umyśle rozbłysła wyraźna myśl, bez wątpienia adresowana do niego:

- Natychmiast odejść od rzeki. Wykryto twoje ślady i podjęto poszukiwania. Nazywam się Jamieson i próbuję uzyskać zezwolenie na to, by uratować ci życie. Ale może ono nadejść zbyt późno. Natychmiast odejść od rzeki. Wykryto twoje ślady...

Stateczek kontynuował lot w dół rzeki; już go nie było widać, myśl się, rozmyła. Młody ezwał jeszcze chwilę pozostał skulony tam, gdzie był; zaczął niespokojnie analizować sytuację. Czy to podstęp, by go wywabić z kryjówki na odkrytą przestrzeń teraz, gdy jest jeszcze jasno?

Uznał, że jednak nie. Zapewne miał do czynienia z jednym z tych ludzi, którzy odkryli tajemnicę ezwali. Jednak jego przyjazne nastawienie stanowiło ogromne niebezpieczeństwo dla całej rasy. Matka już oddała życie, by tę tajemnicę zachować, a on musi postąpić tak samo.

Tyle że nie chciał umierać bez walki. Jak biegacz wpadający na metę wyskoczył z kryjówki i popędził w górę rzeki, w kierunku, z którego tu przyszedł. Rano przechodził obok głębokiego wąwozu, otoczonego ostrymi skałami, który dochodził do rzeki pod kątem prostym. Teraz zamierzał się tam ukryć.

Ody dobiegł do wąwozu, noga znów go rozboleła. Nie zwracając na to uwagi, rzucił się w tę z

dwóch odnóg, która wydawała mu się trudniejsza do przebycia. Nietknięty stopą ludzką, kamienisty szlak wiódł w górę i ezwał wkrótce znalazł się na szczycie, jakieś dwieście metrów nad rzeką.

Nadal nie widział latającej maszyny ani pogoni. Z ulgą skierował się ku wysoko położonej przełęczy, którą zobaczył daleko przed sobą,

Gdy biegł po tym rozpaczliwie pustym i zimnym terenie, zapadała już noc. Wielki, okrągły księżyc wschodził za jego plecami, a po prawej stronie jaśniały dziwne światła, które rozpoznawał już jako cechę charakterystyczną tej planety.

Po nieskończeniu długim czasie wstało słońce. Ezwał był wyczerpany, w nodze czuł rozdzierający ból. Ale najbardziej niepokoiło go to, że jak okiem sięgnąć, rozciągało się przed nim szare morze, a na jego brzegu stały ludzkie siedziby.

Z wahaniem przyglądał się okolicy. Z jednej strony właśnie do takiego miejsca pragnął dojść, by znaleźć wiele ludzkich istot, od których rozpocznie swoją zemstę, ale... chwila nie była odpowiednia. Miał chorą nogę, co utrudniało mu wszelkie ruchy, a pogoń się zbliżała.

Będzie musiał obejść miasteczko, dotrzeć na pustkowie i kryć się, dopóki...

Nagle nad najbliższą kępą drzew pojawił się statek powietrzny. W chwilę później przelatywał mu już nad głową. Ezwał błyskawicznie czmychnął, ale zdążył rozpoznać maszynę, którą widział wczoraj, gdy łowił ryby. Teraz stateczek podążał za nim bez trudu, zakręcał i zataczał kręgi, gdy ezwał zmieniał kierunek, a ten sam wyrazisty umysł, który zwrócił się do niego poprzednio, wysyłał serię szybkich, naglących myśli:

- Nie zrobię ci krzywdy! Gdybym tego chciał, już byłbyś martwy. Zatrzymaj się, bo inaczej cię wyśledzą. Już cię spostrzeżono w tej okolicy i zawiadomiono władze. Znalazłem cię przed innymi tylko dzięki temu, że wiedziałem, skąd idziesz. Ale zaalarmowano cały region i wysłano wiele latających maszyn na poszukiwania. Zatrzymaj się!

Ezwał czuł się rozdarty między tym nagłym głosem a instynktowną ostrożnością. Był też wściekły, że nie potrafi oderwać się od prześladowcy. Jednak niecałą minutę później sprawa rozwiązała się sama. Zauważył niewielkie skupisko domów, zmienił kierunek i zobaczył, że zaledwie półtora kilometra dalej ląduje jedna z tych szalup, których tak się bał. Zanurkował w kępę zarośli i, drżąc na całym ciele, przypadł do ziemi.

Mały stateczek spadł jak kamień i łagodnie wylądował w odległości piętnastu metrów. Ezwał aż podskoczył, gdy w boku maszyny otworzył się właz, jednak nikt się w nim nie pojawił. Zamiast tego do jego umysłu dotarły kolejne myśli:

- Wczoraj chciałem cię skierować na pustkowie, ale teraz, gdy już znalazłeś się w tym zamieszkanym rejonie, pozostaje mi tylko jeden sposób, by ci ocalić życie. Musisz wejść do tylnego przedziału mojego statku i pozwolić, bym cię zabrał w bezpieczne miejsce. Nie, nie mogę ci zwrócić wolności, ale chyba mogę zapewnić, że nikt nie wyrządzi ci krzywdy. Zbliża się szalupa! Ludzie na jej pokładzie nie wierzą, że jesteś istotą inteligentną, widzą w tobie wyłącznie zagrożenie, a brakuje mi czasu, by ich przekonać, jak jest naprawdę. Jeżeli się nie pospieszysz, zabijacie! Rozumiesz?

Szalupa znajdowała się już tylko kilkaset metrów od nich. Sprawdziała kępę drzew bardzo podobną do tej, w której schował się ezwał.

Nadal kulił się, drżąc ze strachu. Był pewny, że nie odróżni jego śladów na topniejącym śniegu; miał też jeszcze nadzieję, że szalupa poleci w inną stronę, ale zaraz ją stracił, bo wzniosła się trochę wyżej i obrała kierunek prosto na niego.

- Szybko! - przynaglał umysł człowieka w małym stateczku. - Lepiej, żeby cię nie zobaczyli!

Ezwał wahał się jeszcze przez chwilę. Cała jego istota wzdragała się przed utratą wolności zdobytej za tak ogromną cenę. Wreszcie, w ostatnim momencie, pobiegł w stronę stateczku. Decyzja

nie była spowodowana pragnieniem przeżycia, lecz wspomnieniem słów jego samozwańczego obrońcy: „Ludzie na pokładzie nie wierzą, że jesteś istotą inteligentną”. To mogło oznaczać, że wołający go człowiek jest jedynym, który w to wierzy. A jeżeli ezwał zdoła go zabić, jego wiedza umrze razem z nim.

Kryjąc się za krzakami, z brzuchem przy ziemi, ezwał prze-czołgał się szybko do latającej maszyny i wskoczył do tylnego przedziału. Właz zamknął się z suchym trzaskiem, pozostawiając go w ciemności, ale zaraz zorientował się, że przedział jest całkiem pusty, wyposażony jedynie w dwa małe wloty powietrza. Gdy poczuł, jak podnosi się pod nim podłoga, ze znużeniem usiadł i więcej się nie poruszył. Dziwne, ale świadomość, że w najbliższym czasie nie będzie miał okazji zabicia posiadacza najważniejszej tajemnicy jego rasy, wcale go nie zasmuciła. Spokojnie pogodził się z tym, że sprawy muszą teraz iść swoim torem, bo on i tak nic nie może na to poradzić.

Gdy tak siedział nieruchomo, skądś spoza maszyny zaczęły napływać myśli, zapisujące się w umyśle człowieka, który znajdował się w sąsiednim przedziale, a towarzyszyły im ledwo słyszalne dźwięki:

- Doktorze Jamieson! Jakoś zawsze udaje się panu wyprzedzić nas o krok. Oczywiście pan nie widział pan tego biednego małego potwora, którego chcemy tak źle potraktować, prawda?

Myśli wysyłał ten sam stanowczy umysł, który wiele dni temu wydawał rozkazy przy wraku. Teraz okazał się jeszcze bardziej wrogi.

Minęła chwila, a potem do umysłu ezwała dotarła odpowiedź, zabarwiona ostrożną ironią:

- Kapitanie McLennan, jestem całkowicie pewny, że on odszedł z tej okolicy.

- Ach, doprawdy? No dobrze, wkrótce się tego dowiemy. Jego tropem podąża sześć psów i jedna szalupa. A psy, sądząc po tym, jak pędzą, mają bardzo piękny, świeży trop. Tym razem będziemy polować tak długo, aż go dopadniemy, niezależnie od tego, gdzie jest. Zabrakło panu szczęścia i nie zdołał pan przekonać komisarza, że to zwierzę nie jest specjalnie niebezpieczne, więc nie będziemy próbować łapać go żywcem. Ale może pozwolą go panu wypchać.

Podczas gdy kapitan mówił, jego myśli stawały się coraz odleglejsze i ezwał poczuł, że stateczek przyspiesza. Chwilę później wyczytał jednak niepokój w umyśle Jamiesona, kiedy nadeszła następna emisja:

- Jamieson! - to był głos i myśli kapitana McLennana. Wyczuwało się w nich prawdziwą furję. - Proszę natychmiast lądować albo pana zestrzelimy.

Ezwał wyczytał konsternację i rozczarowanie w umyśle człowieka siedzącego w sąsiednim przedziale. A także niezdecydowanie i wewnętrzną walkę: lądować czy, wprost przeciwnie, nabrać pełnej szybkości i polecieć w góry, gdzie będzie można się ukryć między szczytami spowitymi mgłą? Jednak nic z tej niepewności nie przeniknęło do oburzonej odpowiedzi Jamiesona:

- Kapitanie, co to ma znaczyć?

- Blefowanie nic panu nie da! Ktoś widział wszystko z domu stojącego na wzgórzu. Gdy ta osoba spostrzegła podejrzaną manewrującą stateczek, wzięła lornetkę i wyraźnie zobaczyła, jak pan ląduje, a potem zwierzę wskakuje przez właz. Jak pan to osiągnął? Zwabił go pan przysmakiem pochodzącym z jego planety? Jamieson, ostrzegam pana! Nasze działka są wymierzone w pana statek. Liczę do trzech. Jeśli nie zobaczę, że pan ląduje, dam rozkaz strzelania. Jeden... dwa...

Ezwał poczuł, że podłoga pod nim opada, ale sekundę wcześniej dotarła do niego seria myśli przebiegających umysł Jamiesona jak błyskawice: obraz zestrzelonego statku, Jamiesona zabitego, gdy statek roztrzaskuje się o ziemię, ezwała żyjącego na tyle długo, by mogli go wykończyć bezlitośni ludzie z szalupy. A wśród tych myśli pojawiło się również uczucie zniechęcenia i gorzkiego żalu spowodowanego klęską najważniejszego planu.

To było bardzo dziwne. Umysł tego człowieka wydawał się zupełnie inny niż umysły ludzi, którzy zabili jego matkę. W tym umyśle nie wyczytał najmniejszej chęci zabicia ludzi z szalupy, choć

przecież oni grozili mu śmiercią. I prawie żadnego strachu. Gdy ezwał się nad tym zastanawiał, z sąsiedniego przedziału dotarła do niego fala pospiesznych myśli:

- Nie mam czasu, by ci wszystko wytłumaczyć szczegółowo, ale musisz zrozumieć podstawową sprawę. Oczywiście wiesz, dlaczego ezwale postanowiły ukrywać, że są istotami inteligentnymi. Obawiają się, że gdyby ludzie dowiedzieli się o tym, antagonizm nabrałby jeszcze większych rozmiarów. I tak mogłoby się stać... gdyby żadna ze stron nie miała większych praw do Planety Carsona niż druga. Wy, jako zwykle zwierzęta- które udajecie - zgodnie z prawem międzyplanetarnym nie możecie rościć sobie najmniejszych pretensji do planety. Ale gdybyście udowodnili, że jesteście istotami rozumnymi i rdzennymi mieszkańcami planety, wasze prawo do niej byłoby niepodważalne. Ezwale nigdy nie zdołają siłą wypędzić ludzi z Planety Carsona, ale jako rasa posługująca się nauką i nawiązująca stosunki z inną rasą, możecie od nas zażądać, byśmy odeszli, a my musielibyśmy spełnić to żądanie. Zaryzykowałem moją zawodową reputację -i osobiste bezpieczeństwo - żebyś mógł stanąć przed moim rządem w nadziei, że udowodnisz mu, iż ty i twoi współplemieńcy jesteście istotami inteligentnymi i że musimy przestać się nawzajem zabijać, a zacząć rozmawiać. Oczywiście nie mogę tego dokonać, jeżeli nie zechcesz ze mną w pełni współpracować.

W chwili gdy człowiek zamilkł, stateczek wylądował. Ezwał zbadał wytrzymałość ścian przedziału, naciskając na nie ze wszystkich sił, ale nie znalazł żadnego słabego miejsca. Zajrzał do wlotów powietrza i przekonał się, że ściany wykonano ze stali, a jej grubość odpowiadała prawie długości jego pazurów.

Jamieson znów się odezwał:

- Jak zapewne wiesz, ludzie z szalupy to wojskowi, którym rozkazano znaleźć cię i złapać, żywego lub martwego. Gdy kilka dni temu wróciłem na Ziemię, poprosiłem, by to mnie zlecono tę operację, bo kapitan McLennan nie zdołał cię odnaleźć. Jednak odrzucono moją prośbę, ponieważ nalegałem, by ująć cię żywcem, a uważano, że na to jesteś zanadto niebezpieczny. Jestem tutaj wbrew woli kapitana McLennana. Jemu się wydaje, że żołnierze są o wiele lepiej wyposażeni do wykonywania takich misji.

Ezwał słuchał wyjaśnień Jamiesona niezbyt uważnie, bo stawał się coraz bardziej świadomy niejasnych myśli, niektórych zdecydowanie wrogich, a część tej wrogości skierowana była właśnie przeciw Jamiesonowi. Dawały do zrozumienia, że nie gra on uczciwie, ale zabarwione były również podziwem dla sposobu, w jaki Jamieson dokonał tego, co oni uważali za niewykonalne.

Wszystkie te odczucia napływały coraz silniejszą falą. Najwyraźniej szalupa wylądowała bardzo blisko.

Jamieson zakończył nagłym tonem:

- Sytuacja wymknęła mi się z rąk. Ale ty możesz pomóc nam obu, wyjawiając mi, co myśli McLennan i jakie ma plany.

Ezwał nonszalancko rozsiadł się w kącie przedziału. Jeszcze nie podjął decyzji. A już na pewno nie da się złapać w pułapkę zastawioną tak niezdarnie i niczego nie wyjawia, nawet jeżeli nie ma pewności, czy ten człowiek rzeczywiście używa podstępów.

Teraz obrazy pochodzące z umysłu Jamiesona pokazywały, że otworzył drzwi sterówki i wyszedł ze statku. Na ziemi oczekiwało go kilku ludzi z wycelowaną bronią,

Z głośnika rozległy się słowa McLennana, który jeszcze nie opuścił szalupy:

- Doktorze, w tej chwili jestem zbyt zdziwiony pana nielegalnym postępowaniem, by zdecydować, jakie środki podjąć. Proszę się odsunąć.

Jamieson nie odpowiedział. Odstąpił jednak od stateczku, tak jak mu rozkazano.

- Bardzo dobrze. Carling, może pan wejść - mówił McLennan ostro.

Mężczyzna niosący mały metalowy cylinder wszedł do sterówki. Pozostali usłyszeli metaliczne odgłosy.

Głos Jamiesona smagnał wszystkich jak biczem:

- Panie kapitanie, ostrzegam pana, że jeżeli wyrządzącej najmniejszą krzywdę ezwalowi, który jest bezbronnym jeńcem, nie będzie wam łatwo się z tego wytłumaczyć.

- Niech pan się nie obawia, doktorze Jamieson. Nie zrobimy nic złego pana przyjacielowi. Chcę tylko, żeby sprawdzono, czy przedział nadaje się do transportu tak niebezpiecznej bestii do cywilizowanego kraju. A zwierzęciu nic się nie stanie. Po prostu rozpylimy gaz i na kilka godzin straci przytomność.

- Ezwał został już uprzedzony, więc gaz nie podziała - powiedział Jamieson.

- Coś podobnego - zakpił kapitan. - Pańska ukochana teoria, co? No dobrze, zobaczymy, czy jest dość inteligentny, żeby wstrzymać oddech na kilka minut. Carling, jest pan gotowy? Jeśli tak, to proszę rozpylić gaz.

- Tak jest, kapitanie.

Ezwał po raz trzeci napełniał płuca powietrzem, gdy usłyszał syk. Przestał oddychać. Nie miał pojęcia, ile to jest kilka minut, więc pozostał na miejscu, nieruchomy, zdecydowany powstrzymać się od oddychania, aż zemdleje, jeżeli to okaże się konieczne.

Jamieson podjął rozmowę:

- Panie kapitanie, popełnia pan groźny błąd, jeśli pan sądzi, że to stworzenie straci przytomność pod wpływem działania gazu.

- Chce pan nam wmówić - zdziwił się McLennan - że to zwierzę wie, iż jest w tej chwili usypiane, bo o tym rozmawialiśmy... czyli, krótko mówiąc, że ono nas rozumie?

- Ono czyta w umysłach.

To wreszcie dotarło do McLennana. Ezwał wyczuł zmianę w toku jego myśli. Kapitan zaczął przyjmować do wiadomości twierdzenia Jamiesona.

- Jamieson, mówi pan poważnie? - spytał, a jego głos brzmiał niepewnie.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny. Ezwale są telepatami, jedynymi telepatami w znanym nam wszechświecie, którzy mogą jednocześnie odbierać myśli istot nitelepatycznych, i to nie kierowane bezpośrednio do nich.

- Jakby to było dobrze - odparł w zamyśleniu McLennan - gdybyśmy mieli telepatę na każdym naszym okręcie.

- To prawda - przyznał Jamieson. - A przecież możliwości wykorzystania ich daru jest o wiele więcej. McLennan przestał się wahać.

- Mimo wszystko nie możemy go wypuścić. Trzeba też zadbać, by nie spowodował nowych nieszczęść. Carling, proszę rozpylić gaz jeszcze przez pięć minut. Potem niech pan otworzy drzwi.

Pięć minut, trzydzieści, sześćdziesiąt... to nie miało najmniejszego znaczenia. Ezwale są istotami

ziemnowodnymi; żeby mieć pewność, że ezwał stracił przytomność od wstrzymywania oddechu, potrzeba co najmniej półtorej godziny.

Fakt, że McLennan zaczął się przychylić do teorii Jamiesona, pomógł ezwałowi podjąć ostateczną decyzję. Jamieson musi umrzeć w taki sposób, by chwilowa wiara McLennana w inteligencję ezwali została na zawsze zniszczona. Trzeba dać pokaz wyjątkowego bestialstwa.

Przygotował się do natychmiastowej akcji. Rozluźnił się tak, że jego ciało stało się zupełnie miękkie. Wiedział, że Jamieson podchodzi niepostrzeżenie do stateczku. Musiał zajrzeć do środka, bo zawołał:

- Panie kapitanie, proszę skończyć z tym rozpylaniem gazu. Nikt nie wie, jak ezwał na niego zareaguje.

- To ten sam gaz, jakiego pan użył za pierwszym razem - wyjaśnił McLennan.

- Wtedy może mieliśmy po prostu szczęście.

- Dobrze - zgodził się McLennan. - Carling, proszę otworzyć drzwi. Niech wszyscy się cofną.

- Co pan zamierza zrobić? - spytał Jamieson.

- Jeżeli jest nieprzytomny, podniesiemy go dźwigiem i przeniesiemy do szalupy, bo jest większa.

- Proszę mi przynajmniej pozwolić, żebym to ja włożył mu uprząż - powiedział zrezygnowany Jamieson.

W umyśle ezwata pojawił się obraz Jamiesona, który podszedł do drzwi i otworzył je. To całkowicie zmieniło plany stworzenia. Do tej pory zamierzał leżeć nieruchomo w nadziei, że przypadek zbliży Jamiesona do niego. Teraz jednak człowiek znajdował się tak blisko, że mógł skoczyć i go zabić. Ezwał podkurczył nogi i skoczył ponad smugą światła, która rozszerzała się od drzwi.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Ezwał i człowiek znaleźli się nagle twarzą w twarz. Troje lśniących jak stal, ustawionych w jednej linii oczu patrzyło w dwoje oczu brązowych, spokojnych i nie zdradzających leju.

Z zewnątrz dolatywało lodowate powietrze i chaos nerwowych myśli wystraszonych ludzi. Ezwał przez chwilę był tego świadomy, a potem odepchnął to wrażenie w głąb umysłu.

Działo się coś dziwnego. Mimo swojej rozpaczliwej determinacji wahał się. I zaczynał rozumieć dlaczego. Przedtem, wiele dni temu, bezlitośnie zabijał ludzi, bo był dla nich tylko zwierzęciem, a oni byli wrogami jego rasy.

Tutaj sprawy miały się inaczej. Ten człowiek to przyjaciel. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. A to jeszcze nie wszystko. Obaj są istotami rozumnymi i oto stoją naprzeciwko siebie. Chociaż ezwał niezbyt dobrze zdawał sobie z tego sprawę, czuł pokrewieństwo istniejące między wszystkimi umysłami, jakie powstaje w chwili, gdy nawiązują między sobą kontakt.

W jakimś odległym zakamarku mózgu miał zakorzenioną wiedzę o tym, że między inteligentnymi rasami może istnieć antagonizm. Jednak jego rozwój emocjonalny nie osiągnął jeszcze takiego poziomu, by o tym wiedział świadomie. Tak więc odczuwał jedynie wrażenie kontaktu i pokrewieństwa.

Potem Jamieson odezwał się poważnym, skłaniającym do rozsądku tonem. Ezwał nie rozumiał słów, ale myśli człowieka były zupełnie jasne:

- Jestem twoim przyjacielem i stoję między tobą a pewną śmiercią. Nie dlatego że ci ludzie są twoimi wrogami, lecz dlatego że ty nie chcesz im pozwolić, by stali się przyjaciółmi. Możesz mnie bez trudu zabić i wiem, że w tej chwili nie cenisz zbyt wiele własnego życia. Ale zastanów się nad tym: podczas gdy my tutaj nie możemy dojść do porozumienia, może na twojej rodzinnej planecie jakiś inny ezwał właśnie zabija człowieka albo jest przez niego zabijany. Chociaż od twojej planety dzieli

nas ogromna odległość, tylko od ciebie zależy decyzja, czy te masakry się skończą, czy też będą trwały jeszcze bardzo długo. Niech ci się nie wydaje, że proponuję ci wygodny, tchórzliwy sposób ocalenia. Doprowadzenie do tego, by ezwale i ludzie żyli w zgodzie, nie będzie łatwym zadaniem. Trzeba najpierw przekonać większość przedstawicieli obu naszych ras. Pośród ludzi spotkasz wielu takich, którzy traktują każdą istotę różniącą się od nich jak zwierzę, czyli automatycznie jako istotę niższą. Tacy ignoranci nie mają władzy, ale mogą wyczerpać całą twoją cierpliwość. Natomiast wśród twojej rasy wielu będzie uważało cię za zdrajcę tylko dlatego, że rozumieją świat nie lepiej niż ci mężczyźni, którzy są tu z nami. Zadanie może okazać się długotrwałe i trudne, ale z twoją pomocą zostanie wypełnione. Można zacząć je wypełniać już teraz.

Jamieson spokojnie odwrócił się tyłem do ezwala i stanął przed mężczyznami z załogi szalupy. Gdy kapitan McLennan usłyszał jego słowa, ze zdumienia nie mógł wykrztusić słowa.

- Panie kapitanie - powiedział Jamieson - czy zechciałby pan poprosić kogoś, by przyniósł mi ze sterówki moją torbę lekarską? Nasz gość poważnie zranił sobie nogę i muszę go opatrzeć.

McLennan kilka razy zamrugał oczami i, niezdolny do wydania głosu, skinął tylko głową w stronę któregoś z podwładnych. Ten skierował się do sterówki.

- Jednak proszę mieć na uwadze, że ma jeszcze pięć zdrowych nóg - dodał Jamieson. - Niech więc nikt nie popełni błędu i nie próbuje zamykać tych drzwi, zanim nie będziemy pewni, że on się na to zgadza.

Ezwal tkwił w miejscu, nieruchomy jak posąg. Tortura niezdecydowania szarpała mu umysł. Już teraz, ociągając się tak długo, sprawił na tych ludziach wrażenie, jakiego za wszelką cenę chciał uniknąć: że jest istotą rozumną.

Mężczyzna, który poszedł do sterówki, wrócił z małą torbą, wyciągnął rękę jak najdalej i podał torbę Jamiesonowi. Jamieson postawił ją na progu, między ezwalem a sobą. Jeszcze raz spojrzał ezwalowi w oczy.

- Czy zechciałbyś się położyć, żebym mógł zbadać twoją nogę? - poprosił spokojnie. - Postaram się przynieść ci ulgę.

Umysł człowieka całkowicie się otworzył. To była decydująca chwila. Ezwal nie widział możliwości ucieczki... w dodatku sam też szczerze chciał się stać użyteczny.

Już w momencie podejmowania decyzji poczuł, że jest ona nieunikniona. Gdy położył się i wyciągnął nogę, odczuwał wyłącznie ogromną ulgę.

We mgle rysowały się już kontury wielkiego miasta, Miasta Okrętu. Jakiś czas temu Jamieson zadzwonił z samolotu do żony; dopiero wtedy dowiedziała się, że wrócił na Ziemię. Szybko przyprowadziła Deksa od Nauczyciela i połączyli się jeszcze raz. Ich telefoniczna rozmowa była bardzo ożywiona.

Niecierpliwość rodziny, by go zobaczyć, sprawiła, że poczuł się winny, bo powinien był skontaktować się z żoną natychmiast po powrocie. Cztery i pół miesiąca podróżował w kosmosie, a następnych kilka tygodni spędził na Ziemi, próbując uratować młodego ezwała. Wiedział, że to się żonie nie spodoba, postanowił więc, że po prostu jej o tym nie powie.

Siedząc wygodnie w fotelu na pokładzie samolotu, Jamieson pokiwał głową myśląc o warunkach, w jakich przyszło żyć ludziom jego czasów. Wszystko: stosunki rodzinne, wychowanie dzieci, miłość i osobiste pragnienia podporządkowane było bezlitosnym wymogom wojny z milami, która trwała już cały wiek. Za niecałą godzinę znajdzie się w domu. Powitają go pocałunki zmieszane z łzami, bo Veda jest niezwykle uczuciową kobietą. Wiedział, że przez pierwsze dni odpowie na jego namiętność taką samą namiętnością, niebawem jej potrzeby staną się tak wielkie, że z trudem im sprostą, aż wreszcie płomień powoli zgaśnie, bo on znów pograży się w pracy na swoim wysokim stanowisku w administracji. Teraz już coraz rzadziej pracował w terenie. Na palcach jednej ręki mógł policzyć sprawy, których nie mógł załatwić zza biurka. A jedną z nich był właśnie problem ezwali.

Dwie okoliczności sprawiły, że tym razem on, szef Departamentu Nauki, zajął się tym osobiście. Po pierwsze, w nikim innym nie wzbudziła entuzjazmu hipoteza, że ezwale mogą być istotami rozumnymi, więc nie mógł mieć nadziei, iż ktoś wzięłby na serio projekt złapania jednego czy kilku z nich żywcem. Po drugie cała ta sprawa miała związek z Planetą Carsona, jednym z trzech najważniejszych ogniw obronnego łańcucha ludzkości w wojnie z rullami. Oczywiście załatwiał też kilka innych ważnych spraw, ale w większości przypadków nie widział potrzeby, by osobiście udawać się w teren.

Pewnego dnia, niedługo po tym, jak młody ezwał został złapany, siedział w swoim gabinecie i prowadził rozmowę o tyle ważną, by wymagała uwagi samego „wielkiego szefa”, ale nie dającą podstaw do obaw, że znów będzie musiał opuścić Ziemię.

- Ta - powiedział Trevor Jamieson, wskazując czubkiem ołówka zieloną plamę na rozłożonej na biurku mapie. Podniósł wzrok na kościstego, nerwowego mężczyznę, który siedział naprzeciwko niego. - Panie Clugy, obóz musi zostać założony tutaj.

Ira Clugy, inżynier i astronauta, pochylił się i obejrzał wskazany wycinek mapy. To, co zobaczył, wprowadziło go w zdumienie. Poirytowanym głosem spytał:

- Dlaczego właśnie w tym miejscu?

- To bardzo proste - odparł Jamieson. Krepowało go, że musi potraktować dorosłego mężczyznę jak chłopca, ale wojna z rullami wymagała od administratorów, by odgrywali przeróżne role. - Celem naszej misji jest zdobycie płynu znajdującego się w ciałach potomstwa zwierząt limfatycznych z planety Mira. A najwięcej ich można znaleźć właśnie w tym zalesionym rejonie. Z tego wynika, że obóz musi zostać rozbity właśnie tam, byśmy mogli jak najszybciej uporać się z zadaniem.

Ogromne dłonie Clugy'ego zacisnęły się w pięści. Najwidoczniej z trudem zachowywał spokój. Jamieson uważał, że jego rozmówca wykazuje właściwą reakcję. Całe szczęście, pomyślał załośnie, że nie walnął mnie pięścią w nos.

- Panie Jamieson - odezwał się po chwili Clugy już normalnym tonem. - Jak pan wie, dokonaliśmy

wstępnego zwiadu. Nigdy jeszcze żaden człowiek nie widział lasu takiego jak ten. Roi się tam od młodych zwierząt: limfatycznych, ale także od tysięcy innych niebezpiecznych stworzeń.

Wstał i pochylił się nad plastyczną mapą planety Mira.

- Natomiast tutaj - podjął szybko - w tych górach, jest co prawda również dość nieprzyjemnie, ale życie roślinne i zwierzęce krzewi się mniej bujnie, a klimat wydaje się znośny. Gdybyśmy tam założyli obóz i wysyłali do lasu zmieniające się ekipy, i tak dostałby pan tyle zwierząt limfatycznych, ile by pan chciał. Proszę wziąć także pod uwagę, że kosztowałyby to mniej, bo nie trzeba byłoby karczować i utrzymywać terenu w lesie.

Była to najlogiczniejsza analiza, jaką Jamieson kiedykolwiek słyszał. Jeżeli Clugy znajdował się pod kontrolą raili, doprawdy dobrze grał swoją rolę. Jamieson wiedział, że to, co dzieje się tutaj, jest filmowane i przekazywane do sąsiedniego pokoju, gdzie znajduje się grupa psychotechników, obserwująca Clugy'ego. Gdyby wykryli jakiś fałszywy ton, na biurku Jamiesona zapaliłaby się lampka, niewidoczna dla jego gościa. Ale na razie nic się nie zapaliło.

- Z powodów, o których nie mam prawa pana informować - powiedział - ta limfa jest zbyt ważna, byśmy zastanawiali się nad kosztami jej uzyskania. Potrzebujemy jej, i to bardzo pilnie. Poza tym w kontrakcie, jeżeli pan go otrzyma, zagwarantuje się panu zwrot wszelkich kosztów, oczywiście po sprawdzeniu ich zasadności. Tak więc...

- Do diabła z kosztami! - wykrzyknął Clugy ochryple. - Nie powinienem być w ogóle o tym wspominać. Najważniejsze jest to, że wystawi się na niepotrzebne ryzyko setki przyzwoitych ludzi.

- To będzie konieczne ryzyko - sprzeciwił się Jamieson. Przykręcał teraz śrubę, by sprowokować gwałtowną reakcję. - I przyjmuję pełną odpowiedzialność za swoją decyzję.

Clugy powoli opadł na fotel. Jego twarz, opalona promieniami wielu słońc, ze złości pokryła się jaskrawą czerwienią. Ale jeszcze raz się opanował.

- Panie Jamieson, proszę posłuchać. Na brzegu tej dżungli znaleźliśmy niewielką wyżynę. Pisałem o tym w swoim raporcie. Nie nazwałbym jej odpowiednim miejscem na obóz, ale i tak jest tam znacznie lepiej niż na ziemiach położonych niżej. Jeżeli rząd nalega, by obóz został założony w pobliżu źródła zaopatrzenia - albo raczej jeżeli pan na to nalega, bo to pan tu rządzi - zbudujemy go na tym wzniesieniu. Jednak od razu chcę wyjaśnić, że poniżej tej granicy nie rozbiję obozu i nie będę narażał ludzi, nawet gdyby miało mnie to kosztować kontrakt.

Jamieson nie wiedział, co o tym myśleć. Zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia jego naleganie musi wydawać się bezsensowne temu inżynierowi, który kieruje się czystą logiką. Mimo to czubek jego ołówka wrócił na zieloną płamę i mocno się w nią wbił.

- Tu - powtórzył stanowczo.

To była ostatnia kropla. Clugy zerwał się z fotela jak wyrzucony sprężyną. Uderzył pięścią w biurko tak mocno, że aż zawibrowało.

- Do cholery! - wybuchnął. - Ilu to ja już poznałem takich małych geniuszy jak pan, rozwalonych w swoich obrotowych fotelach! Siedzicie za biurkami od tak dawna, że straciliście kontakt z rzeczywistością, ale uważacie, że możecie utrzymać swoją reputację „twardzieli” po prostu rozkazując, by wszystko było robione jak najtrudniej, nawet jeżeli w ten sposób wystawiacie na niebezpieczeństwo życie ludzi o wiele więcej wartych niż wy! Posłuchaj, dobry człowieku! Gdybym mógł cię zrzucić chociaż na pięć minut w to zielone piekło, tam, gdzie wbił się czubek twojego ołówka, wtedy przekonalibyśmy się, gdzie naprawdę chcesz zbudować obóz.

Właśnie takiego wybuchu potrzebował Jamieson. Lampka nadal się nie zapalała. Poczł ulgę. Teraz trzeba było zakończyć rozmowę, nie dając poznać, że chodziło tu o test.

- Doprawdy, panie Clugy - odezwał się spokojnie - dziwi mnie, że zajmuje się pan wycieczkami

osobistymi, gdy omawiamy misję zleconą przez rząd.

Clugy nadal wpatrywał się w niego, chociaż złość na jego twarzy ustąpiła zasepieniu.

- Panie Jamieson - powiedział cierpko. - Proszę zauważyć, że staje się to sprawą osobistą właśnie dlatego, że pan przez zwykły kaprys chce postawić innych ludzi w rozpaczliwej sytuacji. Jeżeli życzy pan sobie, by obóz rozłożono tutaj, niech pan go sobie sam rozbija. Ja rozkażę mojej załodze wracać na Ziemię. Niech diabli porwą pański kontrakt, z kosztami wliczonymi czy też nie!

Clugy odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Jamieson nie próbował go zatrzymać. Sprawdzian nie został jeszcze zakończony. Niezbity dowód uzyska dopiero wtedy, gdy Clugy spełni swoją groźbę odwołania ludzi z Miry 23 i w ten sposób zrezygnuje z lukratywnego kontraktu. Tego rulle nigdy by nie zrobili, nawet gdyby kazano im założyć obóz na wulkanie. Nie mogliby sobie pozwolić na utratę kontroli - sprawowanej za pośrednictwem Clugy'ego, jeżeli rzeczywiście go sobie podporządkowali - nad realizacją wyjątkowo ważnego ludzkiego projektu. Jamieson nie wyobrażał sobie, by aż tak daleko się posunęli w udawaniu troski o ludzki personel.

Przekręcił tarczę i nacisnął przełącznik na biurku. Zabłyśnął ekran, ukazując trzech mężczyzn. Byli to psychotechnicy, którzy obserwowali Clugy'ego na tyle dokładnie, na ile pozwalały liczne ultraczule przyrządy.

- No i co, panowie? - spytał. - Ja powiedziałbym, że jest czysty. Zgodzicie się ze mną?

Jeden z naukowców uśmiechnął się i odparł:

- Clugy znany jest z takich wybuchów złości. Jestem gotów postawić na niego.

- Wątpię, bym jeszcze zdołał go przekonać do zmiany decyzji - zauważył Jamieson. - Ale jeżeli tak, to miejmy nadzieję, że zdąży wylecieć na Mirę, zanim rulle go sobie podporządkują.

To stanowiło jeden z największych problemów ludzi. Nigdy nie można było mieć pewności, a już zwłaszcza nie tutaj, na ich rodzinnej planecie. Nigdzie, w żadnym sektorze Galaktyki kontrolowanej przez człowieka, działalność szpiegowska rulli nie była tak intensywna jak właśnie mi Ziemi, mimo bardzo dobrze pracujących służb kontrwywiadowczych. Przyczyn takiej sytuacji należało szukać w czasach odległych o wiek, kiedy to pierwsza niszczycielska armada rulli wyłoniła się z czarnej chmury, która działała jak zasłona dymna, zaciemniając jeden z obszarów Galaktyki.

Zanim ludzie zdążyli zmobilizować swoje floty w wystarczającej sile, by powstrzymać pochód wroga i kontratakować, utracili co najmniej setkę układów słonecznych. Przez kilka lat gigantyczny front był mniej lub bardziej stabilny. Jednak zimną, bezlitosną zawziętość rulli powstrzymywał jedynie heroizm radzi, a lepiej rozwinięta i starsza nauka wroga kompensowana była tylko niezrównaną kreatywnością ludzkiego umysłu, dodatkowo jeszcze stymulowanego niebezpieczeństwem.

Potem jednak rulle zaczęli zdobywać pole, podczas gdy ludzie ponosili klęskę za klęską głównie dlatego, że wróg zawczasu znał ich najważniejsze plany wojskowe i strategie. Mogło to się tłumaczyć jedynie tym, że dysponuje informacjami dostarczonymi przez szpiegów.

Nikomu nie przyszło do głowy podejrzewać, że mile potrafią modyfikować widmo świetlne za pomocą komórek swojego organizmu. Tak było aż do dnia, gdy pewien „człowiek” został zabity w trakcie ucieczki po tym, jak przyłapano go na grzebaniu w ściśle tajnych dokumentach Rady Naukowej. Kiedy ta ludzka atrapa rozplynęła się i przybrała kształt robaka wyposażonego w liczne siatkowe wyrostki, ludzie mogli po raz pierwszy zobaczyć, jak naprawdę wygląda ich śmiertelny wróg.

Już po paru godzinach wojskowe pojazdy naziemne i samoloty przeczesywały każde miasto i każdą drogę tysiąca planet. Mieszkańcom kazano wychodzić z domów i radarem sprawdzano ich rzeczywisty wygląd.

Tylko na Ziemi od razu wykryto i rozstrzelano co najmniej sto tysięcy szpiegów. Od tamtego czasu poszukiwania trwały nieustannie, jednak mile wkrótce potem opracowali urządzenie umożliwiające oszukiwanie prawie wszystkich radarów prócz najbardziej skomplikowanych.

I tak, dziesięciolecie po dziesięcioleciu, mile zyskiwali coraz większą przewagę, Byli formą życia krzemowo-fluorową, bardzo odporną, prawie niewrażliwą na chemikalia i bakterie trapiące ludzi. Najpilniejszym zadaniem człowieka stało się wykrycie we własnej galaktyce organizmu, który umożliwiłby stworzenie broni biologicznej.

I właśnie potomstwo zwierząt limfatycznych odznaczało się potrzebnymi właściwościami. Nawet Ira Clugy został wprowadzony w błąd co do rzeczywistego wykorzystania tych zwierząt. Powiedziano mu, że zostaną zastosowane w systemach regeneracji powietrza w wielkich okrętach bojowych. Wtajemniczeni mieli nadzieję, że rulle również przyjęli to fałszywe założenie.

W rozmyślania Jamiesona wdarł się brzęczyk interkomu. Przeprosił psychotechników, nacisnął przełącznik i na ekranie pojawiła się twarz jego sekretarki.

- Dzwoni pan Kaleb Carson - oznajmiła.

- Proszę łączyć - polecił Jamieson.

Sekretarka skinęła głową i zamiast niej na ekranie pojawił się młody ciemnowłosy mężczyzna o poważnej, inteligentnej twarzy. Kaleb Carson był wnukiem odkrywcy planety ezwali i wybitnym znawcą tego prymitywnego świata.

- Jestem gotowy - zawiadomił.

- Już idę - powiedział szybko Jamieson, bo niecierpliwie czekał na tę wiadomość. Poinformował jeszcze sekretarkę, że wybiera się do Centrum Naukowego. - Jeżeli nadejdzie raport w sprawie Iry Clugy'ego, proszę mi go tam przesłać - dokończył.

- Dobrze, proszę pana.

Wychodząc z gabinetu, Jamieson jeszcze raz pogratulował sobie, że edukację młodego ezwala powierzył wnukowi odkrywcy planety. Jemu na pewno zależało na doprowadzeniu do pokojowego współżycia między ludźmi a ezwalami.

Pojechał windą do hangaru, w którym zaparkował swój samolot. Przed bramą stało dwóch uzbrojonych strażników. Uprzejmie mu zaszalutowali, a potem zrewidowali go starannie i sprawdzili jego tożsamość. Jamieson cierpliwie poddał się ręcznemu badaniu, bo był to najpewniejszy sposób zidentyfikowania agentów raili, a rządowe biura znajdujące się w tym budynku kryły wiele poufnych dokumentów.

Samolot stał zaraz przy drzwiach hangaru. Gdy Jamieson do niego podszedł, jego wzrok padł na niezwykłą siatkę linii rozmieszczoną na silikonowym tworzywie podłogi.

Zamrugnął i potrząsnął głową. Poczul się dziwnie, ogarnęła go fala gorąca. Zacisnął mocno oczy, ale obraz siatki pozostał pod powiekami, zupełnie jakby wzór w sposób naturalny pasował do połączeń nerwowych w mózgu.

Zanim zdążył się zdziwić, co się z nim dzieje, już był w samolocie, startował i kierował się do oddalonego budynku.

Gdy lądował na jego dachu, ciągle jeszcze czuł się nieswojo. Nadal, zastanawiając się, co mu się przytrafiło, oszołomiony i niespokojny, wysiadł i zaczekał, aż parkingowy przyniesie mu bilet. Gdy dozorca parkingowy podszedł, Jamieson zobaczył, że to ktoś nowy. Nigdy przedtem go nie widział. Rozejrzał się i wtedy stwierdził coś zdumiewającego: to nie był budynek Centrum Naukowego! Mało tego, nie zauważył najmniejszego podobieństwa z dobrze sobie znanym biurowcem. Odwrócił się do parkingowego, by wytłumaczyć, że pomylił adresy, i zastygł w miejscu... Ten człowiek nie podawał mu biletu. Trzymał w ręku lśniącą broń. Jamieson poczuł na twarzy strumień zimnego gazu i zaczął

się dusić. Potem zapadł w ciemność.

Pierwszym wrażeniem, jakie dotarło do jego świadomości, był ciężki, kwaśny zapach rozkładającej się roślinności, jednocześnie znany i obcy. Nie poruszył się, nie otworzył oczu. Starał się oddychać powoli i głęboko, jak śpiący człowiek. Leżał na czymś w rodzaju połowego łóżka, zapadniętego pośrodku, ale dość wygodnego. Gdy już zupełnie oprzytomniał, zaczął się zastanawiać nad tym, co mu się przydarzyło. Czyżby padł ofiarą rulli? A może chodzi o jakąś osobistą zemstę? Jako naukowiec i szef Międzygwiazdnej Komisji Wojskowej narobił sobie swego czasu wielu niebezpiecznych wrogów, zarówno na Ziemi, jak i na innych planetach. Ira Clugy? - to nazwisko przyszło mu do głowy od razu. Ale czy Clugy porywałby wysokiego urzędnika jedynie po to, by zmusić go do zmiany decyzji? To się wydawało mało prawdopodobne. Jamieson przypomniał sobie sieć linii, która przyciągnęła jego uwagę. Nowy sposób kontrolowania umysłów? W chwili, gdy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że budowanie takich hipotez do niczego go nie doprowadzi.

Otworzył oczy. Przez gęste liście zobaczył rozświetlone, niebieskozielone niebo. Nagle poczuł, że okropnie się poci i że upał jest wprost nie do wytrzymania. Wokół rozbrzmiewały odgłosy pracujących maszyn. Usiadł, postawił nogi na ziemi i wstał. Zobaczył, że ma na sobie coś w rodzaju bardzo delikatnej kolczugi, która okrywała go od stóp do głów. Takich ubiorów ochronnych używano na prymitywnych planetach, kipiących od najrozmaitszych wrogich form życia. Łóżko stało na skraju obszaru, który właśnie oczyszczano z roślinności przy użyciu walców, buldożerów i co najmniej dwudziestu wielkich maszyn do równania gruntu. Z prawej strony, obok już postawionych, budowano kolejne plastikowe baraki. Jeżeli znalazł się na Mirze 23, to znaczy, że brygady Clugy'ego musiały się zabrać do pracy już jakiś czas temu.

Teraz był przekonany, że to Clugy go tu przewiózł. Nie widział innego wyjaśnienia. I, na Boga, lepiej niech Clugy znajdzie coś na swoją obronę.

Idąc do baraków, zauważył, że swój zielony odcień niebo zawdzięcza ekranowi energetycznemu. Zorientował się w tym po leciutkim zamgleniu konturów koron drzew. Ta obserwacja położyła kres jego niepewności; wiedział, że efekt zieleni powodowany jest faktem, że ekran absorbuje najniższe częstotliwości widma światła widzialnego wysyłanego przez ogromne słońce, które teraz znajdowało się w zenicie. To Mira, piękny czerwony gigant!

Dwa razy mijały go z warkotem maszyny rozpylające środki owadobójcze i musiał usuwać się na miękkie pobocze. W pierwszym stadium działania te insektycydy były równie groźne dla ludzi, jak dla owadów. Na przekopanej ziemi lśniły drgające ciała długich robaków; były to osławione czerwone pluskwy mirańskie, które duszą swoje ofiary, porażając je elektrycznością. Oprócz nich Jamieson widział także jakieś inne stworzenia, których nie rozpoznał. Doszedł do baraków. Na jednym z nich widniała tablica z napisem:

MERIDAN SALYAGE CO.
IRA CLUGY
NACZELNY INŻYNIER

Gdy wszedł, zobaczył młodego, najwyżej dwudziestoletniego mężczyznę; siedział przy biurku i wydawał się bardzo z siebie zadowolony. Jamieson był spocony i zmęczony, wieje taki widok go rozżościł.

- Gdzie jest Ira Clugy? - spytał, darując sobie wszelkie uprzejmości.

Młodzieniec spojrział na niego obojętnie.

- Kim pan jest? Nie pamiętam, bym pana już tu kiedyś widział.

- Nazywam się Trevor Jamieson. Czy to panu coś mówi?

- Nazwisko, owszem - odparł tamten spokojnie. - Tak nazywa się wysoki urzędnik z Komisji Wojskowej, kierujący tym projektem. Ale pan nie może nim być. Taki człowiek nie fatygowałby się w teren.

- A pan zapewne jest Peterem Clugym - powiedział Jamieson, nie zwracając uwagi na obraźliwe słowa młodzieńca.

- Skąd pan *to* może wiedzieć? Nawet jeżeli pan zna moje nazwisko, nie świadczy to jeszcze, że jest pan osobą, za którą się pan podaje. Poza tym jak się pan tu dostał? Od pięciu dni nie przyleciał na planetę żaden statek.

- Od pięciu dni? - powtórzył za nim Jamieson.

Młodzieniec potwierdził skinieniem głowy.

Pięć dni, pomyślał Jamieson. A lot z Ziemi trwa co najmniej siedem albo osiem. Czy Ira Clugy mógł trzymać go nieprzytomnego w jakimś zamknięciu bez wiedzy bratanka?

- Gdzie jest pana stryj? - spytał jeszcze raz.

- Chyba nie powinienem tego panu mówić, póki nie dowiem się, kim pan naprawdę jest i jak pan się tu dostał - odparł Peter Clugy. - Ale zadzwonię do niego.

Wziął aparat i nacisnął jeden z klawiszy na swoim biurku. Chwilę później, gdy już przekazał wiadomość i podał rysopis Jamiesona, rozległy się okrzyki zdumienia.

^-Wzrost powyżej średniego-mówił Peter-gęste jasne włosy z rudym odcieniem, opadające na czoło, oczy bardzo ciemne, czoło szerokie, wydatne rysy... - Przerwał i chwilę słuchał rozmówcy. - Doskonale, ale na wszelki wypadek weź ze sobą dwóch czy trzech ludzi.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Jamiesona:

- Stryj mówi, że, sądząc po moim opisie, mógłby pan być osobą, za którą się podaje, albo raiłem, który przybrał postać Jamiesona.

Jamieson uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Mogę przynajmniej panu udowodnić, że nie jestem raiłem. Uściśnijmy sobie rękę.

Peter Clugy poruszył się lekko, na tyle tylko, by odsłonić mały, lecz śmiertelny pistolet.

- Proszę się nie zbliżać - powiedział spokojnie. - Sprawdźmy to, gdy przyjdzie stryj.

Jamieson spojrzał na niego, wzruszył ramionami, odwrócił się nonszalancko i ruszył do drzwi.

- Niech pan tu wróci - rozkazał szorstko młody Clugy. - Proszę usiąść tak, żebym mógł pana zobaczyć.

Jamieson nie zastosował się do polecenia i został na progu, przyglądając się niezwykleму krajobrazowi. Idąc do baraku, był zbyt przejęty własnymi sprawami, by zauważyć panoramę rozciągającą się poniżej obozu. To musiało być miejsce zaproponowane przez inżyniera Clugy'ego podczas ich rozmowy na Ziemi. Wzgórze miało jakieś trzysta metrów wysokości, ale nie było specjalnie strome. Teraz, gdy usunięto z niego większość roślinności, przed oczami miało się wspaniały widok wielkich lasów, ciągnących się aż do ledwo widocznych na horyzoncie gór.

Jamieson widział rzeki migoczące w słońcu, jaskrawe kolory obcych drzew i odżywało w nim dawne, lecz silne uczucie egzaltacji, gdy wyobrażał sobie wszechświat bajecznych planet i pięknych słońc, takich jak Mira świecąca mu nad głową.

Widok trzech uzbrojonych mężczyzn idących w stronę baraku wyrwał go z tych rozmyślań i przypomniał o bieżących kłopotach. Przodem podążał Ira Clugy. Gdy znalazł się dość blisko, by rozróżnić rysy Jamiesona, jego twarz przybrała wyraz niebotycznego zdumienia.

Nie odezwał się, póki strażnicy nie zbadali Jamiesona i nie przekonali się, że naprawdę jest

człowiekiem. Dopiero wtedy powiedział:

- Panie Jamieson, jeszcze jedna sprawa. Nie nalegałbym, gdyby nie niezwykle sposób, w jaki się pan tu znalazł. - Clugy wziął pióro z biurka i podał je Jamiesonowi. - Proszę się tu podpisać - wskazał notatnik - żebym mógł porównać pana podpis z tym, który mam w swoich dokumentach.

Gdy to sprawdził, powiedział:

- No, dobrze. Teraz chciałbym postawić panu tylko jedno pytanie: skąd pan się tu wziął?

- Może mi pan wierzyć albo nie - odparł Jamieson z sardonicznym uśmiechem - ale przyszedłem tu po to, by zadać panu to samo pytanie.

Nic by nie osiągnął, ukrywając cokolwiek, więc opowiedział Clugy'emu wszystko, co mu się wydarzyło od chwili, gdy wyszedł ze swojego gabinetu w Solar City aż do znalezienia się na tej planecie. Nie ukrywał nawet, że żywi podejrzenia co do samego Clugy'ego.

- Kiepsko mnie pan zna - odpowiedział Clugy z ironią. - Chętnie bym pana znokautował wtedy w pańskim gabinecie, ale porwanie to nie w moim stylu.

Potem zdał sprawozdanie z tego, co się działo, gdy w gniewie opuścił gabinet Jamiesona. Poszedł prosto do Klubu Kosmonautów i stamtąd przez radio przekazał swoim ludziom na Mirze 23 rozkaz, by wszystko spakowali i wracali na Ziemię. Właśnie zamierzał przy barze klubu utopić złość w alkoholu, gdy przyszedł agent rządowy i wytłumaczył mu, dlaczego rozmowa z Jamiesonem musiała mieć taki nieprzyjemny przebieg. Ułagodzony Clugy odwołał rozkaz, jaki wydał swojej załodze. Następnego dnia rano podpisał kontrakt i zaczął załadunek ludzi i wyposażenia na jeden ze swoich statków. Dwa dni później leciał już na Mirę 23.

- Może pan połączyć się z Ziemią i uzyskać potwierdzenie tego, co panu powiedziałem - zakończył Clugy swoje opowiadanie.

- I tak muszę się połączyć z Ziemią - odparł Jamieson. - Oczywiście poproszę o potwierdzenie pańskiej historii, chociaż wydaje mi się prawdziwa. Jednak o wiele ważniejsze jest, by jak najszybciej przyleciał tu krążownik. To, co mnie spotkało, to nie przypadek, i cała sprawa jeszcze się nie skończyła.

Znajdującą się niedaleko radiostację łatwo było rozpoznać po stożku pierścieni tworzących podprzestrzenną antenę. Ody weszli, operator spojrział na nich znad tablicy kontrolnej. Na jego twarzy malowało się zmartwienie.

- Pan Clugy! Właśnie miałem pana wołać, bo kondensator McLaurina znów się przepalił.

Clugy rzucił mu ostre spojrzenie.

- Landers, chyba będę musiał pana zaaresztować. Te słowa wprawiły młodego operatora w osłupienie. Jamieson również zdziwił się i dał temu głośno wyraz.

- Doktorze Jamieson - wyjaśnił Clugy - to już trzeci kondensator. .. i ostatni, jaki mieliśmy. Następny statek z dostawami przyleci dopiero za sześć dni. Do tego czasu pozostaniemy bez radia.

To była rzeczywiście katastrofa i aresztowanie operatora wydawało się usprawiedliwione. Jamieson błyskawicznie przeanalizował sytuację. W radiostacji znajdowali się we czterech: obaj Clugy'owie, operator i on sam. Mogli rozmawiać swobodnie, bo wycie maszyn na dworze uniemożliwiałoby jakikolwiek podsłuch.

Peter Clugy przerwał tok jego myśli, kładąc pistolet na stole.

- Niech pan trzyma go na muszce, a ja przeprowadzę sprawdzian - powiedział.

Jamieson chwycił broń. Czuł prawdziwą ulgą, mając ją w ręku. Cofnął się i wskazał gestem młodemu Clugy'emu, by podszedł. Ira Clugy również wyjął pistolet z kabury. Uważnie obserwowali, jak operator wyciąga rękę. Peter Clugy mocno ją ścisnął i odwrócił się do Jamiesona.

- To człowiek, proszę pana - powiedział i napięcie w stacji radiowej opadło.

- Gdzie jest najbliższy nadajnik? - spytał Jamieson.

- W obozie przy kopalni uranu, tysiąc pięćset kilometrów na południe stąd - odparł Clugy. - Może pan tom zaraz polecieć jednym z naszych samolotów. Sam zresztą pana zawiozę.

- Polecę z wami - oświadczył młody Clugy i skierował się ku grupie małych maszyn, ustawionych jedna obok drugiej na odartym z roślin miejscu.

Kilka minut później byli już w powietrzu. Trzysta metrów niżej gęsty las, lśniący zielenią zupełnie jak nawoskowany, szybko uciekał na północ. Pilotował Peter Clugy.

Ira Clugy w milczeniu wyglądał przez okno. Jamieson nie miał mu za złe tej niechęci do rozmowy. Sam chciał skorzystać z okazji i uporządkować myśli.

Rulle, mówił sobie, za wszelką cenę chcą opóźnić, a jeszcze lepiej uniemożliwić ludziom pozyskiwanie limfy. I o to zapewne chodzi w całej tej sytuacji. Ale dlaczego zadali sobie trud porwania go przy użyciu dziwnej siatki linii kontrolujących umysł i sprowadzenia go tutaj, najprawdopodobniej na jednym ze swoich okrętów? Zadrzał na myśl, że był ich więźniem podczas całej długiej drogi przez kosmos.

Dlaczego mnie nie zabili, skoro mieli okazję? - zastanawiał się. Widział tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Zabicie administratora nie utrudniłoby w dostatecznym stopniu realizacji projektu, bo człowieka można łatwo zastąpić. Musieli mieć lepszy plan - a Clugy bez wątpienia grał w nim jakąś rolę - obliczony na całkowite wstrzymanie prac, przynajmniej przez jakiś czas.

Najwyraźniej plan ten wymagał, by wiedziano o obecności Jamiesona na tej planecie. To było dosyć proste. Jedyne, co musieli zrobić, to umieścić go w obozie, prawdopodobnie przed świtem, a on sam już w sposób naturalny zająłby się resztą.

Jamieson nagle poczuł się niepewnie. Postąpił inaczej, i to też było całkiem naturalne, a na dodatek łatwe do przewidzenia. Czy mogło być coś bardziej naturalnego niż to, że teraz razem z Iram Clugym znajdują się w tym niewielkim samolocie i przemierzają tysiąc pięćset kilometrów pustkowi, by dostać się do najbliższej stacji radia podprzestrzennego, skoro radio w obozie nie nadaje się do użytku? Tak, to właśnie przewidzieli rulle. Któryś z ich agentów bez trudu dokonał sabotażu w stacji radiowej obozu, ale nic nie wiedział o krążowniku, który patroluje obszary ponad atmosferą.

Jamieson zerwał się na nogi. Natychmiast musi skontaktować się z obozem przy kopalni uranu, bo potem może być za późno.

Właśnie w tej chwili, zerkając na horyzont, zobaczył drugi samolot, który się do nich zbliżał. Mimo że spodziewał się tego, zadrzał z niepokoju. Ta maszyna była większa i szybsza niż ich własna i z pewnością uzbrojona. Z taką prędkością dotrze ta za kilka minut.

Jamieson szybko odwrócił się do radia i zastygł. Peter Clugy stał przed nim z obojętną miną, ale w ręku trzymał ten sam mały pistolecik, którym groził mu już wcześniej. Pistolet był wymierzony w pierś Jamiesona.

Ira Clugy, zdumiony, wybuchnął:

- Peter, ty głupcze! Co się z tobą dzieje? Wstał i zaczął podchodzić do bratanka. Lufo przesunęła się w jego stronę.

- Oddaj mi to!

Jamieson wyciągnął rękę, by go powstrzymać,

- Mam tylko nadzieję, że nie zabili pańskiego bratanka - powiedział, usiłując zachować spokój. - To nie jest Peter Clugy. To w ogóle nie jest człowiek.

W umyśle Jamiesona wszystkie czyści układanki znalazły się aa swoich miejscach. Peter Clugy nie chciał podać mu teki pod pretekstem, że to on, Jamieson, może być rulle. I pierwsze wrażenie w chwili spotkania z Peterem Clugym: jego świeży wygląd i dobre samopoczucie w tym gorącym, wilgotnym klimacie. A ponieważ to Peter Clugy ustalił za pomocą uścisku ręki, że operator radia jest człowiekiem, operator w rzeczywistości musiał być... rulle.

Jamieson uważnie przyjrzał się młodemu mężczyźnie. Nie znalazł żadnej widocznej oznaki pozwalającej się domyślać, że ma przed sobą imitację człowieka. Fałszerstwo było perfekcyjne. Żelazną zasadą raili było, by imitacja nigdy nie wracała do prawdziwego wyglądu w obecności ludzi. Jamieson mógł jedynie temu przyklasnąć, bo widok robakokształtych ciał z wieloma wyrostkami zawsze przyprawiał go o mdłości.

Ira Clugy otrząsnął się już z oszołomienia. Rzucił wściekle spojrzenie na mila i runął na niego z zaciśniętymi pięściami.

- Co zrobiliście mojemu bratankowi? - krzyknął. Jamieson powstrzymał go siłą.

- Ostrożnie, przyjacielu. On nie potrzebuje nawet pistoletu, by zabijać. Może nas spopielić emisją energii, jaką potrafią generować komórki jego ciała.

Rull nie odezwał się. Wyciągnął to, co wyglądało jak ludzka ręka, w kierunku tablicy kontrolnej i nacisnął jakiś klawisz. Samolot zaczął pikować w las.

Jamieson spojrział przez okno i zobaczył, że druga maszyna zbliża się do nich i także zniża lot. Chwilę później słyszeli już trzask krzaków pod podwoziem. Drugi samolot jednak nie wylądował; szybował jakieś dziesięć metrów dalej na bardzo niewielkiej wysokości. Najwidoczniej silniki zostały wyregulowane na ciąg równoważący tylko jego ciężar.

Czy chodziło o to, by nie zostawiał śladu swojej obecności? Z drugiego samolotu wysiadły dwie istoty o ludzkim wyglądzie. Podchodziły do maszyny Jamiesona, nie zwracając najmniejszej uwagi na ziemię pod nogami. Jamieson patrzył na to ze zdumieniem. Przecież znajdowali się w Zielonej Puszczy, w której aż roiło się od młodych zwierząt limfatycznych.

Może jednak rulle nie wiedzieli, jaki jest prawdziwy cel projektu realizowanego przez Irę Clugy'ego i po prostu prowadzili banalną operację wywiadowczą tylko po to, by utrudnić ludziom życie? W swojej ignorancji mogli nie rozróżniać dorosłych zwierząt limfatycznych od ich potomstwa i nie wiedzieć, że dorosłe są nieszkodliwe, podczas gdy młode atakują wszystko, co się rusza. Jeżeli cel nieruchomiał, zanim go dopadły, natychmiast traciły zainteresowanie. A rzucały się na wszystko bez wyboru: liście czy gałązki drzew poruszane wiatrem, nawet na płynącą wodę. Miliony małych wężowatych stworzonek umierały w tych bezsensownych atakach na nieruchome przedmioty, które przypadkowo się ruszyły, ale wielu udawało się przetrwać dwa pierwsze miesiące życia i przybrać dorosłą postać.

Przy tworzeniu zwierząt limfatycznych przyroda zdobyła się na jedno z tych nadzwyczajnych osiągnięć, które umożliwiają zachowanie gatunku mimo niesprzyjających warunków. Dorosła postać zwierzęcia limfatycznego była czymś w rodzaju twardej jak żelazo muszli w kształcie ula, niezdolnej do ruchu. W Zielonej Puszczy niemal na każdym kroku napotykało się takie struktury. Były wszędzie: na ziemi i na drzewach, na zboczach wzgórz i w dolinach, wszędzie tam, gdzie młode zastała godzina metamorfozy. Końcowy etap był krótki, lecz płodny. „Ul” żywił się wyłącznie tym, co zmagazynował w stadium robakopodobnej larwy. Był dwupłciowy i spędzał swój niedługi okres życia w stanie nieustannej prokreacji. Młode nie były wypędzane z ula, lecz rozwijały się w nim i szybko zabierały do pożerania rodziców. To zatrzymywało proces prokreacji, ale wtedy potomstwo było już liczne.

Zjadały się również nawzajem. Jednak w miarę jak muszla stawała się coraz bardziej miękka i rozpadała się pod wpływem wydzielin młodych, pewna ich część wydostawała się do względnie bezpiecznego lasu.

Fałszywy Peter Clugy przerwał tok myśli Jamiesona, kiedy otworzył drzwi samolotu i wskazał je pistoletem.

- Wy dwaj! Wysiadać!

Niepewnie podążyli za nim. Na dworze czekali obaj rulle z drogiego samolotu. Panował straszliwy upał. Na Ziemi w podobnym klimacie, gorącym i suchym, rośliny dawno by zrudziały i uschły, ale tutaj lśniąca zieleń trawy na polanie i liści na drzewach wyglądała prawie jak sztuczna.

Trzej rulle utracili częściowo swój ludzki wygląd.

- Rozmawiają- szeptem wyjaśnił Jamieson Clugy'emu. -Wydaje się, że gdy porozumiewają się za pomocą fal świetlnych, trudno im jest zachować idealną ludzką postać.

Fałszywy Peter Clugy odwrócił się gwałtownie do Iry.

- Możesz iść - powiedział, wskazując ręką samolot.

- Pozwalasz mi odejść? - zdumiał się Ira Clugy.

- Tak. Wsiadaj do swojej maszyny i leć do obozu albo gdzie chcesz. Ale nie wracaj tu dzisiaj.

Jamiesona ten rozkaz zaskoczył, tak samo jak Clugy'ego, który jednak zaraz się otrząsnął.

- Nic z tego - powiedział twardo. - Jeżeli pan Jamieson ma tu zostać, ja też zostanę.

Fałszywy Peter Clugy zawahał się.

- Ale dlaczego? - spytał. - Wiemy, że nie lubisz tego człowieka.

- Może i kiedyś tak było, ale... - Ira zamilkł. Twarz wykrzywiła mu się ze złości, bo dotarło do niego znaczenie uwagi rulla. - A więc o tym też wiecie! Czyli mój bratanek już nie żył, kiedy zająłeś jego miejsce... tam, na Ziemi!

Jamieson przytrzymał za ramię Clugy'ego, który już się rzucał na rulla.

- Pański bratanek żyje - powiedział rull. - Jest... tutaj.

Podszedł do samolotu i otworzył drzwi tylnego przedziału. W środku zobaczyli osobę wyglądającą dokładnie tak samo jak on.

- Odzyska przytomność za kilka godzin - wyjaśnił rull. -Okazał się wyjątkowo odporny na gaz usypiający, ale wyzdrowieje. Zająłem jego miejsce dopiero dziś rano, w obozie. Nie musiałem robić tego wcześniej, bo i tak bez trudu dowiedzieliśmy się wszystkiego, co nam było potrzebne.

Jamieson uwierzył mu. ba Clugy na pewno nie krył się ze swoimi uczuciami po rozmowie z nim, gdy poszedł do Klubu Kosmonautów. W dodatku wszystkich, którzy wyruszali na Mirę, starannie sprawdzono przed startem, by upewnić się, czy rzeczywiście są ludźmi.

Rull naradzał się z kolegami. Chyba nie przewidzieli oporu Clugy'ego.

W chwili, gdy Jamieson gorączkowo usiłował przepięć zamiary rulli, jego uwagę zwrócił jakiś ruch w trawie. Działo się to w sporej odległości, więc widział tylko falujące cienie. Ale i tak przeszył go dreszcz przerażenia, bo przypomniawszy sobie o milionach młodych zwierząt limfatycznych, żyjących w tym ciemnym lesie.

Krótką naradą dobiegła końca i fałszywy Peter Clugy zwrócił się do Iry:

-Nie musisz sam pilotować. Polecę z tobą i zostawię cię z samolotem niedaleko obozu. A teraz wsiadaj.

- A co zrobicie z panem Jamiesonem? - spytał Ira przez zaciśnięte zęby.

- Zostawimy go tutaj - odparł mil. - Za godzinę zapadnie noc. Umrze, zanim zdążysz po niego wrócić.

Jamieson zastanowił się nad tymi słowami. Administrator ma umrzeć, a naczelny inżynier zostaje

uwolniony. Dlaczego? Nagle zrozumiał. Oczywiście! Ludzie będą pamiętali o wściekłych wyrzekaniach Clugy'ego i o tym, jak zapowiadał, że wyśle administratora w piekło Miry. Bez wątpienia zostanie posądzony o morderstwo, a wtedy dostawy limfy znacznie się opóźnią.

Była to śmiała intryga, ale przecież dość prosta. Jamieson uzyskał pewność, że mile nie znają prawdziwego celu projektu, który zamierzali powstrzymać.

Wywiad rulli zapewne dowiedział się, że ludzie podjęli pracę na Mirze 23, i wyznaczył kilku agentów, żeby się tym zajęli. Ale agenci, nie dysponując pełną informacją, działali według typowego dla rulli planu i z typową dla rulli brawurą.

Jamieson zerknął w kierunku, w którym przedtem zauważył poruszenie wśród traw. Teraz już trawa falowała znacznie bliżej; mogło to być spowodowane jedynie przez młode zwierzęta limfatyczne. Ich nieregularny szereg znajdował się zaledwie o kilkanaście metrów. Jamiesonowi mignął szary, cętkowany, wijący się kształt. Za kilka minut zostaną otoczeni.

Nie czekał ani chwili dłużej. Musiał przyjąć, że jego analiza dotycząca planu rulli jest poprawna i że dobrze zna ich sposób postępowania. W dwóch wielkich susach znalazł się obok Iry Clugy'ego.

- Proszę wsiąść do samolotu - powiedział stanowczo. - Nie ma powodu, byśmy obaj mieli umierać. -I dodał szeptem: - Otaczają nas młode zwierzęta limfatyczne. Uratuję się, stojąc nieruchomo. Niech pan ucieka!

Popchnął Clugy'ego do drzwi maszyny. Ten sekundę się zawahał, a potem wskoczył na pokład i wystartował, nie czekając na rulli.

Kiedy tylko samolot znalazł się w powietrzu, Jamieson pobiegł na skraj lasu. Nie zabiją mnie, mówił sobie. To by im popsuło szyki. Gdybym mógł jakoś odwrócić ich uwagę jeszcze przez kilka sekund...

Zanim zdążył zastanowić się, jak to zrobić, usłyszał jakiś trzask w powietrzu i zdrętwiał. Wydało mu się, że wszystkie nerwy zaciskają mu się w węzeł; całkowicie bezwładny, padł jak powalone drzewo, waląc lewym ramieniem w ziemię.

Nie stracił przytomności, ale minęła dobra chwila, zanim w głowie mu się przejaśniło na tyle, by mógł sobie uświadomić, że stało się to, na co liczył. Któryś rull postrzelił go z paralizatora. Zastanawiał się, czy, padając, złamał jakąś kość, ale teraz nie mógł tego sprawdzić. W lewym barku i ramieniu w ogóle nie miał czucia, zresztą to samo odnosiło się do całego ciała. Przeszyła go przerażająca myśl: a jeżeli jedno ze zwierząt limfatycznych zaatakowało go w momencie, gdy padał na ziemię i teraz już pożera jego wnętrzności? Jediną wskazówką, że tak się stało, byłaby utrata przytomności od upływu krwi.

Te ponure rozmyślenia przerwała oślepiająca błyskawica, po której szybko nastąpiło wiele innych. Ich źródło znajdowało się poza polem widzenia Jamiesona, ale potrafił odgadnąć, co się wydarzyło.

Mijały minuty. Błyskawice bladły i tylko od czasu do czasu widać było lekką poświatę. Jamieson poczuł zapach ozonu. Oczy go piekły, ale nie mógł ich zamknąć.

Chwilę później oddałby wszystko, byle tylko móc zacisnąć powieki, bo nagle zobaczył małą, wyjątkowo obrzydliwą główkę, która przybliżała się do jego twarzy, aż wreszcie zatrzymała się o kilka centymetrów od brody. To było jedno z młodych zwierząt limfatycznych. Chociaż Jamieson tego nie czuł, sądząc z położenia główki, domyślał się, że zwierzę pełźnie po jego ciele.

Okropne stworzenie znikło wreszcie z pola widzenia, ale w umyśle Jamiesona pozostało niezatarte wrażenie licznych lśniących oczek wielkości łebka od szpilki, a także pyska w kształcie bańki, żółtej i obrzeżonej koncentrycznymi rzędami zębów spiczastych jak kolce.

Minuty ciągnęły się jak wieczność. Może te małe potwory już odeszły? Nagle poczuł, że ziemia

usuwa mu się spod głowy i zrozumiał, że podnosi go ktoś stojący za nim. Sekundę potem wisiał przerzucony przez ramię Iry Clugy'ego.

Inżynier nie tracił czasu. Wylądował najbliżej jak się dało i już wpychał bezwładnego Jamiesona do samolotu.

Zanim drzwi się zamknęły, Jamieson zobaczył wszystkich trzech rulli. Leżeli w trawie, jakieś piętnaście metrów dalej. Pozory postaci ludzkich, jakie przybrali za życia, zniknęły. Odzyskali swój normalny wygląd grubych robaków z licznymi wypustkami. Tu i tam na ich ciemnych ciałach widać było lśniąco płomki świadczące o tym, że parę komórek kontrolujących światło jeszcze żyje. Ale rulle byli martwi. Młode zwierzęta limfatyczne miały dość czasu, by całkowicie skryć się w ciałach swoich ofiar.

Naprawdę? - spytał Jamieson z rozbawieniem. Wracał z bajecznej Miry 23 i właśnie rozmawiał z Ziemią przez radio.

- Chciał przybrać pana imię- wyjaśnił Kaleb Carson. - Potem, gdy Nauczyciel uznał, że prowadziłyby to do nieporozumień, kazał się nazwać Efraim.

Jamieson rozsiadł się wygodniej w fotelu zaprojektowanym tak, by izolować osoby rozmawiające za pomocą lampy McLaurina. Uśmiechnął się, rozmyślając nad tym, co usłyszał. A więc młody ezwał wybrał sobie imię.

To był prawdziwy ewenement. „Czym jest imię?” - pytał pewien poeta z dawnych czasów. „Róża byłaby różą, nawet gdyby nie miała imienia”. Ale poeta mylił się. Człowiek zdobywając kosmos, odkrył rasy, których członkowie nie nosili imion. A takie rasy nie mogły zostać „ucywilizowane”.

Tak jak wszyscy ludzie, wykształceni i patrzący na życie i wszechświat z galaktycznego punktu widzenia, Jamieson również wiedział, że od stu lat słowo „cywilizacja” miało tendencyjną wymowę: ucywilizowanie danej rasy mierzyło się wyłącznie tym, w jakim stopniu może się ona przyczynić do obrony przed milami.

Zresztą w obecnych warunkach tylko taka definicja była do przyjęcia.

- Efraim - powtórzył. - A nazwisko?

- Jamieson. Nauczyciel pozwolił mu na to.

- Doskonale. Tak więc mam nowego krewnego. Moja żona o tym wie?

- Tak. Telefonowałem do niej. Ale obawiam się, że zbyt niepokoi się pana zniknięciem, by w tej chwili mogła docenić ten zaszczyt

Jamieson rozmawiał już z Vedą i uspokoił ją, teraz więc mógł odpowiedzieć z lekkim sercem na tę uwagę. Pogawędził z Kalebem jeszcze jakiś czas; ich głosy przemierzały lata świetlne. Postanowili zbudować niewielkie urządzenie telepatyczne, wstrzykiwane w ciała ezwali, które nadawałoby jedno jedyne zdanie: „Mam na imię...”. Każde imię byłoby inne.

Miliony tych aparacików wysłano by możliwie jak najszybciej na Planetę Carsona. A tam statek, wyposażony w nadajnik fal zakłócających działanie mózgu, wystrzeliwałby je jak pociski do każdego spostrzeżonego ezwala.

Aparaciki byłyby wykonane z substancji, która po jakimś czasie rozpuściłaby się we krwi, jednak nie wcześniej, niż ezwał wiedziałby, że „ma na imię...”,

Jamieson nie wątpił, że gdyby stanął przed Zgromadzeniem Galaktycznym z Efraimem i aparatem telepatycznym, za pomocą którego można by rozróżnić każdego z osobna ezwala z Planety Carsona, Zgromadzenie natychmiast poleciłoby radzie wojskowej włączenie się do akcji.

W końcu, zadowolony, pożegnał się z Kalebem. Potem wezwał jeden z rządowych ośrodków naukowych i opowiedział neuropsychologowi o liniach wpływających na układ nerwowy, które go zahipnotyzowały. Opisał najlepiej, jak potrafił, ich wygląd, a potem wyjaśnił - swoim zdaniem wyjątkowo precyzyjnie - strukturę samych linii.

Gdy skończył rozmawiać, powiedział sobie, że przynajmniej nadał sprawie bieg.

Kilka dni później znów siedział w swoim gabinecie.

- Jest pan proszony do wideotelefonu - oznajmił operator z centrali.

Jamieson nacisnął klawisz swojego aparatu. Na ekranie pojawiła się zaniepokojona kobieta.

- Właśnie dzwonił do mnie Nauczyciel - powiedziała. - Dex wyszedł na poszukiwanie „dźwięku”.

- Ach, tak - skwitował Jamieson. Patrzył na kobietę z przyjemnością. Miała uroczą twarz, jasną cerę, regularne rysy, czarne, na ogół starannie uczesane włosy. Ale w tej chwili nie wyglądała tak jak

zwykle. Oczy miała podkrążone, a włosy trochę potargane. Małżeństwo i macierzyństwo wycisnęły głębokie piętno na twarzy jego pięknej żony.

- Vedo - powiedział stanowczo - nie denerwuj się tak.

- Ale on tam jest. A mówi się, że w tamtej dzielnicy aż się roi od szpiegów rulli. - Zadrzała, wymawiając nazwę wroga.

- Nauczyciel pozwolił mu iść, prawda? Czyli musiał uznać, że jest gotowy.

- Będzie całą noc poza domem!

- Kochanie, posłuchaj. To stanowi element procesu dojrzewania i wiedzieliśmy, że ta chwila nadchodzi, gdy w maju obchodził dziewiąte urodziny, r- Jamieson przerwał na chwilę, by zebrać myśli. - Może byś wyszła i pochodziła po sklepach? W ten sposób zapomnisz o tym na resztę popołudnia. Kup sobie wszystko, co ci się spodoba. - Jamieson nie wyznaczył nawet górnej granicy wydatków. - I nie martw się.

Szybko się rozłączył i wstał od biurka. Przez chwilę stał przy oknie, patrząc niewidzącym wzrokiem na Stocznię. Stąd nie mógł widzieć ani Wyrzutni, ani samego okrętu, bo znajdowały się z drugiej strony budynku. Ale na bajkowe ulice i domy patrzył z taką samą fascynacją jak zawsze. Stocznia była dzielnicą Solar City, a ta ogromna metropolia, w sztucznym tropikalnym *decorum*, nie miała sobie równych w całej Galaktyce. Budowle i parki ciągnęły się aż po horyzont.

Odwrócił wzrok od zamglonej dali i znów spojrzął na Stocznię. Powoli odszedł od okna. Gdzieś tam jego syn, dziewięcioletnie dziecko, poznawał świat „dźwięku”. Rozmyślanie nad tym - albo nad rullami - nie przyniesie nic dobrego ani jemu samemu, ani Vedzie.

Gdy zaczęła zapadać noc, Dexter Jamieson wiedział już, że „dźwięk” nie ma końca. Zastanawiał się nad tym przez całe życie i cieszył się, że tę zagadkę już rozwiązał. Mówiono mu, że „dźwięk” kończył się gdzieś „tam”. Ale dzisiejszego popołudnia dowiedział się, że obojętnie, jak daleko się pójdzie, „dźwięk” pozostanie. To, że rodzice skłamaczali mu w tej sprawie, nie niepokoiło Deksa. Nauczyciel twierdził, że rodzice czasami wygłaszają małe kłamstewka, by wystawić na próbę inteligencję lub pewność siebie swoich dzieci. Było to z całą pewnością jedno z tych nieszkodliwych kłamstw, a on udowodnił sobie, że rodzice rzeczywiście nie mówili mu prawdy.

Przez wszystkie te lata „dźwięk” był w jego sypialni, gdzie przebywał z Nauczycielem, a także w salonie, niezależnie od tego, czy Dex siedział cicho, czy też coś mówił. „Dźwięk” był także w pokoju stołowym, nadając pewien rytm odgłosom, jakie mama, tato i on sam wydawali przy jedzeniu, oczywiście w te dni, kiedy pozwalano mu siadać do stołu razem z rodzicami. W nocy „dźwięk” wślizgiwał się razem z nim do łóżka i Dex nawet w najgłębszym śnie czuł, jak rozbrzmiewa w jego głowie. Tak, to było coś znanego i uważał za całkiem naturalne, że chciał odkryć, czy kończy się na tej ulicy, czy następnej, czy na jeszcze kolejnej. Właściwie ile to już ulic przeszedł, idąc za „dźwiękiem”? Kierował się na wschód, zachód czy północ? Nie był już tego bardzo pewny. Ale wszędzie, gdzie szedł, „dźwięk” podążał za nim. Godzinę temu Dex zjadł kolację w małej restauracyjce. Teraz pójdzie poszukać miejsca, w którym „dźwięk” się zaczynę,

Dex stanął, aby zorientować się, dokąd zaszedł. Musiał ustalić swoje położenie w stosunku do Stoczni. Właśnie zastanawiał się nad tym, obliczając liczbę ulic między Piątą a Dziewiętnastą, H a R, a także Centrum a Prawą, gdy bezwiednie podniósł wzrok. W odległości jakichś trzydziestu metrów zobaczył mężczyznę, którego widział już przedtem, mniej więcej dziesięć minut temu.

Coś w ruchach tego człowieka obudziło w Dexterze dziwne, nieprzyjemne wspomnienie i wtedy po raz pierwszy zauważył, że niebo stało się zupełnie ciemne. Ruszył przez jezdnię, udając bez troskę, i ucieszył się, gdy sobie uświadomił, że tak naprawdę wcale się nie boi. Miał nadzieję, że ucieknie temu mężczyźnie i będzie mógł wrócić na Szóstą ulicę, bardziej ludną. Miał też nadzieję, że się myli,

biorąc tego mężczyznę za rulla.

Odwaga zaczęła go opuszczać, gdy drugi mężczyzna dogonił pierwszego i obaj przeszli przez jezdnię na jego stronę. Dex zwalczył chęć rzucenia się do ucieczki. A zwalczył ją dlatego, że jeżeli byli to rulle, to mogli biec o wiele szybciej niż człowiek. Natomiast ich ludzki wygląd spowodowany był jedynie iluzją, jaką wytwarzali dzięki swojej umiejętności modyfikowania fal świetlnych. Właśnie to sprawiło, że pierwszy z nich wzbudził jego podejrzenia. Sposób, w jaki poruszały się jego nogi przy chodzeniu, był niewłaściwy. Dex nie potrafił sobie nawet przypomnieć, ile razy Nauczyciel mówił o takiej możliwości, ale teraz, gdy to zobaczył na własne oczy, stwierdził, że wprost nie sposób tego nie zauważyć. Mówiono jednak, że za dnia rulle staranniej dbają o zachowanie iluzji.

-Mały!

Dex zatrzymał się i obejrzał na obcych, jakby dopiero teraz ich zauważył.

- Chłopcze, o tej porze nie powinieneś być poza domem.

- To moja noc poszukiwań, proszę pana - wyjaśnił grzecznie Dex.

Mężczyzna wsunął rękę do kieszeni na piersi. Był to dziwny gest, jakby niepełny, jakby stanowił jedynie iluzję ruchu bez przemyślenia całej jego kompleksowości. Albo może po prostu w ciemnościach rull nie przykładał się specjalnie do zachowania pozorów. Ody wyciągnął rękę z kieszeni, trzymał w niej błyszczącą odznakę.

- Jesteśmy agentami Stoczni - powiedział. - Zaprowadzimy cię do Wyrzutni.

Włożył odznakę z powrotem do kieszeni albo przynajmniej wydawało się, że to zrobił, i wskazał odległe światła.

Dex wiedział, że lepiej nie stawiać oporu.

Niedługo po kolacji do domu Jamiesona przyszli dwaj policjanci. Byli po cywilnemu, ale gdy tylko otworzył im drzwi, wiedział, kim są.

- Doktor Jamieson? - spytał jeden z nich.

-Tak.

- Trevor Jamieson?

Skinął głową na potwierdzenie i poczuł w sobie wielką pustkę.

- Pan jest ojcem Dextera Jamiesona, dziewięć lat?

- Tak - szepnął Jamieson.

- Zgodnie z prawem mamy obowiązek zawiadomić pana, że w tej chwili pański syn znajduje się pod kontrolą dwóch rulli i że przez kilka godzin jego życiu będzie groziło niebezpieczeństwo.

Jamieson milczał.

Policjant wyjaśnił, w jaki sposób rulle podporządkowali sobie Deksa.

- Zauważyliśmy - dodał - że od jakiegoś czasu rulle przybywają coraz liczniej do Solar City. Oczywiście nie potrafimy ich zlokalizować. Jak pan wie, szacujemy ich liczbę według tych, których zidentyfikujemy.

Jamieson wiedział o tym, ale nadal się nie odzywał. Policjant mówił dalej:

- Zapewne wie pan również, że bardziej nam zależy na wykryciu, o co w tej chwili chodzi agentom rulli, niż na złapaniu kilku z nich. Tak jak wszystkie ich akcje, które do tej pory poznaliśmy, również ta na pewno będzie bardzo skomplikowana. Wydaje się, że obecnie jesteśmy świadkami pierwszego etapu realizacji planu. Czy chciałby pan uzyskać jeszcze jakieś informacje?

Jamieson zawahał się. Veda była w kuchni i wkładała naczynia do zmywarki. Musiał pozbyć się policjantów, zanim ona się zorientuje, z czym tu przyszli. A jednak miał jedno pytanie.

- Jeżeli dobrze rozumiem, nie będziecie próbowali teraz ratować mojego syna?

Policjant spojrział mu w oczy.

- Pozwolimy dojrzeć sytuacji, dopóki nie uzyskamy danych, jakich potrzebujemy. Rozkazano mi powiedzieć panu, by nie żywił pan specjalnych nadziei. Jak pan wie, mile potrafią, w komórkach ciała koncentrować energię równą energii pistoletu i strzelać nią do człowieka. A wtedy śmierć nadchodzi bardzo szybko. -Zawiesił głos, po czym zakończył: - To wszystko, proszę pana. Może pan od czasu do czasu dzwonić do dowództwa służb bezpieczeństwa, by dowiadywać się o rozwój wypadków. Policja z własnej inicjatywy nie skontaktuje się z panem ponownie.

- Dziękuję - powiedział Jamieson machinalnie. Zamknął drzwi i powoli, sztywno jak automat wrócił do salonu. Veda zawołała z kuchni:

- Kochanie, kto to był? Jamieson wziął głęboki oddech.

- Ktoś szukał jakiegoś Jamiesona. Ale imię się nie zgadzało. - Powiedział to spokojnie, jakby nic się nie stało.

-Aha.

Veda nie wracała więcej do tej sprawy. Widocznie nie zauważyła, że dzieje się coś złego. Jamieson położył się koło dziesiątej. Leżał wyciągnięty na łóżku, w żołądku czuł nieokreślony ból. O pierwszej nad ranem jeszcze nie spał.

Dex wiedział, że nie wolno stawiać oporu. Nie mógł sobie pozwolić na najmniejszą próbę sprzeciwienia się ich planom, jakiegokolwiek one były. Nauczyciel wbijał mu to do głowy od lat. Żadne dziecko - twierdził Nauczyciel kategorycznie - nie może uważać, że wie dość, by oceniać niebezpieczeństwo jakie stanowi dla niego ten czy tamten konkretny fuli. Należało po prostu przyjąć do wiadomości, że coś się dzieje, i czekać na wyszeptane do ucha instrukcje.

Powtarzał sobie to wszystko w myśli, idąc, a właściwie biegnąc na tyle szybko, na ile pozwalały mu krótkie nogi, podczas gdy rulle ciągnęli go między sobą. Pocieszało go, że jeszcze nie wyjawili mu, kim są, lecz cały czas grali swoją rolę ludzkich policjantów.

Szli teraz znacznie lepiej oświetloną ulicą. Na jej końcu widać było sylwetkę okrętu, odcinającą się na tle czamogranatowego nieba. Budynki otaczające Wyrzutnię oddawały światło słoneczne, które absorbowały przez cały dzień. Stupiętrowy wieżowiec administracji lśnił jak klejnot w cieniu ogromnego okrętu, a intensywność, z jaką świeciły pozostałe domy, zależała od ich wysokości.

Rulle, z następującym im na pięty Deksem, dotarli do Skrzyżowania Dwa. Wyrzutnia znajdowała się na Skrzyżowaniu Jeden. Przeszli przez jezdnię i znaleźli się przy barierze. Obaj rulle zatrzymali się przed żłobkowanym pasem metalu, szerokim na dwa i pół metra, wydającym nieustannie odgłosy ssania, i wpatrzyli się w otwory wentylacyjne.

Wiek temu, gdy rulle i ludzie spotkali się po raz pierwszy, wstępu do fabryk zbrojeniowych i na tereny wojskowe broniły betonowe mury albo ogrodzenia z drutu kolczastego pod napięciem. Potem odkryto, że rulle potrafią zmieniać kierunek przepływu prądu, a ich gruba skóra jest niewrażliwa na zadrapania spowodowane drutem kolczastym. Beton też nie spełniał swojego zadania. Pod wpływem pewnych rodzajów energii emitowanych przez rulli po prostu kruszał. A wśród robotników wysyłanych do naprawy muru przeważnie znajdował się choć jeden rull, który przybrał ludzką postać. Często się też zdarzało, że uzbrojone patrole były wybijane do ostatniego żołnierza, a ich miejsce zajmowali rulle. Bariera zasysająca powietrze została wynaleziona dopiero w ostatnich latach. Otaczała całą Stocznię. Ludzie mogli ją przekraczać bezkarnie, ale rull ginął po trzech minutach. Zasady jej działania były jednym z najstarszych chronionych sekretów ludzkości.

Dex wykorzystał wahanie swoich strażników,

- Dziękuję, że mnie przyprowadziliście aż tutaj - powiedział. - Teraz już dam sobie radę sam.

Jeden ze szpiegów roześmiał się. Dźwięk był dość podobny do ludzkiego śmiechu, ale brakowało w nim osobistej, specyficznej intonacji. W uszach Deksa zabrzmiało to okropnie.

- Wiesz, mały - odparł rull - wyglądasz na dobrego dzieciaka. Chcielibyśmy ci pokazać, jacy jesteśmy mili. Co powiesz na to, byśmy się razem pobawili jeszcze przez chwilę?

- Chcecie się pobawić? - zdziwił się Dex.

- Tak. Widzisz tę barierę? Dex skinął głową.

- Doskonale. Jak już ci powiedzieliśmy, jesteśmy funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa, no wiesz, do walki z milami. I takie jest nasze główne zadanie. Rozumiesz to, prawda?

Dex, zastanawiając się, co będzie dalej, powiedział, że rozumie.

- A więc któregoś dnia, gdy razem z kolegą szliśmy do pacy, zaczęliśmy rozmawiać o tym, że rulle być może znaleźli jakiś sposób przekraczania bariery... i chyba nawet wiemy jaki. Jednak wydało się nam to tak głupie, że przed poinformowaniem naszych przełożonych chcieliśmy sami wypróbować ten sposób. Gdybyśmy nie mieli racji, daliby nam popalić... I właśnie ciebie chcemy poprosić, żebyś pomógł nam dokonać tej próby.

„Żadnemu dziecku... nie wolno... sprzeciwiać się szpiegom rulli”. Nauczyciel powtarzał to tak

często, że słowa rozbrzmiewały jak żywe w głowie Deksa. Wyczuwał, że w żądaniu rulli kryje się wielkie zagrożenie dla ludzi, ale przecież to nie on był powołany do wydawania osadów lub stawiania oporu. Wbijano mu to do głowy od lat, więc teraz już jego reakcja była automatyczna. Nie dorósł do tego, by samodzielnie podejmować decyzje.

- Musisz tylko przejść między tymi dwiema liniami, minąć barierę i wrócić - wyjaśnił rull.

Linie, o których mówił, stanowiły element układu żłobkowań systemu wentylacyjnego. Dex bez słowa sprzeciwu przeszedł przez barierę i tam sekundę się zawahał. Już chciał popędzić co sił do bezpiecznego budynku, oddalonego zaledwie o dziesięć metrów, ale zmienił zdanie. Zanim zdążyłby dobiec, rulle by go zastrzelili. Posłusznie wrócił do nich.

Na ulicy zobaczył grupkę mężczyzn. Ody się zbliżyli, Dex i obaj rulle odsunęli się, by ich przepuścić. Dex patrzył na nich z nadzieją. Może to policjanci? Rozpaczliwie pragnął mieć pewność, że ktoś przynajmniej podejrzewa, co się tu dzieje.

Robotnicy minęli ich i znikli za najbliższym budynkiem.

- Tędy, mały - powiedział mil. - Musimy uważać, żeby nikt nas nie zobaczył.

Dex nie zgadzał się z tym, ale poszedł z nimi w zacienione miejsce między dwoma budynkami.

- Mały, daj mi rękę.

Zrobił to. Był przerażony i zrozpaczony. Umrę tu, pomyślał. Całą siłą woli powstrzymał łzy. Jednak wkrótce wpajane mu nauki wzięły górę i stał spokojnie nawet wtedy, gdy poczuł w palcu palący ból ukłucia.

- Nie bój się, mały. Pobraliśmy tylko próbkę krwi. Widzisz, sądzimy, że w tym układzie ssącym kryją się miniaturowe wyrzutnie, wystrzeliwujące bakterie, na które rulle nie są odporni. Odbywa się to z prędkości tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę, dzięki czemu osoba przechodząca przez barierę nie czuje ukłuć, a na skórze nie zostaje żaden ślad. Wydaje nam się również, że układ dlatego pobiera tyle powietrza, by bakterie nie przeniknęły do atmosfery, a także chyba po to, by tej samej kultury bakterii można było używać w nieskończoność. Rozumiesz, co zamierzamy zrobić?

Dex nie rozumiał, ale był wstrząśnięty do głębi, bo rozumowanie to wydało mu się słuszne. Może naprawdę przeciw rullom używano bakterii? Słyszał, że tylko kilka osób wie, jaką bron zastosowano w tej niewinnie wyglądającej barierze. Czy to możliwe, że rullom w końcu udało się to wykryć?

Zobaczył, że drugi rull, stojący głębiej w cieniu, robi coś, co powoduje niewielkie rozbłyski światła. Dex odgadł, że tamten dokonuje pod mikroskopem analizy jego krwi, żeby sprawdzić, ile jest w niej nieżywych bakterii.

Rull, który prowadził do tej pory całą rozmowę, podjął swoje wyjaśnienia:

- Mały, wiesz, jak to się odbywa? Przechodzisz, a twoja krew natychmiast zabija bakterie, które zostały do niej wprowadzone. A oto co wymyśliliśmy: może istnieć tylko jeden gatunek bakterii wprowadzanych w jednej barierze. Dlaczego? Dlatego że skoro są wciągane przez komory filtrujące, by atmosfera została oczyszczona i można ich było użyć ponownie, zastosowanie rozmaitych gatunków byłoby zbyt skomplikowane. Najgroźniejsze bakterie, żywiące się pewnym związkiem fluorowym, są prawie tak samo niebezpieczne dla siebie nawzajem jak dla organizmów, które atakują. Ale dla raili stają się groźne tylko wtedy, gdy jeden szczep występuje w przeważającej liczbie. Innymi słowy, po to, by zabić raila, trzeba mu wprowadzić do krwi tylko jeden rodzaj bakterii. Oczywiście jeżeli rail został na niego uodporniony, może tak samo łatwo jak ty przejść barierę w miejscu, w którym występuje ten konkretny szczep, a następnie zrobić w Stoczni wszystko, co tylko chce. Rozumiesz teraz, jak ważna jest sprawa, nad którą pracujemy? - Spojrzał na kolegę. - Widzę, że mój przyjaciel skończył analizę twojej krwi. Poczekaj tu na nas.

Podszedł do drugiego rulla i chwilę rozmawiali. Potem wrócił.

- W porządku, mały. Możesz iść. Bardzo ci dziękujemy za pomoc. Nie zapomnimy o tobie.

Dex nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Chce pan powiedzieć, że to wszystko, czego ode mnie chcieliście?

-Tak.

Wychodząc z cienia, Dex spodziewał się, że zaraz go zatrzymają. Ale chociaż rulle poszli za nim, nawet nie próbowali go dogonić, gdy przeszedł przez jezdnię i skierował się do bariery. Jednak po chwili usłyszał, jak jeden z nich woła:

- Mały, popatrz, idą jacyś dwaj chłopcy. Mógłbyś przyłączyć się do nich, żeby razem szukać miejsca, gdzie rodzi się „dźwięk”. Dex odwrócił się i zobaczył, że chłopcy zaczynają biec.

- Kto ostatni przy barierze, ten łamaga! - zawołał jeden z nich.

Popędzili i wyminęli Deksa jak błyskawice. Biegąc za nimi, Dex zauważył, że gdy już dotarli do bariery, chwilę się zawahali, obejrzelili za siebie, a potem przeskoczyli ponad otworami wentylacyjnymi. Zaczekali z drugiej strony.

- Jestem Jackie - powiedział jeden.

- A ja Gil - przedstawił się drugi i dodał: -Powinniśmy trzymać się razem.

- Ja nazywam się Dex.

Gdy tak szli wszyscy trzej, rozmaite hałasy zagłuszały „dźwięk”. Maszyny warczały, młoty waliły, coś wibrowało, na metalowej podłodze Stoczni zaszumiał pneumatyczny pociąg nadjeżdżający w ich stronę. Pociąg zatrzymał się, gdy jego elektroniczne oczy i uszy stwierdziły obecność chłopców. Odsunęli mu się z drogi, a wtedy odjechał z pełną szybkością. Kilka, dźwigów podniosło metalowy płat ważący sto ton i umieściło go na antygravitacyjnej platformie, która odleciała lekko jak piórko w rozpalone niebo,

Dex nigdy jeszcze nie zwiedzał Wyrzutni w nocy. Byłby prawdopodobnie szalenie podniecony wszystkim, co tu widział, gdyby nie czuł się taki nieszczęśliwy. Najgorsze było to, że nie mógł mieć pewności, czy „chłopcy” nie są rullami. Do tej pory nie zrobili nic, co by o tym świadczyło. Fakt, że przeszli przez barierę w miejscu, w którym on dokonał próby, mógł być zwykłym zbiegiem okoliczności. A dopóki nie będzie miał pewności, nie ośmielił się powiedzieć im ani słowa o tym, co działo się dzisiejszego wieczoru. Musi po prostu iść dalej z nimi, a jeżeli zażądatają, by coś dla nich zrobił, nie pozostanie mu nic innego, jak posłuchać. To jego obowiązek. Tego właśnie go uczono. Oczami duszy widział dziesiątki takich „chłopców” przeskakujących barierę w tym samym miejscu. A może już byli na Wyrzutni i robili to, po co tu przyszli?

Świat wokół Deksa drżał od kakofonii hałasów. Ale gdziekolwiek spojrzał, zza żadnych drzwi, które mijał, z żadnego budynku, przez który przechodził z oczami wybałuszonymi z podziwu, nie dochodził dźwięk, który by nie zacichał w miarę, jak Dex się od niego oddalał. Ani razu nie usłyszał niczego, co choćby w przybliżeniu przypominałoby odgłosy pobierania powietrza podobne do tych, jakie rozlegały się przy barierze. Jeżeli istniało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla włączających się tu rulli, nic o tym nie świadczyło. Wszystkie drzwi były szeroko otwarte. Dex miał nadzieję, że atmosfera w którejś z zamkniętych hal okaże się śmiertelna dla wroga, chociaż nie dla niego samego. Jednak nie było zamkniętych hal.

A najgorsze wydawało się to, że nigdzie nie widział ludzi, którzy mogliby go obronić. Gdyby tylko miał pewność, że ci dwaj chłopcy są milami. Albo że nimi nie są. Kto wie, czy nie zabrali ze sobą jakiejś strasznej broni, którą zamierzają zniszczyć okręt?

Dotarli do budynku o powierzchni co najmniej kilometra kwadratowego i Dex nagle odzyskał nadzieję. Jego towarzysze nie protestowali, gdy przez ogromne drzwi wszedł na wiadukt wiszący nad pustką. Z wysoka zobaczył słabo oświetlony chaos niezwyklej geometrycznych struktur.

Wierzchołek najwyższej bryły znajdował się jakieś pięćset metrów ponad poziomem wiaduktu, więcząc niezliczone piętra plastiku tak przezroczystego, że tylko słaba poświata tu i tam świadczyła o istnieniu licznych pokładów twardego materiału. Była to tarcza chroniąca miasto przed promieniowaniem ogromnych ogniów atomowych tej kolosalnej siłowni.

Gdy doszli już prawie do połowy wiaduktu, nadzieje Deksa wreszcie się spełniły. Zobaczył małą kabinę z przezroczystego plastiku, uwieszoną na metalowej belce. W kabinie siedziała kobieta i czytała książkę. Kiedy się zbliżali, podniosła wzrok.

- Szukacie „dźwięku”? - spytała przyjaźnie i dodała: - Na wypadek, gdybyście nie wiedzieli, jestem Czująca.

Obaj chłopcy stali w milczeniu, ale Dex odparł, że rozumie. Nauczyciel mówił mu o Czujących. Potrafili oni przewidzieć zmiany w przepływie energii ogniwa atomowego. Czujący żyli bardzo długo, nawet sto osiemdziesiąt lat, i to nie z powodu pracy, jaką wykonywali, lecz dlatego że umieli przeciwdziałać ubytkom wapnia w swoich organizmach.

Dex bezwiednie przypomniał sobie to wszystko, ale odczuł przy tym ogromne rozczarowanie. Najwyraźniej kobieta nie umiała wykryć obecności rulli. W każdym razie nie dała mu żadnego znaku. Postanowił nadal udawać, że szuka „dźwięku”, co zresztą do pewnego stopnia było prawdą.

- Generatory tam, na dole, powinny powodować taką wibrację, że wszystko by się trzęsło, prawda? - spytał.

-Tak.

Dex zamyślił się. Był pod wrażeniem, ale jeszcze nie przekonany.

- Jednak nie wiem, w jaki sposób mogłoby to rodzić „dźwięk”.

- Wszyscy trzej wyglądacie na miłych chłopców - powiedziała kobieta. - Podejdźcie, a ja wam szepnę na ucho wskazówkę, która pozwoli znaleźć drogę. Ty pierwszy - wskazała Deksa.

Wydało mu się to dziwne, ale posłuchał. Kobieta pochyliła się do niego.

- Nie okazuj zdziwienia - szepnęła. - Pod obrzeżem kładki pod okrętem znajdziesz mały pistolet. Zjedź schodami ruchomymi numer siedem i skręć na prawo. To będzie po tej stronie metalowego filaru, który oznaczony jest wielką literą H. Skiń głową, jeżeli zrozumiałeś.

Dex skinął głową. Kobieta szybko mówiła dalej:

- Schowaj pistolet do kieszeni. Nie używaj go, póki nie dostaniesz rozkazu. Powodzenia. Wyprostowała się.

- Teraz powinieneś już wiedzieć, dokąd iść - dokończyła głośno i zwróciła się do łąckiego: - Twoja kolej. Ale Jackie pokiwał przecząco głową.

- Nie potrzebuję żadnych wskazówek - oświadczył. - A poza tym nie lubię, kiedy szepcze mi się na ucho.

- Ja też nie - przyłączył się do niego Gil.

- Nie powinniście być tacy nieśmiali - powiedziała kobieta z uśmiechem. - Ale i tak dam wam pewną wskazówkę. Wiecie, co znaczy słowo miazmat?

Zwracała się bezpośrednio do Jackiego.

-Eee... to jakieś... wyziewy.

-I to jest moja wskazówka dla was. A teraz powinniście ruszyć w drogę. Słońce wschodzi kilka minut przed szóstą, a już jest po drugiej.

Znów wzięła do ręki książkę i zastygła w bezruchu, jakby tworzyła jedną całość z krzesłem, na którym siedziała. I chociaż w tej pozycji wydawała się nieżywa jak posąg, Dex dzięki niej wiedział już, że jego położenie było chyba jeszcze bardziej niebezpieczne, niż do tej pory sądził. Niebezpieczeństwo zagrażało nawet wielkiemu okrętowi. Z tą świadomością skierował się ku niemu.

Trevora Jamiesona nagle coś obudziło. Wyciągnął z tego wniosek, że jednak musiał zasnąć. Z niechęcią przewrócił się na drugi bok. Gdyby tylko mógł teraz przespać całą noc! Ale wzdrygnął się, widząc, że żona siedzi na brzegu łóżka. Spojrzał na fosforyzujący zegarek. Była druga dwadzieścia dwie.

Do licha, mruknął w duchu. Muszę ją nakłonić, żeby się położyła.

- Nie mogę spać - jęknęła Veda.

Była zdenerwowana, ale Jamieson nie przejął się tym. Często się tak niepokoiła bez żadnego powodu. Udał, że mocno śpi.

- Kochanie...

Jamieson lekko się poruszył, ale nie otworzył oczu.

- Trevor...

- Kochanie, proszę, śpij. ~ Otworzył jedno oko.

- My ślę o rym, ilu chłopców jest tej nocy poza domem - szepnęła.

Jamieson znów się przewrócił na bok.

- Veda, o co ci chodzi? Przeszkadzasz mi spać.

- Och, przepraszam. Nie chciałam cię obudzić.

W jej głosie nie było jednak najmniejszego śladu skruchy.

- Kochanie... Jamieson milczał.

- Myślisz, że możemy się dowiedzieć? - spytała. Zamierzał zniechęcić ją do dalszej rozmowy, ale jego umysł też już zaczął pracować pełną parą, badając, co chciała przez to powiedzieć. Zdumiony, że nie znalazł żadnego sensu w jej słowach, obudził się do reszty.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - spytał.

- Ilu ich jest.

- Kogo?

- Chłopców... poza domem.

Jamieson, przytłoczony o wiele poważniejszymi obawami, westchnął.

- Veda, jutro muszę wcześniej wyjść do pracy.

- Do pracy! - wykrzyknęła ze złością. - Nie potrafisz myśleć o niczym innym. Jesteś całkowicie pozbawiony uczuć!

Jamieson milczał, ale to nie skłoniło jej do położenia się. Mówiła coraz głośniej:

- Właśnie to jest najgorsze w mężczyznach: stają się absolutnie niewrażliwi. ,

- Jeżeli w ten sposób pytasz, czy się niepokoję, to odpowiadam ci, że nie. - Kiepsko to wypadło, ale muszę ją uspokoić, powiedział sobie. Usiadł, zapalił lampkę. - Kochanie - podjął - jeżeli mogę Ci w ten sposób sprawić satysfakcję, to powiem, że ci się udało. Już nie śpię.

- Najwyższy czas! - krzyknęła. - Powinniśmy zadzwonić. Jeżeli ty nie chcesz, ja to zrobię. Jamieson wstał z łóżka.

- Dobrze, ale nie krzycz mi do ucha, gdy będę rozmawiał. Nie życzę sobie, by myślano, że trzymasz mnie pod pantoflem. Zostaniesz tutaj.

Poczuł ulgę, gdy się nie sprzeciwiła. Wyszedł z sypialni i zamknął drzwi. Przy wideofonie podał swoje nazwisko. Czekał dłuższą chwilę, a potem pojawił się mężczyzna o poważnym wyrazie twarzy, w mundurze admirała floty kosmicznej. Jamieson znał go z pracy. Admirał znajdował się teraz w swoim gabinecie w Sztapie. Jego twarz wypełniła ekran, gdy pochylił się do wideo-fonu.

- Trevorze - powiedział - sytuacja wygląda następująco: pana syn nadal przebywa z dwoma

milami, chociaż nie są to już ci sami, co przedtem. Zastosowali bardzo sprytny sposób, by przejść barierę, i w tej chwili, jak przypuszczamy, jakichś stu rulli udających chłopców przedostało się do Stoczni. W ciągu ostatniej pół godziny nikt już nie usiłował tam wejść. Uważamy więc, że zgromadzili się tam wszyscy rulle z Solar City, którzy zostali zaszczepieni przeciw systemowi zabezpieczeń, jakiego używamy na tym odcinku bariery. Jeszcze nie ruszyli ku jakiemuś konkretnemu miejscu, ale sądzimy, że decydujący moment już się zbliża.

- A co z moim synem? - spytał spokojnie Jamieson.

- Niewątpliwie mają jakiś plan związany z jego osobą. Próbujemy dostarczyć mu broń, ale oczywiście będzie ona miała ograniczony zasięg.

Jamieson z rozpaczą zdał sobie sprawę, że nie usłyszał nic, co mogłoby mu dać choćby najmniejszą nadzieję.

- Rozumie pan - kontynuował admirał - jak ważne jest dla nas poznanie celu ich misji i dowiedzenie się, jakim sprawom przypisują największe znaczenie, co ma dla nich taką wartość, że podejmują to ogromne ryzyko. Zaczęli akcję, która wymaga od nich wielkiej odwagi, więc musimy pozwolić im doprowadzić ją do końca. Wydaje nam się, że domyślamy się, o co im chodzi, ale musimy uzyskać absolutną pewność. W ostatniej chwili postaramy się uratować pańskiego syna, ale nie możemy nic zagwarantować.

Jamieson wiedział doskonale, w jaki sposób ci ludzie rozumują. Dla nich śmierć Deksa byłaby jedynie godnym pożałowania incydentem. Gazety pisałyby, że „straty okazały się niewielkie”. Mogłyby nawet kreować chłopca na jednodniowego bohatera.

- Będę już kończył - powiedział admirał. - W tej chwili pana syn schodzi pod okręt i muszę całą uwagę poświęcić jemu. Do widzenia.

Jamieson wyprostował się i chwilę stał bez mchu, by odzyskać panowanie nad sobą. Potem wrócił do sypialni.

- Wszystko w porządku - oznajmił żonie swobodnym tonem.

Nie otrzymał odpowiedzi. Veda spała z głową na jego poduszce. Pewnie położyła się, by czekać na jego powrót, i natychmiast zasnęła.

Wobec wyjątkowej wrażliwości żony sposób, w jaki załatwił sprawę, był z całą pewnością najlepszy. Spała teraz niespokojnie, policzki miała mokre od łez. Postanowił podać jej specjalny środek hipnotyczny prosto do krwi za pomocą ciśnieniowej strzykawki. Po jakimś czasie całe jej ciało rozluźniło się, wydała głębokie westchnienie i jej oddech stał się regularny.

Wtedy Jamieson zadzwonił do Kaleba Carsona do domu i zapoznał go z sytuacją.

- Niech pan pójdzie po Efraima - polecił na koniec nagłym tonem. - Proszę mu powiedzieć, że rodzina go potrzebuje, i przyprowadzić do dowództwa Służb Bezpieczeństwa tak, by nikt go nie zobaczył.

Przerwał połączenie, szybko się ubrał i również poszedł do gmachu dowództwa. Wiedział, że naraża się na kłopoty. Członkowie Sztabu będą mieli opory przed wykorzystaniem ezwała. Ale ezwał na pewno okaże się bardzo przydatny, a on sam, i poprzez niego również Dex, zasłużyli sobie na taką pomoc.

- Co ci powiedziała ta kobieta na ucho? - spytał Jackie.

Zjeżdżali ruchomymi schodami do tunelu pod Wyrzutnią. Dex, który czujnie nasłuchiwał, czy nie odezwie się „dźwięk” -a na razie nie słyszał żadnych wyjątkowych odgłosów - odwrócił się do towarzysza.

- Och, to samo, co wam.

Jackie zaczął nad tym rozmyślać. Dotarli do kładki i Dex natychmiast na nią wszedł. Z obojętną

miną szukał metalowego filaru oznaczonego wielką literą H. Zobaczył go jakieś trzydzieści metrów dalej.

- Dlaczego zadawała sobie trud, by tobie mówić na ucho - spytał idący z tyłu Gil - skoro potem i tak powtórzyła to na głos?

Ich nieufność zaniepokoiła Deksa, ale wyszkolenie natychmiast wzięło górę.

- Myślę, że po prostu chciała się trochę zabawić kosztem takich dzieciaków jak my...

- Zabawić się? - wykrzyknął Jackie ze zdumieniem.

- Co tu robimy? - spytał Gil.

- Jestem zmęczony - wyjaśnił Dex.

Usiadł na skraju kładki obok wysokiego, grubego na półtora metra filaru. Nogi zwiesił nad tunelem. Obaj rulle minęli go i zatrzymali się po drugiej stronie filaru. Teraz będą się porozumiewać między sobą i z innymi! ~ pomyślał Dex, wprost nieprzytomny z podniecenia.

Rozsiadł się wygodnie i szybko przejechał palcami pod krawędzią. Palce napotkały opór. Miniaturowy pistolet sam wpadł mu do ręki. Włożył go do kieszeni naturalnym ruchem i natychmiast poczuł się tak, jakby nagle opuściła go cała siła - była to reakcja na poprzednie napięcie. Siedział nieruchomo i wibracje metalu przeszywały go do szpiku kości. Jego specjalne buty absorbowały większą ich część, a poza tym do tej pory był tok przejęty szukaniem broni, że nie od razu zwrócił na nie uwagę. Ale teraz już je czuł, bo chociaż bardzo słabe, udzieliły się jego ciału, które wpadło w rezonans. Na chwilę zapomniał o rullach.

Cudownie było tak siedzieć i czuć, że cały wibruje w rytm najprawdziwszego „dźwięku”. Wiedział, że na tym wspaniałym okręcie wibracja będzie niezwykła. Miasto zostało zbudowane na metalu i nawet liczne warstwy materiału izolującego, który pokrywał ulice i drogi, nie mogły stłumić niezwykle gwałtownych sił i energii, skoncentrowanej na bardzo małej przestrzeni. Tu znajdowały się ogniwa nuklearne tak gorące, że ich nieustanne wybuchy mogły doprowadzić do katastrofy, a spod ogromnych walców wychodziły stalowe płyty o wadze dochodzącej do stu ton.

Jeszcze przez osiem i pół roku będzie trwała budowa tego ogromnego okrętu. A potem, gdy odleci w kosmos, Dex znajdzie się na jego pokładzie. Rodziny współpracujące ze Stoczną zostały wybrane według jednego z dwóch kryteriów: albo dlatego, że ojciec czy matka wykonywali przydatny zawód, albo dlatego, że miały dziecko, które dorośnie w chwili, gdy okręt będzie gotowy do lotu. Ojciec Deksa, wysoki urzędnik rządowy, został tu przydzielony na własną prośbę.

Tylko rosnąc razem z okrętem, który wznosił się jak trzykilometrowa góra, ludzie mogli zrozumieć go i poprowadzić w kosmos. Skoncentrowano w nim sumę ludzkiej wiedzy inżynierskiej tak ogromną, że osobistości, które przybywały obejrzeć okręt, w oszołomieniu kontemplowały maszyny, zajmujące tysiące tysięcy metrów kwadratowych, detale wyposażenia technicznego, pulpity i instrumenty, a także jaskrawe oświetlenie, już zainstalowane na niższych poziomach.

I on, Dex, znajdzie się na pokładzie, gdy okręt odleci. Drżąc na samą tę myśl, wstał - właśnie w chwili, gdy obaj rulle wyszli zza filaru.

- Idziemy - powiedział Jackie. - Już dość tu zmarudziliśmy. Dex poczuł się tak, jakby go zrzucano z wysokiej góry. Jackie wytrącił go ze stanu egzaltacji.

- Dokąd? - spytał.

- Do tej pory szliśmy za tobą - odparł Gil. - Teraz, dla odmiany, wybierzemy się tam, gdzie nam się spodoba. Co ty na to?

- Dobrze - zgodził się Dex. Nawet nie przyszło mu do głowy, że może się sprzeciwić.

Neon na ścianie budynku informował: DZIAŁ NAUKOWY. Dex zobaczył tu mnóstwo chłopców. Wydawało się, że kręcą się bez celu, niektórzy samotnie, inni w grupkach. Dalej było ich jeszcze

więcej, ale też nie zdążali w żadne konkretne miejsce. To na pewno też mile, pomyślał. Ale aż tyłu? To głupie. Nie powinien tak pozwalać szaleć wyobraźni... Dział Naukowy. Tak, to na pewno ich przyciągało. Właśnie tu ludzie stworzyli bakterie, które ich zabijają w barierze. Nie miał pojęcia, co mile chcą wiedzieć. Może nawet niewielki fragment informacji pozwoli im zniszczyć materiał źródłowy albo i całe szczepy bakterii, i w ten sposób unieszkodliwić ludzką obronę? Nauczyciel wspominał, że istnieje taka możliwość.

Wszystkie drzwi prowadzące do działu były zamknięte, w przeciwieństwie do tych, obok których do tej pory przechodzili.

- Dex, otwórz - polecił Jackie.

Chłopiec posłusznie sięgnął do klamki, ale nie nacisnął jej, bo zobaczył, że z korytarza wychodzą dwaj mężczyźni. Jeden z nich zawołał:

- Mały, to znowu ty? Ciągłe na siebie wpadamy, prawda?

Dex puścił klamkę i odwrócił się do nich. Przypominali tych dwóch, którzy przyprowadzili go do bariery i zrobili mu badanie krwi. Ale to mógł być tylko pozór. Spośród wszystkich raili przebywających w Solar City, w Stoczni mogli znaleźć się wyłącznie ci, którzy zostali zaszczepieni przeciw bakteriom, jakie on dla nich zidentyfikował w tym jednym, jedynym miejscu bariery.

Byłoby niezwykłym zbiegiem okoliczności, gdyby obaj fałszywi policjanci należeli do tej grupy. Tak więc najprawdopodobniej nie byli to ci sami, co przy barierze. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia.

- Miło cię znowu zobaczyć - powiedział ten, który mówił za obu. - Chcemy wykonać jeszcze jedno doświadczenie. Zaraz ci wytłumaczę, co masz zrobić. Wejdz do tego budynku. Dział Naukowy jest na pewno chroniony wyjątkowo dobrze. Gdyby udało nam się właśnie tutaj udowodnić słuszność naszego pomysłu, mile mieliby jeszcze bardziej utrudniony dostęp do Stoczni. Warto spróbować, nie uważasz?

Dex skinął głową. Był tak zbity z tropu, że mimo całego swojego wyszkolenia nie ufał własnemu głosowi.

- Wejdz - powiedział rull - i zostań tam kilka minut, potem zrób głęboki wdech i wracaj. To wszystko.

Dex otworzył drzwi i wszedł do jasno oświetlonego, wielkiego budynku. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Mógłbym uciec, pomyślał. Nie odważą się tu wejść. Ale nie zobaczył żadnego człowieka, i to go powstrzymało. Dziwne, że budynek jest pusty. W Stoczni praca trwała przez całą dobę.

Drzwi za nim znów się otworzyły. Dex odwrócił się. Zobaczył łąckiego i Gila, dość daleko od wejścia, i innych chłopców, w większej odległości. Rull, który otworzył drzwi, również uważał, żeby nie otrzymać dawki czegoś, co uważał za niebezpieczne.

- Możesz już wyjść - polecił mężczyzna, kryjąc się za ścianą. - Ale nie zapomnij wziąć głębokiego oddechu i wstrzymać go.

Dex posłuchał. Gdy wyszedł z budynku, drzwi zamknęły się automatycznie. Obaj fałszywi policjanci już czekali. Jeden z nich trzymał butelkę zakończoną gumową rurką. Kazał Dekswi dmuchnąć w nią, a gdy chłopiec wykonał polecenie, przekazał ją koledze, który szybko się oddalił.

- Nie zauważyłeś nic dziwnego? - spytał ten, który ciągle mówił.

Dex zawahał się. Teraz, gdy się nad tym zastanowił, powietrze w budynku wydawało mu się dość gęste; było trochę trudniej oddychać niż normalnie. Jednak pokiwał przecząco głową.

- Chyba nie - odparł.

- Ba - powiedział rull lekceważąco. - Pewnie i tak byś nie potrafił tego zauważyć. - I szybko

dodał: - Chcielibyśmy jeszcze raz sprawdzić twoją krew. Wyciągnij palec.

Dex niechętnie poddał się badaniu. Podszedł Gil.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał służbiście.

- Tak. Zanieś to mojemu koledze. Gil pobiegł tak zwyczajnie, jakby był normalnym chłopcem.

Minęła minuta, potem druga...

- O, już są - stwierdził mężczyzna.

Dex ponuro patrzył na obu wracających rulli. Ten, który został z nim, szybko poszedł im na spotkanie. Jeżeli nawet coś do siebie powiedzieli, Dex tego nie słyszał. Zresztą i tak króciutka narada na pewno została przeprowadzona za pomocą fal świetlnych. Po chwili rull wrócił do Deksa.

- Mały, zrobiłeś dziś dla nas coś naprawdę ważnego. Wygląda na to, że rzeczywiście będziemy mieli swój wkład w wojnę z milami. Wiesz, że powietrze w tym budynku zawiera sztuczny gaz, związek fluoru? To bardzo interesujące i całkiem bezpieczne. Nawet gdyby jakiś rull tu wszedł, to dzięki temu, że ma fluorowy metabolizm, nic by mu się nie stało, chyba że próbowałby posłużyć się energią swojego ciała jak bronią... albo rozmawiać z innym rulle. Ta energia zadziałałaby wówczas jak czynnik jonizujący i doprowadziłaby do powstania reakcji syntezy na poziomie molekularnym między fluorem z powietrza i fluorem z ciała rulla. I choć synteza nie byłaby stabilna i nie trwała długo, organizm rulla by tego nie przetrzymał.

Dex niezbyt to wszystko rozumiał. Uczył się o reakcjach chemicznych fluoru i jego związków, ale bardzo pobieżnie.

- Bardzo sprytnie - stwierdzał szpieg z udawanym zadowoleniem. - Rull sam zapoczątkowuje reakcję, która go zabija. No, chłopcy, wydaje mi się, że chcieliście zwiedzić ten budynek. Zgoda, możecie iść. Nie ty - powstrzymał Deksa. - Jeszcze nie. Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać. Chodź ze mną.

Odciągnął go na bok, a obaj „chłopcy” weszli do budynku. Dex wyobrażał sobie, jak rewidują wszystko w poszukiwaniu tajnych dokumentów. Na pewno wkrótce ktoś się tym zajmie, powiedział sobie ze znużeniem.

- Mały - rull kontynuował swoją przemowę - w zaufaniu mogę ci powiedzieć, że zrobiłeś dziś dla nas coś niezwykle ważnego. Trochę ci o tym opowiem, żebyś wiedział, o co chodzi. Nadzorowaliśmy Dział Naukowy przez całą noc. Pracownicy na ogół wieczorem idą do domu. ody już było pusto, przyszli dwaj robotnicy, zainstalowali jakieś aparaty i wyszli. Nad drzwiami, zarówno w budynku, jak i na zewnątrz, umieścili przekaźniki radiowe i głośniki. Gdybym był rulle, ze zwykłej ostrożności bym je uszkodził. Ale na razie nie ma tu nikogo oprócz was, chłopcy. Sam możesz się teraz przekonać, jak bardzo ludzie wierzą w to, że bariera i bakterie uniemożliwią rullom dostanie się do Stoczni.

Zamilkł na chwilę, by Dex mógł sobie przyswoić to, co do tej pory usłyszał, a potem podjął:

- Oczywiście rulle mogliby uzyskać większość tych informacji dzięki swoim szpiegom, a gdyby udało im się przejść barierę, mogliby ustawić strażę wokół całego budynku i nie dopuścić tu nawet silnych pancernych oddziałów. Mogliby również zdalnie wysadzić ten budynek, ale trudno się spodziewać, że dokonają tego w najbliższym czasie. Najpierw posłużą się innymi metodami. Rozumiesz więc, dokąd to nas prowadzi. Rulle mogliby rozszyfrować niektóre ukryte tu tajemnice, a gdy już stąd wyjdą, przekazać to, czego się dowiedzieli, innym rullom, którzy nie weszli do niebezpiecznej strefy. Potem postaraliby się stąd uciec. To śmiały plan, ale rulle dokonywali już podobnych rzeczy. Tak więc widzisz, że wszystko to może się zdarzyć. Ale my im na to nie pozwolimy.

- Dex. - Cichy szept dobiegł gdzieś z góry. - Nie okazuj, że mnie słyszysz.

Dex zastygł, ale zaraz się opanował. Już dawno temu stwierdzono, że elektroniczne aparaty podsłuchowe rulli, umieszczone w mięśniach ramion, co tłumilo dźwięk, nie mogły łapać szeptu.

- Wejdz do budynku - ciągnął głos. - Gdy już tani będziesz, zostań przy drzwiach. Na razie to wszystko. Potem dostaniesz następane instrukcje.

Dex zlokalizował źródło głosu. Dochodził znad drzwi. Z drzeniem przypomniał sobie, że rull mówił o przekaźniku radiowym. Instrukcje musiały być wysyłane właśnie tą drogą.

Ale jak tam wejść, skoro rull go zatrzymuje? Mówił właśnie coś o nagrodzie, ale Dex ledwo go słyszał. W rozpaczy powiódł wzrokiem po otoczeniu. Zobaczył jedynie długi rząd budynków; niektóre były jasno oświetlone, inne kryły się w mroku. W oślepiającym blasku płynącym od okrętu jeden z budynków rzucał długi cień w miejsce, gdzie stał Dex. A wysoko nad nań niebo wydawało się czarniejsze niż zwykle. Nie było jeszcze najmniejszej oznaki świtu, który nastanie dopiero za parę godzin.

- Och - powiedział Dex bez specjalnej nadziei. - Może lepiej tam wejść. Słońce niedługo wszędzie, a mam jeszcze sporo miejsc do zwiedzenia.

- Gdybym był na twoim miejscu, nie traciłbym tu zbyt wiele czasu - odparł rull. - Ale wejdz i rozejrzyj się. Potem chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.

Dex otworzył drzwi, ale rull zatrzymał go jeszcze, mówiąc:

- Poczekaj, najpierw ja wejść na chwilę.

Minął próg, wyciągnął rękę nad framugę i szarpnął kilka kabli, które opadły przerwane. Wtedy wrócił przed budynek i oświadczył:

- Pomyślałem, że dla potrzeb naszego małego eksperymentu stworzę sytuację taką, jak na wojnie. Odłączyłem przekaźnik radiowy, który tu niedawno zainstalowano. Wejdz tam teraz i powiedz mi, co robią pozostali chłopcy.

Drzwi za Deksem zamknęły się automatycznie.

W dowództwie Służb Bezpieczeństwa dyżurny admirał mówił do Jamiesona:

- Trevorze, bardzo mi przykro. Zrobiliśmy wszystko, co tylko mogliśmy. Ale oni właśnie odebrali nam jedyną możliwość kontaktowania się z pańskim synem.

- A jakie instrukcje zamierzaliście mu przekazać? - spytał Jamieson.

- Nie mogę panu powiedzieć. To tajemnica wojskowa. Ze swojej klatki w przyczepie stojącej przed gmachem ezwał odezwał się telepatycznie do Jamiesona:

- Wyczytałem to w jego myślach. Chcesz, żebym je przekazał Deksovi?

- Tak, proszę - odpowiedział Jamieson. Do Deksa dotarł bezpośredni przekaz, tak jasny, że uznał to za głos szepczący mu prosto do ucha:

- Dex - brzmiała wiadomość. - Musisz wiedzieć, że jeżeli rull nie nosi broni otwarcie, to znaczy, że polega na energii wytwarzanej w komórkach swojego ciała. Rull, z przyczyn naturalnych, nie może używać ubrań, a jedynie tworzy ich iluzję, tak samo jak iluzję ludzkiej postaci... Widzę, że w pobliżu jest tylko dwóch chłopców.

Rzeczywiście, dwaj chłopcy pochylali się nad biurkiem w drugim końcu sali. Przez chwilę Dex zastanawiał się, w jaki sposób osoba, która do niego mówi, mogła ich zobaczyć. Ale nie miał czasu na dłuższe rozmyślenia, bo przekaz trwał dalej:

- Wyjmij pistolet i zabij ich.

Dex włożył rękę do kieszeni, z trudem przełknął ślinę i wyciągnął broń. Ręka mu trochę drżała, ale od pięciu lat szkolono go, by dał sobie radę w takiej sytuacji jak ta, więc w duchu był zupełnie spokojny. Z tej broni nie trzeba było celować zbyt dokładnie.

Skierował pistolet mniej więcej w kierunku rulli i z lufy plnął białoniebieski płomień. Rulle

usiłowali uciec, ale padli obaj jak podcięci.

- Brawo! - pochwalił ezwał.

Dex nie zwrócił uwagi na to, że nie towarzyszył temu żaden dźwięk, bo oto w odległym końcu sali ciała chłopców o rumianych policzkach zaczynały się zmieniać. Po śmierci nie mogli zachować iluzji. Dex widział już nieraz zdjęcia, jednak czym innym było na własne oczy zobaczyć te czarniawe ciała i ażurowe kończyny.

- Słuchaj teraz... - Telepatyczny przekaz pomógł mu otrząsnąć się z szoku. - Wszystkie drzwi są zamknięte i nikt nie może wejść ani wyjść. Przejdź się po całym budynku i zabij każdego, kogo napotkasz. Wszystkich, rozumiesz? Nie słuchaj próśb ani tłumaczeń w rodzaju: „Przecież jesteśmy tylko dziećmi”. Sprawdziliśmy, gdzie przebywają prawdziwi chłopcy i wiemy, że w budynku są wyłącznie rulle. Zabij ich wszystkich bez litości.

Kilka minut później ezwał powiadomił Jamiesona:

- Twój syn załatwił wszystkich rulli przebywających w budynku. Powiedziałem mu, żeby jeszcze stamtąd nie wychodził, bo w tej chwili eliminuje się tych, którzy pozostali na zewnątrz. Zostanie tam, póki mu nie powiem, że może bezpiecznie wyjść.

Jamieson, kiedy usłyszał tę wiadomość wydał głębokie westchnienie ulgi.

- Dziękuję, przyjacielu - pomyślał. - Daleś wspaniały pokaz telepatii.

Niedługo potem wezwał Jamiesona admirał.

- To był prawdziwy sukces - powiedział. - Rulle na zewnątrz budynku bronili się ze swoją zwykłą brawurą, ale wymieniliśmy szczep bakterii tam, gdzie przeszli barierę, no i wpadli w pułapkę. - Zamilkł, a następnie dodał, nie ukrywając zdumienia: - Jest jednak coś, czego nie rozumiem. Skąd pana syn wiedział, kiedy zacząć strzelać? Przecież nie mieliśmy mu jak tego przekazać.

- Chciałbym, żeby pan pamiętał swoje pytanie, gdy będzie pan czytał mój raport o tym, co się wydarzyło - powiedział Jamieson.

- Dlaczego zamierza pan sporządzić raport z tego akurat wydarzenia? - Admirał był wyraźnie zdezorientowany.

- Zobacz pan.

Ciągle jeszcze brakowało kilku godzin do świtu, gdy Dex zatrzymał powietrzną taksówkę na Skrzyżowaniu Dwa i poleciał do ośrodka mieszczącego się na wysokim wzgórzu. Tacy „zwiadowcy” jak on mieli obowiązek obserwować stamtąd wschód słońca. Wszedł po schodach prowadzących na szczyt. Zastał tam już wielu innych chłopców.

Nie mógł mieć absolutnej pewności, że należą do rodzaju ludzkiego, ale był o tym prawie całkowicie przekonany. W końcu po co rulle mieliby uczestniczyć w tak szczególnym ceremoniale?

Opadł na ziemię obok majaczącej w ciemności sylwetki jakiegoś chłopca. Przez kilka minut obaj milczeli. W końcu Dex zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Mart - przedstawił się tamten wysokim, stłumionym głosem.

- Znalazłeś „dźwięk”? - spytał Dex.

- Tak.

- I ja też - powiedział Dex i przypomniał sobie wszystko, co musiał zrobić tej nocy. Przez krótką chwilę przeżywał radość, że dano mu tak cudowne wykształcenie, które umożliwiło zaledwie dziewięcioletniemu chłopcu dokonanie tego, czego dokonał. A potem wszystkie wydarzenia w jakiś sposób wymazały mu się z umysłu.

- To było zabawne, nie uważasz? - spytał.

- Jasne.

Zamilkli. Ze swojego miejsca Dex widział czerwoną lunę, która biła od wielkich pieców, a trochę dalej lśniąca jak klejnot aureolę otaczającą ogromny okręt. Nad jego głową niebo nie było już czarne, a ciemność nocy przechodziła w szarość przedświt.

W miarę jak nastawał dzień, widział okręt coraz lepiej. Górna część gigantycznego metalowego szkieletu odbijała już promienie słońca, niewidocznego jeszcze z miejsca, gdzie stał Dex. Jasność schodziła coraz niżej, wydobywając z mroku ogromny, gładki kadłub.

Okręt wychynał z ciemności. Była to kolosalna struktura, o wiele większa niż wszystko, co go otaczało. Z tej odległości wydawało się, że stupiętrowy wieżowiec administracji jest zaledwie drobnym elementem Wyrzutni, zwykłym białym filarem w porównaniu z czarnym gigantem, jakim był okręt. Jeszcze długo po wschodzie słońca Dex stał i kontemlował widok. W jasnym świetle dnia okręt jakby zbierał się do lotu. Jeszcze nie, myślał Dex cały drżący. Jeszcze nie. Ale twoja chwila nadejdzie. A wtedy, tego na razie odległego dnia, największy okręt, jaki ludzie kiedykolwiek zbudowali, polecą do gwiazd i zmusi mili do ucieczki.

W końcu, przynaglany sygnałami żołądka przypominającymi, że już najwyższa pora coś zjeść, Dex zszedł ze wzgórza, wstąpił do małego baru na śniadanie, a potem, niezwykle zadowolony, taksówką powietrzną wrócił do domu.

Jamieson usłyszał, jak otwierają się drzwi mieszkania. Powstrzymał żonę, która już chciała wybiec na korytarz.

- Na pewno jest bardzo zmęczony - powiedział cicho. - Daj mu odpocząć.

Niechętnie pozwoliła odprowadzić się z powrotem do łóżka.

Dex przeszedł na palcach przez salon i wszedł do swojej sypialni. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie. Rzucił okiem na tablicę sterowniczą i od razu zobaczył, że Nauczyciel - który w rzeczywistości był skomplikowanym robotem - wie już o jego obecności.

- Proszę o raport - powiedział Nauczyciel.

- Już wiem, czym jest „dźwięk” - oznajmił Dex z dumą.

- No więc czym?

Gdy Dex skończył opowiadać, Nauczyciel pochwalił go:

- Przynosisz mi zaszczyt jako twojemu nauczycielowi. Jestem z ciebie dumny. A Uraz idź spać.

Otulając się kołdrą, Dex czuł słabe pulsowanie pokoju, słyszał ciche drgania plastiku chroniącego okna i leciutkie trzeszczenie podłogi, drżącej w rytm nieprzerwanych wibracji całego miasta.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, ale także z wielkim znużeniem. Już nigdy nie będzie pytał o źródło „dźwięku”, bo teraz wiedział, że to odgłosy Stoczni, nieustająca wibracją powodowana przez niezliczone budynki, metalowe konstrukcje i maszyny, które rozciągają się jak macki wokół Wyrzutni.

Dźwięk będzie mu towarzyszył przez całe życie, bo gdy budowa okrętu dobiegnie końca, inny dźwięk, podobny i wszechogarniający, będzie się wydobywał ze wszystkich jego metalowych płyt.

Zasnął, czując wewnątrz siebie pulsowanie dźwięku, który stanowił nieodłączny element jego życia.

Jamieson obudził się o zwykłej porze i właśnie cichutko wstawał z łóżka, gdy wszystko mu się przypomniało. Odwrócił się, spojrział na żonę i z zadowoleniem pokiwał głową. Spała spokojnie.

Ona i Dex będą spali jeszcze przez wiele godzin. Na palcach poszedł do łazienki, a potem samotnie zjadł śniadanie, zastanawiając się, w jaki sposób wydarzenia ostatniej nocy wpłyną na to, co stanie się w przyszłości. A był pewien, że wywrą swój wpływ.

Ezwal udowodnił swoją wartość, ratując Deksa. Jamieson uważał, że ma prawo żądać takiej przysługi; bez wahania uciekł się do wszelkich sposobów, które mogłyby pomóc synowi przeżyć trudne godziny nocy.

Po przyjsciu do gabinetu Jamieson sporządził raport. Zakończył go wnioskiem, że to, co się stało, jest równie ważne jak zakończenie budowy okrętu, „Użyteczność telepatii -napisał -jako środka komunikacji z rasami pozaziemskimi, które teraz właściwie nie służą nam żadną pomocą w walce z naszym wspólnym wrogiem, rullami, musi oczywiście zostać starannie zbadaną na drodze szczegółowych eksperymentów. Ale sam fakt, że taki środek komunikacji istnieje, jest sprawą o ogromnym znaczeniu dla całej Galaktyki”.

Zrobił kilkanaście kopii raportu i wysłał je przez gońca do wszystkich, których opinia mogła tu zaważyć.

Pierwsza reakcja nadeszła po południu. Odezwał się wysokiej rangi oficer sił zbrojnych.

„Czy zadbano o to, by ezwal nie miał dostępu do umysłu żadnego z ludzi wtajemniczonych w badania naukowe? Może na wszelki wypadek powinno się ezwala zlikwidować?”

Jamieson przeczytał notatką i odniósł wrażenie, że ma do czynienia z jakąś formą szaleństwa, co zresztą było prawdą. Już nieraz był świadkiem ekscesów, jakich dopuszczali się wojskowi dla zachowania tajemnicy służbowej. Zobaczył, że odpowiedź tej ważnej osobistości została przekazana wszystkim, którym on wysłał swój raport.

Poruszony do głębi, przygotował replikę. Stwierdzał w niej, powołując się na łatwe do zweryfikowania dane, że ezwal nie zbliżył się do żadnej osoby pracującej przy ściśle tajnych badaniach naukowych. Podkreślił również, że chociaż on sam tylko bardzo ogólnie orientuje się w przedmiocie badań, to jednak fakt, że agenci raili przeszli barierę i prowadzili także inne działania, świadczy o ich głębokiej znajomości środków wojny bakteriologicznej stosowanych przeciw nim i że „zamiast skazywać ezwala na śmierć z powodu tej niewielkiej liczby danych, jakie mógł sobie przyswoić od nas, należy raczej dowiedzieć się, co wyczytał w umysłach rulli”.

W tej sprawie lekko nagiął prawdę, bo przecież z rozmów na Eristanie II wiedział, że ezwale nie mogą czytać w umysłach folii. Jednak nie była to najlepsza chwila na prezentowanie niepomyślnych informacji.

Dodał jeszcze: „Należy również zaznaczyć, że potrzeba byłoby miesięcy, a może nawet lat, by znów zdarzył się taki zbieg okoliczności, dzieją któremu wpadłby nam w ręce młody, dobrze usposobiony wobec nas ezwal. Zwracam uwagę, że nasze przyszłe stosunki z tą rasą zależą od tego, jak obecnie potraktujemy przebywającego wśród nas ezwala. Jeżeli kiedykolwiek dowiedzą się, że zabiliśmy dziecko z ich rasy, wiedząc to, co już o nich wiemy, stracimy wszelkie szansę na nawiązanie z nimi przyjaznych stosunków”.

Wysłał kopie swojej repliki, gdzie tylko mógł. A ponieważ nadal sprawował opiekę nad ezwalem, na wszelki wypadek przeniósł go w inne miejsce, aby, jak napisał w raporcie: „Mieć całkowitą pewność, że ezwal nie będzie miał żadnej styczności z osobami posiadającymi jakiegokolwiek ważne

informacje".

Teraz, spokojny, że ezwał nie zostanie zabity na skutek czyjejś nieprzemyślanej decyzji powziętej bez jego wiedzy, czekał na następne odpowiedzi na swój raport.

Przed końcem popołudnia przyszło ich całkiem sporo, ale oprócz jednej, były to zwykłe potwierdzenia odbioru. Natomiast w tej jedynej odpowiedzi, w której napisano coś więcej, przeczytał: „Dobry Boże, człowieku, czy to znaczy, że potwór, którego nam pokazałeś, jest tylko dzieckiem?”.

Potem nikt już nie nalegał, by zabić ezwał, czy to dla przyczyn prawnych, czy też wojskowych.

Minął tydzień.

Rano tego dnia Jamieson otrzymał wiadomość ze służb komputerowych: „W związku z pana prośbą z 10 bm. informujemy, że dysponujemy pewnymi informacjami dotyczącymi nazw ras, z którymi nie udało się nawiązać kontaktu”.

Jamieson zadzwonił do Kaleba Carsona i umówił się z nim na obiad. Potem mieli iść do działu komputerowego.

Carson był wysokim, chudym mężczyzną o zapadniętych policzkach. Bardzo przypominał swojego dziadka, sławnego odkrywcę. Wydawało się, że cały czas powściąga podniecenie, zupełnie jakby znał jakieś tajemnice, a ze smutnego doświadczenia wiedział, że nie może się nimi z nikim podzielić.

Siedząc w „Mesie”, słynnej restauracji zarezerwowanej dla elity urzędniczej, Jamieson wyjaśnił Carsonowi, po co chciał się z nim spotkać:

- Mam zamiar polecieć z ezwałem na jedną z niezbadanych planet. Chcę przynajmniej raz spróbować, czy uda mi się go wykorzystać do nawiązania kontaktu. Polem przekażę go tobie.

Kaleb Carson wykrzyknął entuzjastycznie:

- Och, bardzo panu dziękuję. Daje mi pan możliwość otworzenia planet na współpracę z naszą cywilizacją galaktyczną. Nigdy jeszcze nie miałem tak odpowiedzialnego zadania.

Jamieson pokiwał głową, ale milczał. Pamiętał własne uczucia, lata temu, gdy on sam został awansowany na stanowisko, *m* którym ponosił pełną odpowiedzialność za swoje działania wobec innych planet. Trochę go zasmuciło, że osiągnął już wiek, kiedy może nadawać innym ludziom taką władzę.

... Władzę rekwirowania statków kosmicznych... podpisywania traktatów obowiązujących całą Ziemię... władzę...

Pamiętał, jakie wrażenie wywierali na nim ludzie, którzy mu ją nadali. Wydawali mu się tacy starzy. Czy on też się już tak zestarzał? Do tej pory nie przywiązywał wagi do upływu czasu.

Zaczęli dyskutować o szczegółach misji i o tym, jaką swobodę należy zostawić ezwałowi dla jego własnego dobra, ale i dla dobra ogólnego. Skończyli obiad, jeszcze raz spojrzeli na okręt, wznoszący się wysoko nad przezroczystymi ścianami restauracji, i wyszli.

- Myśli pan, że oni naprawdę chcą lecieć tym okrętem na rodzinną planetę raili? - spytał Carson.

Po minie Jamiesona poznał, że powiedział coś niewłaściwego. Westchnął.

- No dobrze, zajdźmy na najbliższy posterunek straży i upewnijmy się, że nie jestem roilem.

Jamieson zgodził się i dodał poważnie:

- A gdy już tam będziemy, sprawdzimy również mnie.

Podali się dokładnemu badaniu i wkrótce zostali uznani za wolnych od podejrzeń, chociaż -jak pomyślał Jamieson - tylko w tej chwili.

Na planecie rojącej się od szpiegów rulli, którzy w każdej chwili mogli przybrać ludzką postać, taki sprawdzian dawał pewność tylko na bardzo krótko. Jedno niezręczne zdanie, jeden niewłaściwy gest, i znów należało poddać się testowi.

Właściwie wystarczyło dotknąć podejrzaną osobę, by przekonać się, kim jest naprawdę. Ale ponieważ tylko niewielu ludzi potrafiło wyjść cało ze spotkania z milami, zalecano natychmiast informować straż o każdym podejrzeniu. Propozycja Carsona, że pójdzie się zbadać, stanowiła prawie pewny dowód jego człowieczeństwa; jednak sprawdzian był konieczny.

Gdy szli już do działu komputerowego, Carson odezwał się żywo:

- Skoro przynajmniej w tej chwili mogę mówić swobodnie, chciałbym zapytać, na jakiej podstawie komputer wybiera „obce” rasy?

- Przede wszystkim kieruje się ich prawdziwą i czystą „obcością” - odparł Jamieson bez wahania. - Oprócz tego bierze pod uwagę cechy szczególne, które mogłyby być użyteczne w wojnie z milami. Chciałbym wypróbować zdolności telepatyczne ewaluacja w warunkach ekstremalnych. Do tej pory ponieśliśmy tylko jedną porażkę.

Powiedział Carsonowi, że ewaluacja nie potrafią czytać w umysłach rulli.

- Ponieważ jednak istnieje możliwość, że pochodzą oni z innej galaktyki, jestem prawie pewny, iż ewaluacja w naszej galaktyce zdoła się porozumieć ze wszystkimi formami inteligentnego życia.

I rzeczywiście, nie było dowodów przeciw takiej hipotezie. Człowiek poznał miliony danych dotyczących życia i wiedział, jak ono funkcjonuje. Tyle że nikt nie zdołał wyjaśnić, czym życie jest naprawdę i dlaczego pozostaje tajemnicą. Tajemnicą coraz bardziej niezrozumiałą w miarę, jak ogrom wszechświata objawiał się ludziom lecącym na statkach coraz dalej, a pragnącym polecieć w niezmiernie i na pozór nieskończone głębiny kontinuum. Mierząc się z takim wszechświatem, ludzie mogli najwyżej wysuwać przypuszczenia bazujące na już zdobytej wiedzy. Jednak Jamiesonowi zdawało się, że dowiedział się o życiu rzeczy, które świadczyły o prawdziwości jego hipotezy.

- Myślał pan o jakiejś szczególnej rasie? - spytał Carson.

- Nie. Wprowadziłem tylko informację o moich wymaganiach do komputera i jemu pozostawiam decyzję.

Przez resztę drogi milczeli. Gdy weszli do budynku, technik zaprowadził ich do małej salki i wkrótce potem rozległ się klekot teleksu. Jamieson przeczytał pierwsze zdanie i aż zagwizdał ze zdumienia.

- Sam powinienem był o tym pomyśleć - powiedział. - Plojanie, oczywiście. Kto inny tak dokładnie odpowiadałby moim potrzebom?

- Plojanie! - wykrzyknął Carson, unosząc brwi. - Czy to nie jest tylko mit? Przecież nawet nie wiemy na pewno, że ta rasa w ogóle istnieje.

Jamieson był w doskonałym humorze.

- Rzeczywiście, nie wiemy. Ale teraz jest najlepsza chwila, by to sprawdzić.

Ogarnęło go niezwykle podniecenie. Nie pomyślał o Plojanach. To dopiero będzie wyzwanie dla ewaluacja, a także dla niego samego. Uzyska okazję udowodnienia swojej hipotezy o pokrewieństwie ras zrodzonych przez tę samą galaktykę.

Specjalnie zaprojektowana szalupa opuściła służbę krążownika i zaczęła skosem obniżać lot, by wylądować na planecie o nazwie Ploja. Jamieson pozostawił silniki na biegu i tylko w miarę potrzeby hamował.

Gdy szalupa weszła w górne, gęste warstwy atmosfery, uważnie obserwował wskaźniki temperatury i szybkości, hamując coraz bardziej. Z radością zobaczył, że nagrzewa się jedynie zewnętrzny kadłub.

Dzięki automatycznym przyrządom elektrycznym i elektronicznym szalupa zniżyła się równomiernie. Na wysokości sześćdziesięciu kilometrów nad powierzchnią planety, schodząc teraz z szybkością tysiąca pięciuset metrów na minutę, Jamieson zwolnił do niecałych pięćdziesięciu

kilometrów na godzinę. Właśnie wyrównywał lot w poziomie, gdy zapalił się wskaźnik ciśnienia w śluzie. Śluza otworzyła się i zamknęła.

Jamieson niespokojnie czekał, co się dalej stanie.

Nagle zauważył na pulpicie sterowniczym, że napływa jakaś energia. Szalupa natychmiast zaczęła się kołysać na wszystkie strony, jakby została pozbawiona steru, a szybkość schodzenia znacznie się zwiększyła.

Jamieson rzucił się do sterów, ale szalupa nie odzyskiwała stabilności, a on nie mógł nic na to poradzić. Wszystkie elektroniczne instrumenty odmówiły posłuszeństwa.

Zdenerwowany, choć jeszcze bez paniki, wcisnął się w fotel i czekał. Przewidział, że może się tak stać, a teraz, skoro jego przewidywania się spełniły, nie pozostało mu nic innego, jak pozwolić temu czemuś, co opanowało szalupę, działać po swojemu.

„To” uzyskało, co chciało, gdy szalupa znalazła się na wysokości sześciu i pół kilometra nad zieloną powierzchnią planety. Na pokładzie jedna z maszyn, działająca na innej zasadzie niż elektryczność, zareagowała na zmianę ciśnienia i odłączyła całe zasilanie elektryczne. Inne urządzenia, wyłącznie mechaniczne, zostały wprawione w działanie przez strumień powietrza opływający swobodnie spadającą szalupę. Śluza zamknęła się mechanicznie. Silniki podjęły pracę i szalupa z powrotem wabiła się w górę jedynie na napędzie mechanicznym.

Pędziła w pustkę jak pocisk. Jamieson obserwował jej trasę na ekranach swoich radarów. Trudno mu było stwierdzić, czy „to” rozwiązało problem otworzenia śluzy bez pomocy urządzeń elektrycznych. Jednak sądził, że raczej nie. Tak więc złapał Plojanina.

Tylko jedna ekspedycja ziemską wylądowała na Piór, jakieś sto lat temu, i natychmiast znalazła się w samym sercu koszmaru. We wszystkim, co było zrobione z metalu: podłogach, grodziach, meblach, urządzeniach, zaczął nagle płynąć prąd. Z naukowego punktu widzenia było to zjawisko zupełnie niezwykle.

Załogą stanowili ludzie dobrze wyszkoleni i o dużym doświadczeniu. Mimo to w pierwszej chwili od porażenia zginęło osiemdziesiąt jeden osób.

Ze stu czterdziestu, które akurat w tamtym momencie nie dotykały metalu, jedynie dwadzieścia dwie nie od razu zrozumiały, że chodzi tu o zjawiska elektryczne. Pochowano ich razem z pierwszą nieszczęsną grupą w okrytej zielenią ziemi tej dziewiczej planety.

Ci, którzy przeżyli, usiłowali za wszelką cenę odzyskać kontrolę nad okrętem. Całkowicie odcięli zasilanie elektryczne. Uważając, że na pokład dostała się jakaś forma życia, rozpylaczami ze środkiem chemicznym zdezynfekowali cały okręt. Gdy już nasycili nim wszystkie pomieszczenia, z powrotem włączyli zasilanie. Chwilę później prąd znowu płynął przez metalowe powierzchnie. Wypróbowali wszystkie chemikalia, jakie mieli, ale bez skutku. Odważnie wylądowali na planecie, podłączyli węże strażackie do źródła wody i spryskali okręt w środku i na zewnątrz. Każdy centymetr sześcienny został zlaný wodą pod ciśnieniem.

Ta metoda też nie przyniosła spodziewanych efektów. „To”, co dostało się na pokład, potrafiło zaobserwować, w jaki sposób włączają i wyłączają prądnice. Podczas któregoś z okresów odpoczynku, gdy połowa załogi niespokojnie drzemała, w jednej chwili włączyły się wszystkie urządzenia elektryczne. By odzyskać kontrolę nad sytuacją, ludzie musieli po prostu przeciąć kable.

Następnie za pomocą luster skontaktowali się z drugim okrętem, który okrążał planetę na wysokiej orbicie. Stamtąd przekazano unieruchomionym i na pół oszalałym ze strachu ludziom z nieszczęsnej wyprawy analizę sytuacji, która potwierdzała ich własne obserwacje.

- Nie wydaje się, by te obce istoty - powiedziano im - świadomie zabijały ludzi. Śmierć członków załogi spowodowana jest tym, że przez przypadek obcy włączyli się w układy elektryczne okrętu. Tak

więc uważamy, że można badać tę formę życia, prowokując rozmaite kombinacje zjawisk elektrycznych i obserwując reakcję obcych. Opracujemy odpowiednie urządzenia i zrzucimy je wam na spadochronach.

Ekspedycja podjęła badania naukowe. Przez sześć miesięcy analizowano przejawy tego dziwnego zjawiska. Jednak końcowy wynik wcale nie okazał się zadowalający, ponieważ ani na chwilę nie zdołano nawiązać bezpośredniego kontaktu, a nawet nie udowodniono z całą pewnością, że planetę rzeczywiście zamieszkuje tego rodzaju forma życia.

Gdy pół roku badań dobiegło końca, orbitujący krążownik zrzucił na spadochronach kilkanaście rakiet starego typu, już od dawna przestarzałych, w których stosowano zapłon mechaniczny zamiast elektrycznego, dzięki czemu uratowano tych członków pierwszej ekspedycji na Ploję, którym udało się przeżyć.

Jamieson rozmyślał o tym wszystkim, posługując się jednocześnie wiązkami prowadzącymi, by przyciągnąć szalupę do służby swojego krążownika. Po krótkiej chwili wielki okręt przemierzał już przestrzeń międzygwiazdną.

Na razie nie można było podjąć żadnych zdecydowanych działań, Ezwal zasygnalizował obecność innego „umysłu”, ale jedynymi uczuciami, jakie potrafił zidentyfikować, był żal i niepokój.

Jednak informacja, że na pokładzie „coś” się znajduje, przyniosła Jamiesonowi wielką ulgę. Pamiętając o doświadczeniach pierwszej wyprawy, obawiał się, że jego nadzieje spełzną na niczym. Wykrywając jakąś obcą obecność, ezwal już odegrał użyteczną rolę.

W odległości stu lat świetlnych od Ploi Jamieson odłączył całe zasilanie elektryczne napędu międzygwiazdznego. Potem on i ezwal wycofali się do pomieszczenia specjalnie wyposażonego na tę podróż, połączonego z główną częścią okrętu wyłącznie za pomocą urządzeń mechanicznych lub obsługiwanych ręcznie. Znajdowała się tam druga tablica kontrolna. Stąd, posługując się zainstalowanym do tego celu przyrządem mechanicznym, Jamieson otworzył śluzę, w której zostawił szalupę, by umożliwić Plojaninowi przedostanie się na pokład na wypadek, gdyby sobie tego życzył.

Ezwal natychmiast przekazał na swój szybki sposób:

- Widzę obrazy dochodzące z głównej sterowni. Chyba tworzą się pod sufitem. Wydaje mi się, że on próbuje rozeznac się w swoim położeniu.

W ten sposób sprawa została rozstrzygnięta. Można było czytać w umyśle Plojanina. To, co ezwal wyczytał, na pewno działało się naprawdę, Jamieson zachowałby się tak samo, gdyby znalazł się na obcym statku. Ostrożnie badałby swoje otoczenie.

- Teraz wchodzi do tablicy kontrolnej - oznajmił ezwal.

- Do tablicy? - zdziwił się Jamieson.

Okręt się zatrząsł, przyspieszył i obrał inny kurs. Ten niepotrzebny manewr nie zaniepokoił Jamiesona, ale dzięki wiedzy, jaką uzyskał o Plojaninie za pośrednictwem ezwala, w jego myślach powstał przerażający obraz tablicy kontrolnej, zniszczonej od krótkiego spięcia. Wyobraził sobie istotę nie mającą żadnego konkretnego kształtu, prześlizgującą się i pełną wśród płątaniny kabli, podczas gdy jej „ciało” służy jako przewodnik prądu, zmieniając wskazania instrumentów na tablicy.

W czasie gdy tak rozmyślał, lot okrętu ustabilizował się. Krążownik pomknął prosto przed siebie w nieznaną zakątek galaktyki.

Nadeszła kolejna uwaga ezwala:

- Wybrał już kierunek. Zamierza tak lecieć równie długo, jak my przedtem. Nie ma najmniejszego pojęcia o działaniu szybkich systemów napędowych.

Jamieson ze współczuciem pokiwał głową. Biedny Plojanin. Wpadł w pułapkę odległości, o jakiej jego rasa nigdy nie marzyła, a może nawet nie wiedziała, że może istnieć.

- Wy tłumacz mi, o jak wielkie dystanse chodzi - powiedział. - I objaśnij mi również, jaka jest różnica, między napędem międzygwiazdowym a tym, którym teraz lecimy.

- Próbowałem mu to wyjaśnić - odparł ezwał. - Ale on się tylko rozszłościł.

- Próbuj dalej - polecił spokojnie Jamieson. Trochę później odezwał się znowu:

- Efraim, powiedz mu też, że mamy urządzenie elektryczne, za pomocą którego on i ja możemy się porozumiewać, jeżeli tylko zechce nauczyć się je obsługiwać.

Gdy znów minął jakiś czas, poprosił jeszcze:

- Spytaj go, czym się żywi.

Dopiero na to pytanie ezwał udzielił odpowiedzi:

- Powiedział, że umiera, a my ponosimy za to winę.

Teraz już telepatyczna rozmowa trwała dalej. Dowiedzieli się, że Plojanie żywią się magnetyzmem swojej planety, który przetwarzają na pewien rodzaj energii.

Jednak skoro na krążowniku odcięto całe zasilanie elektryczne, zabrakło tu również strumienia magnetycznego, tworzonego zazwyczaj przez szpule i tworniki licznych silników elektrycznych, prądnice, przekładniki i magnetrony. Efraim wyczuł, że taka koncentracja magnetyzmu działałaby na Plojan jak narkotyk.

Jamieson zrozumiał wreszcie, dlaczego pierwsza ekspedycja poniosła takie straty. Po prostu Plojanie „upili się.” silnym strumieniem magnetycznym, jaki znaleźli na krążowniku.

Teraz już wiedział, co zrobić. Włączył niewielką turbinę gazową, która wprowadziła w ruch prądnicę, a ta z kolei dostarczyła prąd elektrycznemu silnikowi kompresora.

- Powiedz mu, żeby nie absorbował strumienia magnetycznego zbyt szybko, bo uszkodzi urządzenia - poprosił ezwała. W ten sposób „nakarmili” Plojanina, a potem Jamieson podjął:

- Teraz mu powiedz, że nie dostanie więcej pokarmu, póki nie zgodzi się rozmawiać ze mną za pomocą, tego aparatu, o którym mówiłem.

Po kilku godzinach Plojaninowi udało się zmodyfikować prąd elektryczny w taki sposób, by głośnik przekazywał jego mowę, dość niezrozumiałą i raczej gardłową. Angielski opanował jako tako w jeden dzień.

- Zastanawiam się - odezwał się Jamieson do ezwała, chociaż właściwie tylko głośno myślał - jaki współczynnik inteligencji ma ta istota, skoro tak szybko zdołała się nauczyć naszego języka.

Efraim nie mógł wypowiadać się bezpośrednio w tej sprawie, ponieważ on sam nie używał żadnego języka. Jednak stwierdził:

- Chyba wykorzystuje całe swoje pole energetyczne do magazynowania danych, a to pole rozciąga się tak daleko, jak .on sobie tego życzy.

Jamieson przyjął to do wiadomości, ale nie potrafił wyobrazić sobie tak ogromnego „układu nerwowego”.

- Spróbuję zrobić mieszczącą się w uchu miniaturkę aparatu, za pomocą którego się komunikujemy. Chciałbym móc się porozumiewać z nim tak łatwo, jak z tobą - powiedział ezwałowi.

Aparacik był wreszcie gotowy i Jamieson właśnie zamierzał go użyć, gdy otrzymał z Ziemi dwie wiadomości, które całkowicie zmieniły jego plany na najbliższą przyszłość.

Pierwszą nadesłał Kaleb Carson: „Zmiana polityki na Planecie Carsona umożliwia wprowadzenie programu edukacji ezwali bez czekania na zezwolenie Zgromadzenia Galaktycznego. Ta informacja została przysłana przez panią Whitman. Powiedziała że pan zrozumie, o co chodzi”.

- Był taki czas, kiedy pani Whitman i ja nie czuliśmy wobec siebie najmniejszej sympatii - skomentował cierpko Jamieson. - Ale to chyba już należy do przeszłości. I rzeczywiście rozumiem, o co jej chodzi.

Drugi przekaz nakazywał: „Proszę natychmiast lecieć na nowo odkrytą planetę w Rejonie 18, współrzędne 1-8-3-18-26-54-6. Rozkazuje się panu osobiście przeprowadzić tam rekonesans i jak najszybciej zdać raport. Podpisano: NDOK”.

Jamieson doskonale wiedział, dlaczego Naczelnny Dowódca Operacji Kosmicznych sam zajął się tą sprawą. „Rejon 18” stanowił nazwę kodową najbardziej wysuniętej do przodu „linii frontu” w wojnie z milami. Razem z Planetą Carsona i dwiema innymi, ten nowy świat tworzyłby kwadrat bastionów, skąd można by bronić Ziemi i tej części galaktyki, która należała do ludzi.

Cyfry, zarówno te, które oznaczały współrzędne, jak i dotyczące rejonu, podawały jedynie kod radiowy, potrzebny do przekazania mu lokalizacji nowej planety.

Jamieson natychmiast potwierdził przyjęcie obu wiadomości i zmienił swoje plany.

- Dołącz do mnie- poprosił Kaleba Carsona przez radio, podając mu nazwę planety, do której obaj mogli dolecieć mniej więcej w tym samym czasie. - Zostawię ci Efraima i ten krążownik. Polecisz na Planetę Carsona, gdzie zrobisz to, o czym mówiliśmy.

Dowódcy Operacji Kosmicznych przekazał następującą odpowiedź:

-Proszę przysłać mi krążownik do... -tu wymienił planetę, na której umówił się z Kalebem Carsonem. - I proszę spowodować, by zabrano na jego pokład moją osobistą szalupę.

To było jedyne właściwe rozwiązanie problemu Plojanina: musiał go zabrać ze sobą.

Potem Jamieson ciężko się napracował, by wyjaśnić Plojaninowi, że nie może on podejmować żadnych nieprzemyślanych działań.

- Jeżeli chcesz wrócić do domu - oświadczył mu - musisz ściśle wykonywać moje rozkazy.

Plojanin obiecał zwięźle, że będzie lojalny i zastosuje się do wymagań Jamiesona.

Kątem oka Trevor Jamieson spostrzegł inną szalupę kosmiczną. Siedział w zagłębieniu ziemi, jakieś dziesięć metrów od krawędzi wąwozu i pięć czy sześć metrów od własnej szalupy. Pochylał się nad notatnikiem i zapisywał swoje refleksje na temat planety Laertes III. Uznał, że planeta znajduje się tak blisko niewidzialnej linii demarkacyjnej oddzielającej sektory Galaktyki kontrolowane przez człowieka i sektory rulli, że fakt, iż ludzie odkryli tę planetę wcześniej niż rulle, jest sporym sukcesem wojennym.

Pisał: „Ponieważ z bazy na tej planecie okręty, czy to nasze, czy też rulli, mogą atakować wiele najgęściej zamieszkałych rejonów Galaktyki jednocześnie, należy natychmiast ją Zaanektować i przyznać jej absolutny priorytet, jeśli chodzi o dostawy uzbrojenia. Pierwsze jednostki obronne powinny zostać zainstalowane w miejscu, gdzie się obecnie znajduję, czyli na górze Monolitu, najpóźniej za trzy tygodnie...”

Właśnie wtedy spostrzegł szalupę. Leciąca dość wysoko, z jego lewej strony, kierując się w stronę płaskowzgórza. Zastygł, rozrywany dwoma sprzecznymi impulsami. Pierwszy, silniejszy, nakazywał mu ukryć się we własnej szalupie, ale zaraz ustąpił, gdy Jamieson zdał sobie sprawę, że każdy jego ruch będzie rejestrowany przez czujniki tamtego stateczku. Drugi impuls nakazywał mu tkwić nieruchomo w nadziei, że nie zostanie spostrzeżony,

Gdy tak siedział, pocąc się i nie umiejąc podjąć żadnej decyzji, zobaczył godło i wydłużony kształt tamtej szalupy. Dzięki sporej wiedzy o wszystkim, co dotyczyło rulli, od razu zaklasyfikował jednostkę jako statek zwiadowczy.

Statek zwiadowczy! To znaczy, że rulle odkryli układ Laertes.

Istniała przerażająca możliwość, że za tym stateczkiem zwiadowczym lecą całe eskadry okrętów bojowych. Tymczasem on był tu sam. Jego własna szalupa została wystrzelona z „Oriona” jakiś parsek od planety, a wielki krążownik leciał dalej na napędzie antygravitacyjnym, by nie zostawić śladu energetycznego, po którym mogliby tu trafić rulle, gdyby go śledzili. Następnie „Orion” miał się skierować do najbliższej bazy, wziąć ładunek uzbrojenia planetarnego i wrócić do układu Laertes. Jamieson spodziewał się go za dziesięć dni.

Dziesięć dni. Jamieson zazgrzytał zębami, skulił się i zacisnął rękę na notatniku. Już chciał wstać, ale pomyślał, że może jednak jego szalupa, częściowo ukryta w kępie drzew, nie zostanie spostrzeżona, jeżeli on sam się nie poruszy. Tak więc, całkowicie odsłonięty, został tam gdzie był. Podniósł głowę, rzucił wściekle spojrzenie obcemu statkowi i z całej duszy zapragnął, by tamten się oddalił. Gdy tak go obserwował, jeszcze raz z całą siłą uderzyła go myśl o konsekwencjach faktu, że rulle odkryli ten układ.

Teraz maszyna rulli znajdowała się już tylko o sto metrów i nadal nie zmieniała kierunku lotu. Za kilka sekund przeleci nad drzewami, wśród których stała jego szalupa.

Jamieson zerwał się, popędził do swojej maszyny i jednym susem dał nura w otwarty właz. W chwili, gdy właz zamykał się za nim, szalupą coś zatrzęsło, jakby uderzył w nią wielkolud. Część sufitu się zapadła, podłoga uniosła, rozgrzane nagle powietrze stało się duszące. Jamieson, ciężko dysząc, usiadł na fotelu pilota i wcisnął czerwony klawisz. Działka wycelowowały automatycznie i wysłały salwę. Klimatyzatory warczały, pracując na cały regulator, i Jamiesona owionął zimny powiew. Stało się to wszystko tak szybko, że musiała minąć dobra chwila, zanim zorientował się, że jądrowe silniki nie zaskoczyły, a szalupa, która już powinna znajdować się w powietrzu, nadal stoi nieruchomo.

Niespokojnie popatrzył na ekrany. Maszyna rulli była już nisko i powoli opadała za niewielki

lasek jakieś pół kilometra dalej. Zniknęła, a Jamieson przez zewnętrzny głośnik usłyszał odgłosy upadku, wyraźne i nie pozostawiające miejsca na wątpliwości.

Z ulgi aż osłabł. Wcisnął się w fotel, oszołomiony, że udało mu się uniknąć śmierci zaledwie o włos. Jednak nagle przeszła go niepokojąca myśl i słabość minęła jak ręką odjął. Maszyna rulli opadała zbyt spokojnie. Katastrofa nie zabiła jej załogi. A teraz on był tu sam, w uszkodzonej szalupie, na szczycie niedostępnej góry, i musiał stawić czoło jednej lub kilku najbardziej niehumanitarnym istotom, jakie kiedykolwiek istniały. Przyjdzie mu walczyć całe dziesięć dni w nadziei, że człowiek jeszcze zdoła wyprzedzić wroga i zawładnąć najcenniejszą z planet odkrytych w ostatnim półwieczu.

Otworzył właz i wyszedł. Ciągle jeszcze drżał. Ale noc zapadała szybko i nie mógł sobie pozwolić na stratę czasu. Szybko wdrapał się na szczyt jednego z pagórków trzydzieści metrów dalej, ostatnie kilka metrów przebywając na czworakach. Ostrożnie rzucił okiem na drugą stronę. Okazało się, że widzi przeważającą część płaskowyżu. Był to skalisty, z grubsza owalny teren, porośnięty karłowatą roślinnością i kępami drzew, W najwęższym miejscu rozciągał się na jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów. Nie spostrzegł żadnego ruchu, żadnego znaku obecności statku rulli. Panowała tu absolutna cisza pustyni.

Słońce schowało się za krawędź wąwozu i prawie zapadła noc. Teraz przewaga była po stronie rulli, bo dzięki lepiej rozwiniętemu wzrokowi i innym zmysłom ciemność nie stanowiła dla nich żadnej przeszkody. Jamieson przez całą noc będzie musiał strzec się tych istot, których układ nerwowy we wszystkich swoich funkcjach był sprawniejszy niż jego własny. Być może górował nad nimi jedynie inteligencją. Tylko pod tym względem ludzie mogli pretendować do wyższości. To zwykłe porównanie uświadomiło mu, w jak rozpaczliwym położeniu się znajduje. Musiał dokonać czegoś, co wprawiłoby rulli w zaniepokojenie. Gdyby zdołał dojść do wraku ich maszyny i uszkodzić ją jeszcze poważniej, zanim zapadnie całkowita ciemność i zanim jej pasażerowie otrząsną się z szoku po katastrofie, być może stanowiłoby to o jego życiu lub śmierci.

Musiał podjąć to ryzyko. Szybko zszedł z pagórka i ruszył w kierunku statku rulli, starając się kryć za wyniosłościami terenu. Ziemia była usłana kamieniami i niewielkimi skałkami, pokręcone korzenie kryły się w trawie. Dwa razy upadł, za pierwszym razem kalecząc sobie rękę. Nigdy jeszcze nie próbował iść tak szybko w tak trudnym terenie. Po dziesięciu minutach zauważył, że uszedł zaledwie trzysta metrów. Zatrzymał się. Czym innym jest podejmowanie ryzyka, jeżeli w zamian uzyska się jakąś istotną przewagę, a czym innym lekkomyślne narażanie życia dla wątpliwych korzyści. Niepowodzenie jego zamysłu mogłoby doprowadzić nie tylko do jego własnej śmierci, lecz także do zagłady całej ludzkości.

Gdy tak stał, nie wiedząc, co robić dalej, zauważył, że robi się coraz zimniej. Od wschodu podniósł się lodowaty wiatr. O północy temperatura spadnie poniżej zera. Wrócił po swoich śladach. Zanim na dobre zapadnie noc, musi ustawić alarmy i urządzenia obronne, więc powinien się pośpieszyć. Godzinę później, gdy bezkسیężycowe niebo stało się już całkiem czarne, w napięciu usiadł przed ekranami. Czekala go długa noc; na pewno nie ośmieli się zasnąć.

Minęło parę godzin czuwania, gdy na panoramicznym ekranie zauważył jakiś ruch w najdalszym krańcu płaskowyżu. Z palcem na klawiszach uruchamiających działka czekał, aż rozpozna lepiej poruszający się obiekt. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Wstawał zimny świt, a on siedział, wyczerpany, lecz czujny, wypatrując wroga, który na pewno zachowywał się równie ostrożnie jak on sam. Nawet nie był już pewny, czy przedtem rzeczywiście coś zobaczył.

Zażył następną pigułkę przeciwsenną i zabrał się do dokładniejszych oględzin silników. Niestety, jego pierwsza diagnoza potwierdziła się bardzo szybko. Główne ogniwo antygravitacyjne całkowicie się wyładowało. Dopóki nie naładuje go z powrotem na „Orionie”, silniki będą

bezużyteczne. Odczuł przyływ determinacji. Tu, na tym płaskowyżu, musi stoczyć niebezpieczną walkę. Myśl, która mu chodziła po głowie przez całą noc, nabrała nowego znaczenia. Po raz pierwszy w historii rull i człowiek stali twarzą w twarz na ograniczonej przestrzeni, a żaden z nich nie był więźniem drugiego.

W kosmosie wielkie bitwy toczyły się między okrętami i flotami. Ci, co przeżyli, uciekali albo stawali się jeńcami wroga. Natomiast tutaj, jeżeli tylko nie zostanie zwyciężony, zanim zdoła się przygotować, będzie miał jedyną okazję, by trochę poeksperymentować na milach. Nie może tracić czasu. Musi wykorzystać każdą sekundę dnia.

Jamieson zapiął pasy z bronią i wyszedł z szalupy. Z minuty na minutę było coraz jaśniej. Rozejrzał się po otoczeniu, zbierając jednocześnie siły do walki. Doprawdy, powiedział sobie, wszystko rozegra się na najdziwniejszej górze, jaką kiedykolwiek widziano.

Góra Monolitu wyrastała z wielkiej równiny i wznosiła się stromo na wysokość dwóch tysięcy pięciuset metrów. Była to najbardziej majestatyczna kolumna znanego wszechświata i niewątpliwie można ją było wpisać na listę cudów natury Galaktyki.

Jamieson znał planety odległe od Ziemi o tysiące lat świetlnych; przebywał na okrętach, które z szybkością błyskawicy przenosiły się z wiecznych mroków w olśniewający blask słońc czerwonych, niebieskich, żółtych czy białych, pomarańczowych i fioletowych, tak wspaniałych, że żadna fantazja nie mogła dorównać rzeczywistości.

A teraz stał tu, na tej górze dominującej nad krajobrazem tak dalekiej od Ziemi planety Laertes III, samotny i zmuszony przez okoliczności do pojedynku na spryt z wybitnie inteligentnymi milami.

Ostro przywołał się do porządku. Już czas rozpocząć ofensywę, a także przekonać się, jakiej broni wróg może użyć przeciwko niemu. To będzie pierwszy etap i musi się postarać, by nie był zarazem ostatni.

Gdy blade sionce wstało nad horyzontem, atak już się rozpoczął. Automatyczne urządzenia obronne, które rozstawił wczoraj wieczorem, maszerowały powoli do przodu, kryjąc się za każdym wzniesieniem terenu. Za nimi przesuwano się ruchome działko. Upewnił się jeszcze, czy jeden z trzech automatów pilnuje mu pleców, i dopiero wtedy zaczął się czołgać od siady do skały. W rękę trzymał pudełeczko, którym zdalnie sterował swoimi automatami. Pudełeczko było połączone z ekranem w hełmie, na którym uważnie wypatrywał, czy nie poruszyły się wskazówki, co oznaczałoby wykrycie na płaskowyżu jakiegoś ruchu albo że automaty obronne wyemitowały energię.

Jednak nic się nie działo. Gdy dotarł już tak daleko, że widział wrak maszyny rulli, zatrzymał się, by rozważyć, co oznacza ten brak wszelkiej aktywności. Wcale mu się to nie podobało. Może wszyscy rulle zginęli? Jednak bardzo w to wątpił.

Niespokojnie obejrzał wrak za pomocą lunety jednego ze swoich automatów obronnych. Statek leżał w zagłębieniu gruntu, z dziobem ukrytym pod stertą kamieni. Górne płyty kadłuba były całkowicie zniszczone. Okazało się, że jedna jedyna salwa, wystrzelona wczoraj automatycznie przez działko jego szalupy, nieodwracalnie uszkodziła nieprzyjacielską maszynę.

Cały wrak sprawiał wrażenie absolutnej martwoty. Jeżeli był to podstęp, to bardzo udany. Na szczęście Jamieson miał sposoby, by przekonać się, czy ktoś przeżył, może nie absolutnie pewne, ale dość przekonujące.

Szczyt najdziwniejszej góry, jaką kiedykolwiek widziano, rozbrzmiał odgłosem strzału z ruchomego działka. Wycie narastało coraz mocniej w miarę, jak ogniwo rozgrzewało się do maksimum. Pod wpływem tego dźwięku kadłub wraku zaczął wibrować i lekko zmienił kolor, ale poza tym nic się nie stało. Po dziesięciu minutach Jamieson przerwał ostrzał i usiadł, nie uzyskawszy żadnych informacji.

Ekran obrony szalupy rulli funkcjonowały na pełny regulator. Czy to możliwe, że włączyły się automatycznie przed pierwszą salwą, którą szalupa Jamiesona wystrzeliła wczoraj? A może zostały włączone po to, by zablokować atak taki jak dzisiejszy? Jamieson nie mógł tego wiedzieć. I to właśnie najbardziej go martwiło: nie uzyskał pewności.

Rulle mogli leżeć martwi w swojej szalupie. Rulle czy jeden rull? Teraz już myślał raczej o jednym osobniku niż o licznej załodze, bo ostrożność okazywana przez wroga, o ile ten wróg w ogóle jeszcze żył - równie wielka jak jego własna - wskazywała na działanie samotnej istoty, która o własnych siłach musi poradzić sobie z nieznanym niebezpieczeństwem. Rull mógł być ranny i niezdolny do akcji. Mógł też spędzić noc na pokrywaniu terenu siecią hipnotyzujących linii - Jamieson powiedział sobie, że musi uważać i nigdy nie patrzeć prosto na ziemię - albo też mógł po prostu czekać na przybycie wielkiego okrętu, z którego wyleciał, by zbadać planetę,

Jamieson wolał nie myśleć o tej ostatniej możliwości, bo to oznaczałoby dla niego pewną śmierć. Marszcząc czoło, przyjrzał się zewnętrznym uszkodzeniom szalupy. O ile dobrze widział, ściany z metalu o wielkiej odporności pozostały całe, ale w spodzie kadłuba zobaczył przestrzelinę mierzącą od trzydziestu centymetrów do półtora metra w najszerszym miejscu. Do wnętrza musiała przeniknąć pewna doza promieniowania, ale czy doprowadziło to do jakichś zniszczeń? Jamieson widział dziesiątki pojmanych szalup zwiadowczych rulli. Jeżeli ta była do nich podobna, to z przodu musiała się znajdować sterówka i hermetyczny przedział na działka. Natomiast z tyłu był przedział motorowy, a także dwie śluzy: jedną dostarczano paliwo i broń, drugą zapasy żywności i...

Żywność! Jamieson aż podskoczył, gdy zdał sobie sprawę, że przedział, w którym ją magazynowano, został zniszczony najbardziej.

Z całą pewnością... z całą pewnością cała żywność jest napromieniowana, niezdatna do spożycia, przez co rull, ze swoim szybkim metabolizmem, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Jamiesonowi powróciła nadzieja. Już odwrócił się, by wracać do swojej szalupy, gdy przypadkowo jego wzrok padł na skałę, za którą się cował. Zobaczył skomplikowany układ linii, bazujący na głębokiej znajomości ludzkiego układu nerwowego. Rozpoznał je i wzdrygnął się z przerażenia. Dokąd mnie wysyłają? - spytał się w myślach.

Po jego powrocie z Miry 23, dzięki raportowi, w którym wyjaśniał, w jaki sposób został zahipnotyzowany, odkryto, że sieć linii powodowała przemieszczenie się w przestrzeni i wysyłała człowieka... winne miejsce. Tutaj, na tej fantastycznej górze, można go było wysłać najwyżej na jedno z jej zboczy. Ale na które?

Zaczaj rozpaczliwie walczyć o zachowanie przytomności przynajmniej przez kilka sekund. Usiłował jeszcze raz spojrzeć na linie. I nagle zobaczył pięć poziomych, drgających kresek, a nad nimi trzy inne, których końce rozbłyskiwały wskazując na wschód. Narastał w nim nieodparty impuls, ale z całej siły próbował zachować kontrolę nad myślami i przypomnieć sobie, czy w pobliżu szczytu na wschodnim zboczu są jakieś większe półki skalne. Owszem, były - przypomniał to sobie w ostatnim przyływie świadomości. Tam, pomyślał z determinacją. Na tamtą półkę. Na tamtą! Mam spaść właśnie tam! Usiłował zachować w pamięci wygląd tej półki i w nieskończoność powtarzał sobie bezgłośnie rozkaz, który może uratuje mu życie. Jego ostatnią rozgorączkowaną myślą było to, że zna już odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Rull żyje. I wtedy ciemność opadła na niego jak czarna kurtyna.

Ze swojej dalekiej galaktyki przybył władca władców, zimny, bezlitosny *yeli*, Meesh, Iin z Rii, szlachetny Aaish Yeelu... i tak dalej, i tak dalej; listę jego tytułów można by wymieniać w nieskończoność. Ach, jaką on miał moc, jaką władzę nad życiem i nad śmiercią, a także nad armadą wielkich okrętów.

Przybył w nieopanowej złości, by znaleźć przyczynę niepowodzeń. 'Wiele lat temu wydał rozkaz: rozciągnąć nasze imperium na drugą galaktykę. Dlaczego ci- którzy- nie- mogą- być- już- bardziej- doskonaleni tak powoli wypełniali jego polecenie? Czym charakteryzowały się te dwunożne stworzenia, które dzięki swoim niezliczonym okrętom, niedostępnym bazom kosmicznym i licznym sojusznikom doprowadzili do załamania ofensywy tych-którzy-mają-najwspanialszy-układ-nerwowy-w-całym-wszech-świecie?

- Przeprowadzić mi istotę ludzką!

Rozkaz rozbrzmiał nawet w najdalszym zakątkach przestrzeni Ria. Pojmano rozbitka z ziemskiego okrętu, niskiego rangą nawigatora o ilorazie inteligencji dziewięćdziesiąt sześć i współczynniku strachu dwieście siedem. Ta istota dokonała pewnych wysiłków, by popełnić samobójstwo; skręcała się na stołach laboratoryjnych i w końcu udało jej się uciec w śmierć, gdy uczeni zaledwie zaczęli eksperymenty, jakie on nakazał wykonać w swojej własnej obecności.

- To nie może być nasz wróg.

- Panie, żywcem chwytniemy ich tak niewielu. Wydaje się, że tak samo jak my uwarunkowaliśmy naszych, oni uwarunkowali swoich, by się zabijali, gdy wpadną do niewoli.

- Chyba środowisko jest nieodpowiednie. Musimy zorganizować wszystko tak, by jeniec nie wiedział, że jest jeńcem. Gzy jest to możliwe?

- Zbadamy to zagadnienie.

Przybył we własnej osobie do układu gwiazdowego, w którym siedem okresów temu zaobserwowano obecność człowieka. Osobiście poprowadzi eksperyment. Człowiek znajdował się w niewielkim stateczku, który, zgodnie z raportami, „nagle został wyrzucony z podprzestrzeni i zaczął opadać na słońce. Fakt, że nie korzystał z żadnego rodzaju energii, obudził podejrzenia dowódcy naszego krążownika obserwacyjnego, który inaczej nie zwróciłby uwagi na tak niewielki statek. Właśnie dzięki temu mamy obecnie idealną okazję do przeprowadzenia eksperymentu”.

„Zgodnie z instrukcjami Waszej Wysokości - kontynuował raport - aż do tej pory nie dokonaliśmy żadnego lądowania. I, o ile nam wiadomo, wróg nie podejrzewa naszej obecności. Można przypuszczać, że już przedtem ludzie przebywali na trzeciej planecie, ponieważ ten nowy człowiek bardzo szybko obrał wierzchołek tej dziwnej góry za swoją kwaterę. Jego pozycja będzie doskonała dla naszych celów”.

Bojowa eskadra patrolowała przestrzeń wokół wspomnianego słońca, a *yeli* poleciał małą maszyną na planetę. Zanadto zlekceważył przeciwnika. Nadleciał znad gór i wystrzelił salwę, uziemiacząc szalupę człowieka, jednak wtedy jednostka, którą uważał już za niezdolną do walki, odpowiedziała silnym ogniem, strącając jego statek na powierzchnię, planety. O mało nie zginął, gdy maszyna roztrzaskiwała się o ziemię. Poczłogał się do sterówki w stanie szoku, lecz żywy. Niespokojnie oszacował uszkodzenia. Przed udaniem się na planetę wydał rozkaz, by nikt tu po niego nie przylatywał, póki tego nie zażąda. Ale teraz nie mógł już uzyskać połączenia. Nadajnik radiowy był rozbity i na pewno nie zdoła go naprawić. Jeszcze bardziej się przeraził, widząc, że cały zapas żywności został skażony.

Szybko podjął decyzję. Eksperyment zostanie przeprowadzony do końca, chociaż z jednym

ograniczeniem: gdy już absolutnie będzie musiał się pożywić, zabije człowieka. On, *yeli*, przeżyje dzięki temu do chwili, gdy kapitanowie okrętów się zaniepokoją i przylecą sprawdzić, co się stało.

Część nocy poświęcił na zbadanie terenu. Potem obszedł pole energetyczne chroniące człowieka, obejrzał jego szalupę i spróbował odgadnąć, jakie środki ataku tamten mógł zainstalować. W końcu, z niezmierną cierpliwością, sprawdził drogi dostępu do własnej maszyny. W kluczowych miejscach wyrysował sieć linii- które- mogą- zawładnąć- umysłem- człowieka. Trochę po wschodzie słońca z zadowoleniem zobaczył, że wróg został pochwycony i wysłany. Jednak jego zadowolenie było niepełne, bo nie mógł wykorzystać sytuacji tak, jakby chciał. Trudność polegała na tym, że ruchome działko człowieka nadal celowało w główną śluzę jego stateczku. Nie emitowało energii, ale Rull nie wątpił, że wystrzeliłoby natychmiast, gdyby tylko spróbował otworzyć właz.

Jednak gdy chciał wyjść przez śluzę ratunkową, spostrzegł, że właz jest zakleszczony. A przecież po katastrofie wszystko było w porządku. Z przezornością właściwą swojej rasie sprawdził to natychmiast po tym, jak stateczek się rozbił. Wtedy śluz się otwierała. Odgadł, że jego statek musiał się w nocy obsunąć. Zresztą przyczyna nie miała żadnego znaczenia. Ważne było to, że został uwięziony, a chciał znaleźć się na zewnątrz - chociaż nie po to, by od razu zabić człowieka. Jeżeli uwięzienie go spowoduje, że on sam zdobędzie zapas żywności, nie warto się fatygować zabijaniem. Jednak musiał podjąć decyzję już teraz, gdy człowiek jeszcze jest bezbronny. Możliwość, że *elled*, „wysyłając” człowieka, jednocześnie doprowadził do jego śmierci, zdenerwowała władcę mili. Nie lubił, gdy jakieś przypadkowe zdarzenie krzyżowało mu plany.

Od początku cała ta sprawa szła źle. Znajdował się we władzy sił, nad którymi nie panował, wpadł w pułapkę elementów czasu i przestrzeni, o których teoretycznie wiedział, że mogą istnieć, ale nigdy nie sądził, że wpłyną również na jego położenie.

Nie miał nic przeciwko temu, by siły takie działały w głębinach kosmosu, gdzie jego okręty walczyły o rozszerzenie granic imperium tych- którzy- są- doskonali. Tam żyły dziwne stworzenia, spłodzone przez Naturę, zanim został ostatecznie doprowadzony do perfekcji najwspanialszy układ nerwowy we wszechświecie. I wszystkie te stworzenia należało wybić, bo teraz były już zbędne, a, egzystując nadal, mogłyby przez przypadek stać się czynnikami naruszającymi równowagę życiową Rulli, podczas gdy zasady cywilizacji Ria wykluczały wszelką przypadkowość.

Rull wyrzucił z umysłu te deprymujące myśli. Postanowił nie otwierać włazu śluzy ratunkowej. Zamiast tego wymierzył miotaczem w szczelinę w metalowej podłodze. Musiał potem przejść do bezpiecznego przedziału i czekać tam, dopóki pompy nie pochłonęły wirujących w powietrzu radioaktywnych cząsteczek i nie wtoczyły ich do specjalnego pojemnika. Brak drzwi działających jak wentyl bezpieczeństwa utrudniał robotę. Wiele razy, gdy stawało się tak gorąco, że aż wibrowały mu wszystkie nerwy, co było lepszym sygnałem alarmu niż wskazania instrumentów, musiał przerywać pracę i czekać w bezpiecznym przedziale, aż powietrze zostanie znów oczyszczone.

Minęło południe, zanim metalowa płyta wreszcie puściła, ukazując litą skałę. Przebicie przejścia na powierzchnię nie stanowiło większej trudności, ale wymagało czasu i fizycznej pracy. Rull, zakurzony, wściekły i głodny, wyszedł wreszcie na zewnątrz w pobliżu kępy drzew, przy której rozbił się jego statek.

Stwierdził, że przeprowadzenie eksperymentu, który planował, jakoś przestało go interesować. Miał w sobie sporo uporów i wytrwałości, ale wolałby prowadzić badania w bardziej cywilizowanym otoczeniu. Nie warto więc podejmować ryzyka pozostawać dłużej w tak nieprzyjemnym położeniu. Zabije człowieka i dokona w jego ciele modyfikacji chemicznych, żeby móc się nim żywić, dopóki nie przylecą po niego krążowniki.

Głód dokuczał mu coraz bardziej. Przeszukał wschodnie, poszarpane zbocze góry, zbadał każdą

skalną półkę. Czołgając się, obszedł całą górę dookoła. Nie odkrył nic, co dawałoby mu jakąkolwiek pewność. W jednym czy dwóch miejscach zauważył jakby ślady czyjegoś przejścia, ale gdy zbadał je z bliska, nie zdołał ustalić, czy ktoś rzeczywiście tędy szedł. Naprawdę zdenerwowany, poczołgał się w kierunku szalupy człowieka i przyjrzał się jej, zachowując rozsądny dystans. Ekran obronny był wzniesiony, ale nie mógł mieć pewności, czy w ogóle zostały włączone, czy też może włączały się automatycznie, gdy do szalupy podchodził intruz. Ta niewiedza była niebezpieczna. Krajobraz wokół niego był tak dziki i jałowy, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Człowiek mógł już dawno umrzeć, a jego ciało leżeć gdzieś u podnóża góry. Mógł też znajdować się w szalupie, ciężko ranny. Niestety, miał czas na powrót i schronienie się w swojej maszynie. Mógł też, cały i zdrowy, obserwować uważnie otoczenie, świadomy, że jego przeciwnik nie wie, jakie kroki teraz podjąć, i wykorzystać to w całej pełni.

Rull zainstalował urządzenie obserwacyjne, które uprzedziłoby go w razie, gdyby w szalupie otworzył się właz. Potem wrócił do dziury prowadzącej do jego Własnego statku, z trudem się przez nią przeczołgał i usiadł na fotelu, by czekać na rozwój wydarzeń. Głód dręczył go coraz bardziej. Teraz już nie powinien się ruszać, lecz gromadzić całą energię, by w odpowiednim momencie stawić czoło sytuacji, i tak zaczął mijać dzień za dniem.

Gdy Jamieson trochę oprzytomniał, bolało go wszystko, całe ciało miał skąpane w pocie. Potem w półśnie uznał, że boli go tylko dolna część lewej nogi. Ból pulsował rytmicznie. Minuty mijały powoli i wreszcie po jakiejś godzinie stwierdził obojętnie: „Ach, to tylko zwichnięcie kostki”. Oczywiście doznał o wiele więcej szkód, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Hipnotyczny impuls, który go tu wysiał, częściowo odebrał mu energię życiową. Leżał spokojnie, nie licząc czasu. Gdy w końcu otworzył oczy, słońce ciągle jeszcze świeciło, ale znajdowało się już na prawo od niego.

Patrzył na nie beznamiętnie, jak człowiek, który we śnie idzie na skraj przepaści. Dopiero gdy po twarzy przesunął mu się cień rzucany przez wierzchołek góry, wzdrygnął się i oprzytomniał. Do jego otumanionego umysłu dotarło zrozumienie, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Potrzebował dobrej chwili, by z jego organizmu uleciały pozostałości hipnozy wywołanej siatką linii. Przez ten czas, oceniał, choć niezbyt dokładnie, swoje położenie. Ponieważ był już całkiem przytomny, spostrzegł, że spadł przez krawędź stoku i leży teraz na bardzo stromym zboczu.

Uratował się tylko dzięki temu, że wpadł w zarośla, chociaż skręcił sobie nogę właśnie dlatego, że zaczepiła się o krzaki.

Odzyskał nadzieję, kiedy uświadomił sobie w końcu, co mu naprawdę dolega. Był bezpieczny. Mimo że uległ hipnotycznej sieci rulli, zdołał się skoncentrować na tyle, by opaść na skalną półkę. Zaczął się wspinać. Było to dość łatwe, chociaż półka okazała się nierówna, skalista i zarośnięta. Dopiero gdy dotarł do krawędzi klifu, odległej o trzy metry, skręcona kostka prawdziwie dała mu się we znaki. Cztery razy ześlizgiwał się w dół. Przy piątej próbie zdołał złapać mocny korzeń. Z triumfem wpełzł na płaskowyż. Tu był bezpieczny.

Teraz, gdy ustał hałas, jaki robił podczas swojej mozolnej wspinaczki, tylko jego ciężki oddech rozpraszał ciszę tego samotnego miejsca. Jak okiem sięgnąć rozpościerał się przed nim martwy płaskowyż. Stąd, gdzie był, widział swoją szalupę. Zaczął się do niej czołgać, w miarę możliwości kryjąc się za krzakami. Nie wiedział, co się stało z roilem. Ale skoro on z powodu chorej kostki musi kilka dni przesiedzieć spokojnie w swojej maszynie, lepiej, by przeciwnik również czuł się niepewny.

Gdy w nocy siedział już bezpiecznie w szalupie, usłyszał szept:

- Kiedy wrócimy do domu? Kiedy najem się do syta?

To był Plojanin. Ta istota marzyła tylko o tym, by znów znaleźć się aa swojej rodzinnej planecie.

Jamieson zdusił poczucie winy, bo przecież całkowicie o nim zapomniał.

Karmiąc go, zastanawiał się, i to nie po raz pierwszy, jak wyjaśnić temu obcemu umysłowi, o co walczą ludzie i miłę,,

- Nie obawiaj się - powiedział na głos. - Zostaniesz ze mną, póki nie zdołam odwieźć cię domu.

Te słowa, a także pokarm, chyba zadowolili Plojanina.

Jamieson przez chwilę miał ochotę wykorzystać swojego gościa przeciw rullom. Jednak szczególne właściwości tej istoty chyba na nic mu się nie przydadzą. Poza tym lepiej było nie dawać wygłodniałemu rullovi do zrozumienia, że jego ludzki przeciwnik ma sposób na wyłączenie całej instalacji elektrycznej jego statku.

Jamieson leżał na koi i rozmyślał nad swoim położeniem. Było J tak cicho, że słyszał bicie własnego serca. Tylko raz rozległy się jakieś trzaski i wtedy z trudem zwłóknął się z posłania. Sprawdził radio - milczało, nie słychać było nawet szumów. Przejechał po skali, szukając częstotliwości, na jakich porozumiewają się rulle. Nic. Co prawda, gdyby znajdowali się w pobliżu, raczej zachowywaliby ciszę radiową. A on siedział w swojej małej szalupie z zepsutymi silnikami, na nie zamieszkanym planecie, odcięty od wszystkiego. Starał się odegnąć te myśli. Oto, powiedział sobie, mam teraz okazję, jakiej nie miał jeszcze żaden człowiek, by dokonać eksperymentu. Poczuł, że ten pomysł przyciąga go tak, jak światło przyciąga ćmy. Właściwie pojmanie żywego miła było prawie niemożliwe, ale on znalazł się w idealnej sytuacji, bo obaj byli więźniami. Właśnie w ten sposób starał się to sobie przedstawić. Obaj są więźniami tej planety, a przez to, w jakiś pokrętny sposób, również nawzajem swoimi więźniami.

Jamieson zastanawiał się intensywnie nad sposobami rozegrania walki między nim, przedstawicielem ludzkości, a rulle tu, na tej samotnej górze. Leżąc na koi, analizował jedną możliwość po drugiej. W ciągu tych nie kończących się dni były chwile, kiedy włóknął się do fotela pilota i godzinami obserwował ekrany. Widział płaskowyż i horyzont, widział niebo Laertes III o bladej barwie orchidei, milczące i puste. Widział swoje więzienie. Jestem tu unieruchomiony, mówił sobie z niepokojem. Trevor Jamieson, którego głos rozbrzmiewał władczo w galaktycznych radach naukowych i radach ziemskich, teraz sam, leżąc na koi, czekał, aż wyleczy mu się skręcona noga, by podjąć eksperyment na rullu. Wprost trudno mu było w to uwierzyć.

Trzeciego dnia czuł się już na tyle dobrze, by zacząć trochę chodzić. Natychmiast zasiadł przed ekranami i wziął się do roboty. Piątego dnia robota była skończona. Włączył kamery, żeby wszystko nagrać. To było najłatwiejsze. Gdy jeszcze musiał leżeć, przemyślał dokładnie każdą sekwencję i całą historię przeszła prosto z jego umysłu na taśmę.

Umieścił ekran w odległości dwóch metrów od szalupy, za rzędem drzew. Potem rzucił puszkę z konserwą tak, żeby upadła w pobliżu ekranu.

Przez resztę dnia nic się nie działo. Był to już szósty dzień od katastrofy statku rulla i piąty od chwili, gdy Jamieson zwichnął nogę. Zapadła noc.

Jakiś cień pełził pod gwiazdami rozświecającymi niebo Laertes III: to mil podchodził do ekranu ustawionego przez człowieka. Bardzo jasny wydawał mu się ten ekran w ciemnościach zalegających na płaskowyzu; stanowił plamą światła w czarnym wszechświecie kamienistego gruntu i karłowatych krzaków. Ody zbliżył się już na trzydzieści metrów, zauważył puszkę i zrozumiał, że to pułapka. Sześć dni przymusowego głodowania odebrało milowi całą energię. Co najmniej dziesięć poziomów barw spośród tych, które widział normalnie, zasnuło się czarnym woalem; słabość szła zawsze w parze z ciemnościami, nie ze słońcem. Ten wewnętrzny świat układu nerwowego, do pewnego stopnia oddzielony od reszty organizmu, był teraz jak wyladowana bateria. Dziesiątki organicznych „instrumentów” odłączały się jeden za drugim w miarę, jak poziom energii opadał coraz niżej. *Yeti* czuł z narastającym niepokojem, że najwrażliwsze zakończenia jego układu nerwowego mogły już nigdy nie funkcjonować tak jak do tej pory. Musiał się spieszyć. Jeszcze kilka stopni tej degradacji i odwieczne, atawistyczne uwarunkowanie zmusi nawet samego Aaisha Yeelu do popełnienia samobójstwa.

Siatkowane ciało zamarło w bezruchu. Ośrodki wzroku rozmieszczone na całej skórze spostrzegły pasmo światła idące od ekranu. Rull obejrzał cały przekaz, od początku do końca, potem obejrzał go jeszcze raz, tak zafascynowany tym ciągiem obrazków, jakby był jakąś prymitywną istotą.

Pierwsze kadry opowiadały o tym, jak gdzieś w głębinach kosmosu z krążownika wyleciała szalupa. Film pokazywał następnie, że krążownik udał się do bazy wojskowej, gdzie pobrał zaopatrzenie i znów odleciał, tym razem w towarzystwie całej flotyli okrętów wojennych, w kierunku gwiazdy Laertes. Kolejne obrazki ukazywały szalupę ładującą na Laertesie III i to, co się potem stało. Sugerowały, że sytuacja jest niebezpieczna dla obu stron i wskazywały jedyne możliwe rozwiązanie. Końcowa sekwencja każdego odcinka ukazywała, jak rull zbliża «ę do puszek konserw, leżących na lewo od ekranu, i otwierają. Obrazki wyjaśniały dokładnie, jak ją otworzyć. Widać też było rulla szybko zjadającego jej zawartość. Za każdym razem, gdy miała nastąpić ta sekwencja, rulla ogarniało gwałtowne podniecenie i nieprzeparte pragnienie jedzenia. Jednak podpełził do puszek dopiero wtedy, gdy obejrzał zapis po raz siódmy. Wiedział, że to pułapka, może nawet śmiertelna, ale przestał się tym przejmować. Musiał zaryzykować, by przeżyć. A tylko stawiając czoło niebezpieczeństwu, które być może kryło się w puszcze, mógł mieć nadzieję, że będzie żył, dopóki po niego nie przyłecą.

Ile czasu potrzeba, by kapitanowie jego okrętów, tafla wysoko, w czerni kosmosu, postanowili nie wypełnić jego rozkazu? Nie wiedział. Ale przyłecą na pewno, nawet jeżeli Stenie się to dopiero wtedy, gdy pojawi się wroga flota. Wtedy przynajmniej mogą tu lądować bez obawy, że wzbudzą jego gniew. A do tego czasu będzie potrzebował wszelkiej żywności, jaką tylko potrafi znaleźć. Ostrożnie wyciągnął ssawkę i otworzył wieczko puszek.

Było trochę po czwartej rano, gdy Jamiesona obudził przytłumiony dźwięk dzwonka alarmowego. Na dworze było jeszcze całkiem ciemno. Doba na Laertesie III trwała dwadzieścia sześć ziemskich godzin; świt nadejdzie dopiero za cztery godziny. Jamieson nie od razu wstał. Dzwonek został uruchomiony przez otwierające się wieczko konserwy. Dźwięczał co najmniej kwadrans. Doskonale. Jamieson ustawił go tak, by dzwonił, dopóki puszka nie będzie pusta. Wiedział, że potrzeba mniej więcej tyle czasu, by mil zjadł półtora kilograma żywności. I przez cały ten kwadrans rull poddany był emisji fal hipnotycznych odpowiadających częstotliwości fal w jego własnym mózgu. W doświadczeniach laboratoryjnych układy nerwowe złapanych rulli reagowały właśnie na tę częstotliwość. Niestety jeńcy zabijali się natychmiast po odzyskaniu przytomności, więc nie można

było wyciągnąć żadnych definitywnych wniosków. Jednak encefalograf wykazywał, że fale działają na podświadomość a nie na świadomość, czyli że Jamieson właśnie rozpoczął hipnotyczną indoktrynację mila.

Jamieson leżał i uśmiechał się z zadowoleniem. Potem próbował zasnąć, ale ciągle był zbyt podekscytowany. Nastąpił właśnie najważniejszy etap wojny między ludźmi i milami. Musi to uczcić. Wstał i nalał sobie szklaneczkę alkoholu.

To, że mil próbował zaatakować go za pośrednictwem podświadomości, wskazywało, że jego własny atak, przeprowadzony na tej samej zasadzie, powinien się udać. Obie rasy znały już nawzajem swoje słabe punkty. Rulle korzystali z tej wiedzy, by doprowadzić do zagłady ludzkości. Ludzie chcieli jej użyć do nawiązania kontaktu w nadziei, że wypracują jakieś porozumienie. Jednak po obu stronach było tyle brutalności, pragnienia krwi i bezlitosnej walki, że czasami nie można było po metodach odróżnić jednych od drugich. Tyle że ich cele różniły się jak dzień od nocy. W obecnej sytuacji Jamieson miał tylko jedną obawę: skoro rull już się najadł, może podjąć nowy atak.

Wrócił na koję i czekał. Nie lekceważył możliwości mila, ale ponieważ postanowił przeprowadzić eksperyment, żadne ryzyko nie mogło być zbyt wielkie. Wreszcie zasnął snem człowieka przekonanego, że obrót wydarzeń działa na jego korzyść.

Rano włożył kombinezon grzewczy i wyszedł w chłód poranka. Znowu napawał się ciszą panującą na tej planecie. Lodowaty wschodni wiatr szczypał go w twarz, ale nie przejmował się tym. Tego wyjątkowego ranka miał wiele do zrobienia. I robi to, co sobie zaplanował, zachowując się tak samo ostrożnie jak zawsze.

Ruszył do ekranu. Za nim toczyły się automaty obronne i działko. Ekran stał na odkrytym terenie, tak, by był widoczny na odległość. Rull go nie zepsuł. Jamieson sprawdził jego automatyczne mechanizmy i aby upewnić się, że wszystko jest w porządku, puścił cały przekaz.

W końcu rzucił następną puszkę obok ekranu i już miał wracać do szalupy, gdy nagle coś zauważył; wszystkie metalowe części ekranu wyglądały jak wypolerowane. Przyjrzał się temu za pomocą lusterka neutralizującego emisję energii i wtedy zobaczył, że cały metal został pokryty substancją przypominającą przezroczysty werniks. Ogarnęło go przerażenie, bo zrozumiał, że właśnie wprowadzono mu do mózgu jakiś rozkaz. W rozpaczy postanowił: „Jeżeli rozkazano mi nie strzelać, nie podporządkuję się. Będę strzelał, nawet gdyby lufa mierzyła we mnie”.

Zdrapał trochę „werniksu” do małego pojemniczka i wrócił do szalupy. Gorączkowo zastanawiał się, skąd mil to wszystko bierze. Takie rzeczy nie należą chyba do wyposażenia stateczku zwiadowczego.

Zaczął się domyślać, że rull nie znalazł się na tej planecie przez przypadek. Rozmyślał właśnie nad konsekwencjami tego faktu, gdy daleko przed sobą zobaczył swojego przeciwnika. Chociaż obaj znajdowali się tu od tylu dni, widział rulla po raz pierwszy. Jaki rozkaz tamten mógł mu wszczepić? To była teraz jego największa troska.

Rull przypomniał sobie o swoich planach, gdy tylko zaspokoił głód. Najpierw przez umysł przepływały mu jedynie jakieś słabe wspomnienia, ale szybko nabrały mocy. Zresztą po jedzeniu poprawiła mu się nie tylko pamięć. Jego ośrodki wzroku łapały więcej światła. Płaskowyż, skąpany w blasku gwiazd, stawał się coraz jaśniejszy, chociaż nie aż tak, jak powinien. Jednak poprawa była niewątpliwa. Proces degeneracji zatrzymał się. Rull poczuł się niewyobrażalnie szczęśliwy.

W tej akurat chwili czołgał się po krawędzi przepaści. Zatrzymał się, by rzucić okiem w dół. Chociaż nie odzyskał jeszcze całkowicie zdolności percepcyjnych, widok przyprawił go o zawrót głowy. Gdy się jest na statku kosmicznym, wysokość właściwie nie ma znaczenia. Ale patrzenie z tej skalnej ściany w głębię przepaści sprawiało na nim niesamowite wrażenie. I wtedy dopiero

zrozumiał, do jakiego stopnia głód mu zaszkodził. A to z kolei mu przypomniało, czym się zajmował, zanim zaczął tracić energię. Odwrócił się od przepaści i pospieszył do wraku. Wślizgiwał się pod skręcone metalowe płyty, dopóki nie znalazł się przy tej, w której wczoraj wyczuł ślad antygravitacji, maleńki, prawie zanikający, ale jednak pozwalający na działanie.

Gorączkowo zabrał się do pracy. Metalowa płyta ciągle jeszcze mocno się trzymała kadłuba statku, a musiał ją całkowicie oddzielić. Przy tym zajęciu minęły mu długie godziny.

W końcu płyta oderwała się z trzaskiem i w jej nukleonicznej strukturze nastąpiła drobna modyfikacja. Modyfikacja ta była nieskończenie mała, częściowo dlatego że energia nerwowa wydzielana przez ciało rulla okazała się o wiele za słaba, a częściowo dlatego że miała taka być, żeby nie wysadziła w powietrze całej góry.

Jednak już w chwili, gdy wchodził na płytę, odkrył, że nie ma takiego niebezpieczeństwa. Emisja energii była tak słaba, że przez chwilę w ogóle wątpił, czy płyta zdoła go unieść do góry. Ale udało się. Po przeleceniu dwóch metrów zdał sobie sprawę, że dysponuje bardzo ograniczonymi możliwościami. Energii wystarczy tylko na jeden atak.

Nie dręczyły go żadne wątpliwości. Eksperyment dobiegł końca. Jego jedynym celem było zabicie człowieka, a także zagwarantowanie sobie bezpieczeństwa, póki tego nie dokona. Już wiedział, co ma zrobić. Użyje werniksu!

Starannie go rozsmarował, wysuszył specjalnym aparatem, a potem wziął płytę na plecy i zaniósł do wybranej przedtem kryjówki. Ody schował się razem z płytą pod zeschniętymi liśćmi w kępie krzaków, wreszcie mógł się uspokoić. Ze zdumieniem, choć bez żalu stwierdził, że pozbył się całej cywilizowanej otoczki, jaką nadawała mu jego kultura. Dając mu żywność, dwunożna istota bez wątpienia wywarła na niego jakieś oddziaływanie. Niebezpieczne oddziaływanie.

Jedynym rozwiązaniem całej tej sytuacji było natychmiastowe zabicie człowieka. Skulił się w krzakach, napięty, zły, chroniony przed wszelkimi emisjami fal mózgowych, i czekał na człowieka.

To, co stało się potem, stanowiło dla Jamiesona najgorsze przeżycie w całej jego karierze zawodowej. W normalnych warunkach bez trudu dałby sobie radę. Jednak tu w każdej chwili spodziewał się, że znów ogarnie go paraliż, spowodowany przez werniks. Dlatego też zwykły, fizyczny, nieoczekiwany atak całkowicie zbił go z tropu. Rull wyleciał z kępy krzaków na płycie antygravitacyjnej. Zaskoczenie było tak wielkie, że atak prawie się udał. Już pierwszego dnia Jamieson stwierdził, że płyty zostały zupełnie pozbawione tego rodzaju energii. A jednak teraz miał przed sobą jedną z nich, znów aktywną i lekką tą lekkością, jaką naukowcy rulli doprowadzili do perfekcji.

To, że płyta leciała w jego kierunku, spowodowane było oczywiście obrotem planety wokół swojej osi. Nic nie nadało płycie początkowego pędu, nie leciała z szybkością tysiąca trzystu kilometrów na godzinę zgodnie z obrotem planety, ale i tak szybko przyspieszała. Metalowa płyta z rullem mknęła na Jamiesona cicho jak zjawą. A on, w chwili gdy strzelał, musiał jeszcze podjąć decyzję: zabić rulla czy nie. I w końcu zwyciężyła druga ewentualność. To było trudne, bardzo trudne. Zanim opanował przenikające go na wskroś pragnienie zabijania, upłynęło dość czasu, by rail zbliżył się na odległość trzech metrów. Jamiesona uratowało ciśnienie powietrza pod płytą, która lekko się nachyliła, jak skrzydło startującego samolotu. Jamieson skierował broń na spód płyty i wystrzelił płomieniem. Płyta poleciała na prawo i opadła w krzakach kilka metrów dalej. Jamieson z całą świadomością nie wykorzystał swojej przewagi. Gdy powoli doszedł do krzaków, mil zdążył już odpełznąć kilkanaście metrów i zniknął za drzewami. Jamieson nie ściagał go ani nie wystrzelił po raz drugi. Zajął się natomiast zbadaniem płyty.

Musiał sobie odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze w jaki sposób rull zdołał bez

odpowiedniego wyposażenia nadać jej z powrotem właściwości antygravitacyjne? Po drugie jeżeli był w stanie stworzyć taki „spadochron”, to dlaczego nie posłużył się nim i nie zszedł z góry do lasu rozciągającego się u jej podnóża, gdzie znalazłby dość żywności i osłonę przed swoim ludzkim wrogiem? Na drugie pytanie uzyskał odpowiedź, gdy tylko podniósł płytę. Ważyła mniej więcej tyle, ile powinna, zupełnie jakby jej energia wyczerpała się po przeleceniu trzydziestu metrów. Rull z całą pewnością nie mógłby na niej przelecieć dwóch tysięcy pięciuset metrów do lasu u stóp góry.

Mimo to Jamieson uważał, że lepiej nie ryzykować. Zepchnął płytę do przepaści, wrócił do szalupy i dopiero wtedy przypomniał sobie o „werniksie”. Nie odczuwał działania żadnego hipnotycznego rozkazu. Jeszcze nie. Dokonał analizy drobin werniksu, które przedtem zeszkrobał. Skład chemiczny wskazywał na zwykłą żywicę. Budowę atomową miał stabilną. Natomiast przetwarzał elektronicznie światło w energię na poziomie fal mózgowych człowieka. Oczywiście był aktywny. Ale co zarejestrował? Jamieson sporządził wykres wszystkich jego składników i poziomów energii. Gdy stwierdził, że werniks został zmodyfikowany na poziomie elektronicznym - co było oczywiste, ale musiało zostać udowodnione - zapisał obrazy na taśmie. Rezultatem był chaos fantastycznych widoków, jakby wyjętych ze snu.

Symbole. Wziął katalog interpretacji symboli podświadomości i znalazł odniesienie do „blokad mentalnych”. Na wskazanej stronie przeczytał: „Nie zabijaj!”.

- Coś podobnego! - wykrzyknął na głos. - A więc tak to się odbyło!

Ulżyło mu, chociaż nie do końca. I tak nie zamierzał zabijać, ale rull o tym nie wiedział. Wprowadzając tak subtelną blokadę, stałby się panem sytuacji, nawet gdyby poniósł klęskę. I na tym polegał kłopot. Do tej pory Jamieson wychodził cało z niebezpiecznych sytuacji, ale nie potrafił stworzyć warunków korzystnych dla siebie.

Nie może więcej podejmować ryzyka. Nawet jego końcowy eksperyment musi zaczekać do przylotu „Oriona”. Pod pewnymi względami ludzie są słabi. Ich ciało podlega impulsom podatnym na manipulacje sprytnych i bezlitosnych ras. Jamieson nie wątpił, że ostatecznym celem rulla jest popchnąć go do samobójstwa.

Dziewiątego wieczoru, w przeddzień przylotu „Oriona”, Jamieson nie rzucił milowi konserwy. Następnego dnia rano przesiedział pół godziny przy radiu, usiłując połączyć się z krążownikiem i opowiedzieć o wszystkim, co się tu zdarzyło, a także wyjawić, jakie ma plany, łącznie z projektem postawienia roilla przed ciężką próbą, by sprawdzić, czy ucierpiał z braku pożywienia.

W podprzestrzeni panowała kompletna cisza. Nikt nie odpowiedział na jego wezwania. W końcu odszedł od radia, wysiadł z szalupy i szybko ustawił aparaty, których będzie potrzebował do przeprowadzenia doświadczenia, po czym spojrzął na zegarek. Brakowało jedenaste minut do południa. Nagle zaniepokojony, postanowił już dłużej nie czekać. Z wahaniem nacisnął klawisz. Nadajnik, usytuowany w pobliżu ekranu, zaczął emitować pewien rytm o bardzo wysokim poziomie energetycznym. Była to wariacja na temat melodii, której raill musiał słuchać przez ostatnie noce, gdy jadł konserwę z puszki. Jamieson powoli zawrócił do szalupy. Chciał jeszcze raz spróbować nawiązać kontakt z „Orionem”. W połowie drogi obejrzał się i zobaczył, że mil pełźnie na polankę, kierując się prosto do źródła emisji Ody Jamieson przyglądał się temu z fascynacją, w szalupie rozdzwonił się alarm. Lodowaty wiatr unosił jego dźwięk na cały płaskowyż. Alarm automatycznie uruchomił naręczne radio Jamiesona, które natychmiast zsynchronizowało się z potężnym nadajnikiem szalupy.

- Trevorze Jamiesonie - mówił nagłący głos - tu „Orion”. Słyszeliśmy pańskie wezwania, ale woleliśmy nie odpowiadać. Do Laertesa zbliża się flota rulli. Za pięć minut spróbujemy pana zabrać z planety. Proszę się przygotować.

Jamieson opadł na ziemię. To był raczej odruch fizyczny niż psychologiczny. Słuchając przekazu, kątem oka zobaczył na niebie jakieś poruszenie: dwie czarne plamki stawały się coraz większe. Superkrążowniki rulli z wyciem przeleciały mu prosto nad głową. Po ich przejściu zerwał się prawdziwy cyklon, który o mało nie oderwał go od ziemi, chociaż rozpaczliwie przytrzymał się krzaków.

Okręty wojenne, lecące na napędzie grawitacyjnym, z pełną prędkością wykonały zwrot i wróciły nad płaskowyż. Jamieson już myślał, że zaraz umrze, ale salwa trafiła gdzieś z boku; uwolniona energia spadła na niego jak piorun, prawie pozbawiając go przytomności. Moja szalupa! - pomyślał. Strzelali do szalupy! Jęknął, wyobrażając sobie zniszczenia. Potem nie miał już ani chwili na puszczanie wodzy wyobraźni.

Pojawił się trzeci krążownik, ale gdy Jamieson usiłował rozpoznać jego wygląd, zawrócił i uciekł. Głos w naręcznym radiu podjął:

- Nie możemy teraz przylecieć po pana. Proszę spróbować się ukryć. Cztery krążowniki, które są tu z nami, razem ze swoimi okrętami eskortowymi zaatakują flotę rulli i spróbują przyciągnąć ją do naszego głównego zgrupowania, które teraz znajduje się w pobliżu gwiazdy Bianca, a potem...

Na niebie ukazała się ognista błyskawica i przekaz się urwał. Dopiero po minucie w zimnej atmosferze Laertesa III rozległ się grzmot tej salwy. Hałas cichł powoli, jakby niechętnie, pozostawiając drobne echa odbijające się od cząsteczek powietrza. W końcu nastąpiła cisza, naładowana jednak niewyobrażalną groźbą.

Jamieson chwiejnie wstał. Musiał ocenić rozmiary katastrofy, jaka go spotkała. Nawet nie ośmielał się myśleć, że grozi mu jeszcze większe niebezpieczeństwo. Najpierw skierował się do szalupy. Nie musiał odbyć całej drogi. Już z daleka zobaczył, że salwa oderwała ogromny kawał zbocza. Nie było śladu po szalupie. Wprawdzie spodziewał się tego, ale i tak pod wpływem szoku zastygł w bezruchu. Potem przypadł do ziemi, skulił się jak zwierzę i popatrzył w niebo. Było czyste

i nie dochodził z niego najmniejszy dźwięk. Słysząc było tylko gwizd wiejącego od wschodu wiatru. Jamieson był tu sam, między niebem a ziemią, bezbronny na skraju przepaści.

Powoli zaczynał rozumieć, co się wydarzyło. Okręty raili najpierw przeleciały nad górą, by zbadać sytuację, a potem usiłowały go zabić. Fakt, że te najnowocześniejsze krążowniki podejmowały takie ryzyko dla obrony jednego ze swoich, tyleż intrygował, co niepokoił.

Będzie musiał się pospieszyć. W każdej chwili mogli tu wysłać szalupę ratunkową po jego przeciwnika. Gdy już biegł, odnosił wrażenie, że stanowi jedno z wiatrem. To uczucie powrotu do prymitywnej natury ludzkiej w chwilach zagrożenia nie było mu obce. Tak działo się podczas walki i należało się temu poddać całą duszą i ciałem. Nie można było walczyć, wkładając w to tylko połowę rozumu czy sił fizycznych. Tu działała zasada: wszystko albo nic.

Kilka razy upadł. Wstawał, nie czując bólu, i znów biegł. W końcu schronił się w zaroślach, cały umazany krwią, ale nie czuł ran. A niebo pozostawało ciche.

Spojrzał na rulla, na rulla, który był jeńcem, na swojego roila, na rulla, z którym mógł zrobić, co tylko chciał. Obserwować go, poznawać, uczyć - a byłoby to najszybsze szkolenie w historii świata. Nie miał czasu na to, by wymieniać z nim informacje stopniowo, małymi etapami. Z miejsca, gdzie się teraz znajdował, nastawił ekran.

Rull, który chodził tam i z powrotem przed ekranem, nagle ruszył szybciej, potem zwolnił, znów przyspieszył... wszystko zgodnie z życzeniem Jamiesona.

Prawie tysiąc lat temu, w dwudziestym wieku, dokonane klasycznego, nieśmiertelnego eksperymentu, który znalazł teraz swoje zastosowanie na tej obcej planecie. Człowiek o nazwisku Pawłów karmił psy o stałych porach, dzwoniąc przy tym dzwoneczkiem. Wkrótce układ pokarmowy psów reagował na sam dźwięk dzwonka. Słyszając go, psy śliniły się, mając nadzieję na karmienie. Sam Pawłów do końca życia nie zrozumiał daleko idących konsekwencji warunkowania. To, co zaczęło się w tamtych odległych czasach, rozwinęło się w wielką dziedzinę nauki, dzięki której można było teraz przeprowadzać „pranie mózgu” zwierzętom czy istotom pozaziemskim, a także ludziom. Tylko rulle potrafili się temu przeciwstawić, ponieważ ich uwarunkowanie, by po klęsce popełniać samobójstwo, było silniejsze. Żaden wzięty do niewoli rull nie przeżył. Z tego powodu naukowcy przewidywali klęskę Ziemi, chyba że udałoby się osiągnąć postęp w poznaniu umysłu rulli. Gdyby ta nadzieja zawiodła, klęska byłaby nieunikniona.

Jamieson wziął się do pracy, ale potrzebował trochę czasu. Musiał ustanowić rytm akcji-reakcji posłuszeństwa między sobą a railiem. Na trójwymiarowym ekranie widział raila jak żywego. Jego ruchy były ruchami automatu, jego ośrodki nerwowe pozostawały pod wpływem Jamiesona. Rull nie mógł już nie poddać się temu rytmowi, tak samo jak nie mógł się uwolnić od impulsu, który kazał mu tu przyjść po żywność. Mniej więcej po kwadransie takiego przymusowego chodzenia Jamieson kazał rullovi i jego obrazowi wchodzić na drzewa, potem schodzić, i tak z tuzin razy. Wtedy ukazał mu swój własny wizerunek.

Niespokojnie, cały czas zerkając na niebo, obserwował reakcje rulla. Gdy po kilku minutach podstawiał własny wizerunek zamiast obrazu rulla, zauważył, że jego przeciwnik chwilowo utracił całą swoją nienawiść do ludzi, a także nie podlega uwarunkowaniu samobójczemu.

Teraz, gdy już doszedł do etapu pełnej kontroli, zawahał się. To była odpowiednia chwila, by wykonać kilka doświadczeń. Ale czy miał na to czas? Jednak zdawał sobie sprawę, że musi to zrobić. Taka okazja mogła się już nigdy więcej nie powtórzyć.

Gdy dwadzieścia pięć minut później skończył przeprowadzać doświadczenia, był blady z emocji. O to właśnie chodziło. Teraz już wiem wszystko, mówił sobie. Dziesięć cennych minut poświęcił na przesłanie swoich wniosków za pomocą naręcznego radia, mając tylko nadzieję, że nadajnik w

szalupie nie został uszkodzony i przekaże wiadomość dalej. Niestety, przez całe te dziesięć minut nie otrzymał żadnej odpowiedzi na swoje wezwania.

Pewny, że zrobił wszystko, co mógł, skierował się teraz na skraj przepaści, który sobie wybrał jako punkt wyjścia. Spojrzał w dół i aż zadrzał, ale zaraz sobie przypomniał, co mu powiedziano z „Oriona”: „Do Laertesu zbliża się flota rulli...”

Nie ma czasu do stracenia!

Posługując się liną, spuścił rulla na pierwszą półkę skalną, potem włożył uprząż i przeszedł przez krawędź przepaści. Rull z całym spokojem mocno chwycił drugi koniec liny i jemu z kolei pomógł zejść na półkę. Schodzili metodycznie w dół, zakładając haki i ubezpieczając się nawzajem. Jasność dnia ustępowała miejsca mrokom wieczoru. Ciemność zapadała tak samo, jak zmęczony człowiek zapada w sen. Jamieson był tak wyczerpany, że z trudem się poruszał.

Zauważył, że rull staje się coraz bardziej świadomy jego obecności. Nadal współpracował, ale obserwował go uważnie za każdym razem, gdy zawisali nad pustką. Uwarunkowanie zaczynało ustępować. Rull wychodził ze stanu hipnozy, a przed nocą będzie już całkowicie sobą.

Przez chwilę Jamieson stracił nadzieję, że zdoła znaleźć się u stóp urwiska, zanim zapadną ciemności. Na zejście z tej fantastycznej góry, niepodobnej do żadnej innej we wszechświecie, wybrał ścianę zachodnią, tę, na którą najdłużej świeciło słońce. Pilnował rulla, rzucając mu szybkie, nerwowe spojrzenia, gdy obaj znajdowali się na tej samej półce skalnej.

O czwartej po południu Jamieson musiał znów się zatrzymać na odpoczynek. Odszedł na kraniec półki, jak najdalej od rulla, i opadł bez sił na skałę. Niebo było ciche, wiatr ustał, zupełnie jakby zasłona rozciągnięta w przestrzeni chciała zakryć to, co później okazało się największą od dziesięciu lat bitwą kosmiczną między ludźmi a rullami. Tylko dzielności załóg pięciu ludzkich krążowników należało zawdzięczać, że żaden nieprzyjacielski okręt nie przedarł się i nie przybył na ratunek foliowi znajdującemu się na płaskowyżu. Może zresztą woleli nie informować ludzi, że jeden z nich przebywa na planecie.

Jamieson odegnał te niepotrzebne myśli. Ze znużeniem porównał drogę już przebytą z tą, która im jeszcze została. Szacował, że przeszli dwie trzecie zbocza. Zauważył, że rull patrzy w dół. Zrobił to samo. Nawet z tej wysokości widok był wspaniały. Las zaczynał się jakieś pół kilometra od podnóża góry i ciągnął się w nieskończoność. Jak fala przechodził przez wzgórza i zstępował w doliny. Niechętnie zatrzymywał się na brzegu szerokiej rzeki, zakręcał, a potem znów wspinał się na zbocza rysujących się w oddali gór.

Trzeba było ruszać dalej. Dwadzieścia pięć po szóstej doszli do półki oddalonej zaledwie o pięćdziesiąt metrów od kamienistej doliny. Ledwie starczyło liny, ale w końcu Jamieson spuścił rulla na dół i teraz przyglądał mu się z ciekawością. Jak postąpi, gdy wyczuje, że jest wolny?

Rull po prostu czekał. Jamieson zaniepokoił się. Nie może podejmować takiego ryzyka. Zamachał ponagląco i wyciągnął pistolet. Rull trochę się cofnął, ale tylko na tyle, by się ukryć za skałkami. Słońce, czerwone jak krew, zachodziło za szczyty gór. Jamieson zjadł kolację, a gdy ją kończył, zobaczył w dole jakieś poruszenie. Rull szybko popęztał do podnóża zbocza i zniknął za wysoką skałą.

Jamieson poczekał jeszcze chwilę, a potem spuścił linę. Zejście wyczerpało jego siły do ostatka, w dodatku skaleczył się w palec na szorstkim kawałku liny, ale już wkrótce znalazł się na ziemi. Tu spostrzegł, że palec przybiera dziwny szary kolor. W świetle zachodzącego słońca wyglądało to bardzo brzydko. Nagle cała krew odpłynęła mu z twarzy. Z przerażeniem i wściekłością uświadomił sobie, że to rull nasycił linę jakąś trującą substancją.

Poczuł ból w całym ciele, a zaraz potem sztywność. Rzęząc, wykonał taki ruch, jakby zamierzał

wydobyć pistolet. Chciał się zabić. Jednak ręka zatrzymała się w pół gestu i opadł bezwładnie, niezdolny do zamortyzowania uderzenia o ziemię. Poczł jeszcze, jak pada na twarde podłozę, a potem była już tylko ciemność.

Pragnienia śmierci doświadcza każda żyjąca istota; każda organiczna komórka usiłuje pozbyć się nieorganicznych engramów odziedziczonych po okresie jej nieorganicznych początków. Życie jest błoną nałożoną na skomplikowaną w swojej delikatnej równowadze materię, którą utrzymuje między najróżniejszymi rodzajami energii; samo życie stanowi jedynie krótki i próżny bunt przeciw tej równowadze. Przez nieskończenie drobny ułamek wieczności dochodzi do próby uporządkowania tej sytuacji. Próba ta przybiera wiele form, ale to tylko pozory. Rzeczywistą formą jest zawsze forma podporządkowana czasowi, a nie kształtowi. Ta forma to krzywa. Najpierw się wznosi, potem opada. Wychodzi z ciemności w jasność, a potem znów spada w mrok.

Samiec łososa rozsiewa swoje nasienie na jajeczka samicy i natychmiast popada w śmiertelną melancholię. U pszczoł samiec ginie po zapłodnieniu królowej i opada w nieorganiczny pył, z którego wyszedł, by przeżyć tę jedną jedyną chwilę ekstazy. U ludzi ta fatalna tendencja nieustannie odciska się w niezliczonych efemerycznych komórkach, ale jest to jednak tylko tendencja.

Naukowiec mili o wysublimowanym umyśle, szukający substancji chemicznych, które sprawiłyby, że układ nerwowy człowieka powróci do swojego najbardziej prymitywnego stadium, odkrył tajemnicę, jaką jest pragnienie śmierci doświadczane przez ludzką istotę,

Yeli Meesh, czołgając się z powrotem do Jamiesona, nie zastanawiał się nad tym wszystkim. Czekał na okazję... i okazja się nadarzyła. Szybko zabrał pistolet, a potem zrewidował człowieka, szukając kluczy do szalupy. Następnie przeniósł Jamiesona czterysta metrów dalej, tam, gdzie szalupa opadła po salwie z wrogiego krążownika. Pięć minut później jej potężny nadajnik przekazywał na właściwej długości fal rozkaz do floty rulli.

Niewyraźna ciemność. W nim i wokół niego. Jamieson miał wrażenie, że znajduje się na dnie studni, gdzie panuje noc. Ody tak leżał, coś zaczęło go uciskać; potem owinęło całe jego ciało i unosiło coraz wyżej, ku cembrowinie. Dokonał ogromnego wysiłku, by się wydostać, wysiłku czysto psychicznego, i spojrział przez krawędź studni. Odzyskał przytomność.

Leżał na stole w jakiejś sali, która przy samej podłodze miała kilka otworów, wyglądających jak wejścia do mysich nor. To drzwi, pomyślał, dziwne, obce, nieludzkie. Aż się wzdrygnął, gdy zrozumiał, że jest na okręcie rulli.

Nie wiedział, czy okręt leci, ale przypuszczał, że tak. Rulle nie mieli powodu, by zostać w pobliżu planety.

Mógł odwrócić głowę. Nie wiązało go nic materialnego. Na ten temat wiedział tyle samo, co każdy rull, więc natychmiast zlokalizował wiązki grawitacyjne, które się na nim krzyżowały.

Zresztą to i tak nieważne, w jaki sposób go więżą, powiedział sobie gorzko. Musiał pobudzić nerwy, by przygotować się na śmierć, jaką mu szykowano, a wiedział, co to będzie: eksperymenty prowadzone za pomocą tortur.

Pobudzenie nerwów było prostą sprawą. Stwierdzono, że jeżeli człowiek potrafi wyobrazić sobie wszystkie możliwe tortury i to, co mu zrobią oprawcy, i jeżeli na skutek tego ogarnie go złość zamiast strachu, to nawet gdy już stanie na progu śmierci, nie będzie odczuwał zbytniego bólu.

Jamieson właśnie wyliczał sobie w myślach wszelkie rodzaje tortur, jakim mógł zostać poddany, gdy żalony głosik szepnął mu do ucha:

- Wracamy do domu?

Potrzebował dobrej chwili, by otrząsnąć się ze zdumienia, i jeszcze paru sekund na to, by uświadomić sobie, że Plojanin najprawdopodobniej nie jest wrażliwy na działanie energii, jaką

krążownik mili strzelał do szalupy. Minęła więc co najmniej minuta, zanim odpowiedział cichym głosem:

- Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił.
- Dobrze.
- Wejdź do tamtej skrzynki i zmień kierunek przepływu prądu tak, żeby przechodził przez ciebie.
- Och, doskonale! Właśnie chciałem zobaczyć, co tam jest.

Chwilę później w urządzeniu elektrycznym wysyłającym grawitacyjne wiązki prąd zaczął płynąć w innym kierunku. Jamieson usiadł. Szybko odsunął się od skrzynki i rozkazał:

- Wyjdź stamtąd.

Musiał to powtórzyć kilka razy, by przyciągnąć uwagę Plojanina. Potem spytał:

- Zwiedzałeś okręt?
- Tak - odparł Plojanin.
- Czy jest tu jakieś główne źródło zasilania, przez które przechodzi cały prąd?
- Tak.

Jamieson wziął głęboki oddech.

- Idź tam i jeszcze raz przepuść prąd przez siebie. Potem wróć tutaj.
- Och, jaki ty jesteś dla mnie dobry! - wykrzyknął Plojanin.

Jamieson szybko poszukał niemetalowej powierzchni i wspiął się na nią. Ledwo zdążył to zrobić, a już we wszystkich metalowych przedmiotach zaczął iskrzyć prąd o napięciu stu tysięcy woltów.

- Co mam zrobić teraz? - spytał Plojanin dwie minuty później.
- Obejdź cały okręt i sprawdź, czy wszyscy miłe są martwi.

Prawie natychmiast nadeszła od Plojanina informacja, że przeżyło około stu rulli, którzy teraz unikają wszelkiego kontaktu z metalowymi powierzchniami. Jamieson zamyślił się. Potem opisał Plojaninowi aparat radiowy i powiedział:

- Za każdym razem, gdy któryś z nich będzie próbował się nim posłużyć, wejdź do środka i skieruj prąd przez siebie. Rozumiesz?

Plojanin potwierdził, a Jamieson jeszcze dodał:

- Informuj mnie regularnie, ale tylko w momentach, gdy żaden z nich nie będzie próbował korzystać z radia. I nie wchodź do głównej tablicy rozdzielczej bez mojego pozwolenia.
- Zrobię, co każesz - obiecał Plojanin. Pięć minut później skontaktował się z Jamiesonem, który był w zbrojowni.
- Jeden z nich chciał skorzystać z radia, ale w końcu zrezygnował i odszedł.
- Bardzo dobrze - powiedział Jamieson. - Pilnuj ich dalej.

Uważał, że ma nad milami znaczną przewagę, bo wiedział, kiedy można bezkarnie dotykać metalu, podczas gdy oni muszą zainstalować skomplikowane urządzenia, zanim ośmielą się swobodnie chodzić po okręcie.

Zabrał się teraz do cięcia ogromnymi nożycami kabli łączących działa ze stanowiskami celowniczymi. Chciał mieć pewność, że żadne działa nie wystrzeli, póki nie zostanie przeprowadzony kompleksowy remont.

Po wykonaniu tego zadania skierował się na pokład szalupowy. Plojanin dołączył do niego w chwili, gdy starał się wcisnąć do szalupy przez właz przypominający wejście do mysiej nory.

- Po tej stronie jest kilku raili - powiedział Plojanin. - Lepiej przejść tędy.

W końcu udało im się wsiąść do szalupy i odlecieli. Jednak minęło pięć dni, zanim spotkali ludzki okręt wojenny.

Szlachetnego Aisha Yeellu nie było na krążowniku, na który sprowadzono Jamiesona. Nie zginaj

więc od porażenia prądem, a nawet nie od razu się dowiedział, że jeniec uciekł. Gdy w końcu wiadomość do niego dotarła, jego sztab był przekonany, że ukarze śmiercią tych, którzy zawinili.

Ale zamiast wydawać wyroki śmierci, Aaish powiedział w zamyśleniu:

-A więc to był nasz przeciwnik? Co za niebezpieczna istota...

W milczeniu rozważał niebezpieczeństwo, jakie ma groziło podczas tego tygodnia, kiedy przebywał na planecie. Odzyskał prawie całą zdolność percepcji i dzięki temu mógł pomyśleć o czymś absolutnie niezwykłym jak na osobnika o tak wysokiej randze.

- Wydaje mi się - przekazał przez nadajnik fal świetlnych - że po raz pierwszy zdarzyło się, by Najwyższy Władca znalazł się na polu bitwy.

I tak rzeczywiście było. Po raz pierwszy w historii najwyższy dowódca przybył na „linię frontu” ze swoich kwater na zapleczu. Opuścił bezpieczne schronienie rodzinnej planety i wystawił na niebezpieczeństwo swoje cenne życie. Cała Ria drżała z niepokoju, gdy wiadomość została ogłoszona publicznie.

Najszlachetniejszy rull dalej dzielił się swoimi przemyśleniami:

- Trzeba chyba przyznać, że nie mieliśmy dokładnych informacji o naturze istot ludzkich. Wydaje mi się oczywiste, że nie doceniliśmy ich możliwości. Chylę czoło przed ich gorliwością i odwagą w walce i uważam, że nie mamy szans na ostateczne wygranie tej wojny. Chciałbym zatem, by Centralna Rada zdecydowała, czy mamy ją prowadzić dalej. Nie przewiduję natychmiastowego wycofania się, ale walki mogą stawać się coraz rzadsze w miarę jak zaczniemy zajmować pozycję defensywną w tym rejonie wszechświata, i jak, być może, zwrócimy naszą uwagę na inne galaktyki.

Lata świetlne stamtąd Jamieson zdawał raport przed prześwietnym Zgromadzeniem Galaktycznym:

- Odnoszę wrażenie, że między milami znajdowała się bardzo ważna osobistość. A ponieważ przez pewien czas udało mi się ją utrzymać pod pełną hipnozą, należy mieć nadzieję na korzystny obrót wydarzeń. Powiedziałem mu, że mile nie doceniają ludzi i że nie wygrają wojny. Zasugerowałem mu też, by zwrócili swoją uwagę na inne galaktyki.

Musiały upłynąć długie lata, zanim ludzie w końcu nabrali pewności, że wojna z milami dobiegła końca. Przedtem jednak członków Zgromadzenia zafascynował sposób, w jaki młody ezwał dopomógł w nawiązaniu kontaktu z niewidzialnym Plojaninem, i to, jak ten nowy sojusznik pomógł człowiekowi uciec z wojennego okrętu raili i dostarczyć na Ziemię niezwyklej wagi informacje.

Takie były owoce niezmordowanych wysiłków, jakie człowiek czynił od lat, by prowadzić politykę przyjazną w stosunku do pozaziemskich ras. Przytłaczającą większością głosów Zgromadzenie utworzyło dla Jamiesona nowe stanowisko i nadało mu tytuł Administratora Działu Ras Pozaziemskich.

Wrócił na Planetę Carsona z upoważnieniem do nawiązywania stosunków nie tylko z ezwałami, lecz również z innymi rasami. Kiedy upłynęło jeszcze trochę czasu, stał się znany jako ten, który prowadził negocjacje z milami i położył kres wojnie z nimi.

Spis treści

| |
|-------------------------|
| 1. 3 |
| 2. 9 |
| 3. 15 |
| 4. 20 |
| 5. 28 |
| 6. 32 |
| 7. 37 |
| 8. 47 |
| 9. 51 |
| 10. 56 |
| 11. 60 |
| 12. 64 |
| 13. 67 |
| 14. 71 |
| 15. 76 |
| 16. 81 |
| 17. 85 |
| 18. 90 |
| 19. 95 |
| 20. 104 |
| 21. 113 |
| 22. 118 |
| 23. 122 |
| 24. 123 |
| 25. 128 |